

W drodze nad Morze Czarne

Patrz strona 6



Ameba ginie w temperaturze 60 stopni.

Kiedy najlepiej wybrać się w Himalaje?

ZOFIA KĘDZIORA

Rozmowa na ogół zaczyna się od pytania:

— Skąd jesteś?
— Polak, Polak...? — zastanawiała się dziewczyna z Nowej Zelandii. — A gdzie to jest?

Inaczej zareagował chłopak z Izraela, gdy dowiedział się, że jesteśmy z Polski. Zapytał, czy znamy Łódź, bo on wiele o niej słyszał od ojca, który się tam urodził. Gdy dowiedział się, że jesteśmy z Łodzi, powiedział:

— Było u was getto w czasie wojny, a wy nawet nie postawiliście żadnego pomnika.

Z tymi ludźmi spotykaliśmy się w kolejce w Central Immigration Office w Katmandu na Ram Shah Path, gdzie ubiegaliśmy się o pozwolenie na wyruszenie w góry. Pozwolenie takie jest rodzajem wizej dającej prawo przebywania w Himalajach, ale tylko w ściśle określonej części gór i w określonym czasie. Wiza turysty-

czna, jaką musi mieć każdy przekraczający granicę Nepalu daje prawo jedynie do przebywania w Katmandu, Pokharze, Chitwan, czyli w miejscowościach leżących przy głównych szosach.

W Himalaje wybierają się ludzie ze wszystkich niemal krajów świata, ale trudno o przebieżenie, że najczęściej jest wśród nich Japończyków. Ostatnio stało się też bardzo popularne wśród młodych Japończyków zawieranie ślubów w górach i to najlepiej, aby nowy związek został uświetniony w obliczu Snieżnobiałej Królowej Matki czy innej Bogini Białych Sniegów — jak nazywany bywa Mount Everest.

Odbywa się to w Hotelu Everest View, zbudowanym na wysokości 3904 metrów. Jest to najwyższy położony hotel na świecie. Ceremonia ślubu jest prosta. Tylko wymiana obrączek. Odbywa się to w pokoju hotelowym, specjalnie przy-

gotowanym na takie uroczystości. Wnętrze udekorowane jest tybetańskimi kilimami. Przez okno do czasu do czasu spośród chmur wylaniam się Mount Everest. Goście weselni popijają chang (stermentowane wino ryżowe), a Szerpowie grają swoje melodie.

Większość ludzi oczekujących w Central Immigration Office marzy o pójściu w góry. Nepal od 1950 roku stał się rajem dla alpinistów.

Co to jest trekking?

Wspinaczka wysokogórska wymaga specjalnych predyspozycji zarówno psychicznych, jak i fizycznych. Jest to sport dla wybranych. Himalaje dają szansę ludziom lubiącym chodzić po górach. Anglicy, którzy byli pierwszymi turystami i podróżnikami w Nepalu ochrzcili tę bardzo specyficzną turystykę górską mianem trekkingu, a ludzi uprawiających

ją trekkerami. I tych właśnie najczęściej jest w Central Immigration Office.

Oczekując na swoją kolej czytam ogłoszenie.

„Zaginął w lutym 1988 — Peter Stephenson lat 24, obywatel amerykański, ostatnio widziano go na trasie do Jomsom. Na jakąkolwiek wiadomość oczekuje ambasada amerykańska w Nepalu i ojciec” — tu następował adres w USA.

Ktoś opowiada, iż słyszał niedawno o zaginięciu na trasie wokół Annapurny młodego Japończyka. Dość powszechna jest opinia, że lepiej nie wyruszać do gór samotnie, można paść ofiarą napadu. Powiało groza.

Zbliżyliśmy się do okienka, przy którym urzędnik przyjmował dokumenty. Wypełniony dokładnie formularz, podobny do tego, jaki składaliśmy ubiegając się o wizę turystyczną, paszport, dwa zdjęcia, opłatę 60 rupii nepalskich za każdy tydzień trekkingu oraz poświadczenie z banku o wymianie 5 dolarów USA za każdy dzień pobytu w górach.

Tego samego dnia, po godzinie 16 można było odebrać paszport z wstemplowanym pozwoleniem na pobyt w Himalajach oraz książeczkę trekkingową, która na trasie spełniała rolę paszportu. Każdy zobowiązany jest do okazania go na posterunkach policji, które wzdłuż trasy rozmieszczone są bardzo gęsto.

Łódź Odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 32 (1583)

ROK XXXI

6 SIERPNI 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Wszyscy jesteśmy Azjatami? — na tropach mitów i legend

— str. 5



W środku: gen. T. Rozwadowski; po prawej: gen. M. Weygand

Wojna 1920 roku

Jak to było z „Cudem nad Wisłą”

ZENON JANUSZ MICHAŁSKI

Wojna polsko-radziecka 1920 roku budzi ciekawość już choćby tylko dlatego, że po 1944 roku nie na ten temat w Polsce nie publikowano. Dopiero w 1984 r. wydano książkę Zbigniewa Zasluskiego „Drogi do pewności”. W książce tej znajduje się obszerny rozdział: „Pożoga” — publikowany najpierw w „Tu i Teraz” — poświęcony wojnie 1920 roku.

W poprzednim numerze opublikowaliśmy obszerny fragmenty szkicu Georgija Isersona „Dlaczego Michaił Tuchaczewski przegrał pod Warszawą” — radzieckiego historyka wojskowości. Teraz publikujemy szkic Zenona J. Michałskiego „Jak to było z „Cudem nad Wisłą”. W następnym numerze „Odgłosów” zamierzamy opublikować fragmenty wykładów Michaiła Tuchaczewskiego wygłoszonych w dniach 7—10 lutego 1923 roku w Akademii Wojskowej Armii Czerwonej. Zbiór tych wykładów ukazał się pod tytułem „Pochód za Wisłę”. Pod wpływem ich lektury Józef Piłsudski napisał polemikę „Rok 1920”. Fragmenty tej polemiki też zamierzamy opublikować.

Nie było cudu. Starły się na przedpolach Warszawy dwie armie, z których każda miała swoje moralne racje. Czerwoniści szli głęboko przekonani, że jest to marsz na spotkanie polskiej, a dalej — europejskiej, jeżeli nie światowej rewolucji. Szli przekonani, iż spotkać się mogą tylko z wściekłością narodu uwalnianego od swych panów. Szli od Kijowa ku Warszawie ze świadomością, że nie oni rozpoczęli tę wojnę, że wystawiają polskiej burżuazji rachunek za kijowską awanturę.

Po drugiej stronie stała armia, w przeważającej mierze robotnicy i chłopcy, ze swoich klasowo obcych rządów niezadowoleni, ale przecież zauroczeni tą dopiero co wybuchłą i tak ciężko okupioną niepodległością. U wrót zagrożonej stolicy ożyły tradycje zrywów powstańczych i naród zjednoczył się jak nigdy dotąd. Chwytał za broń wszyscy, także ci, którzy niedawno temu uczestniczyli w demonstracjach przeciwko kijowskiej wyprawie. „Armii Czerwonej, która szła na Warszawę — pisał Zbigniew Żalusi — pod hasłem wyzwolenia społecznego, która wyciągała rękę do klasowych braci — robotników polskich, nie powitały, na warszawskich rogatkach bramy triumfalnej”.

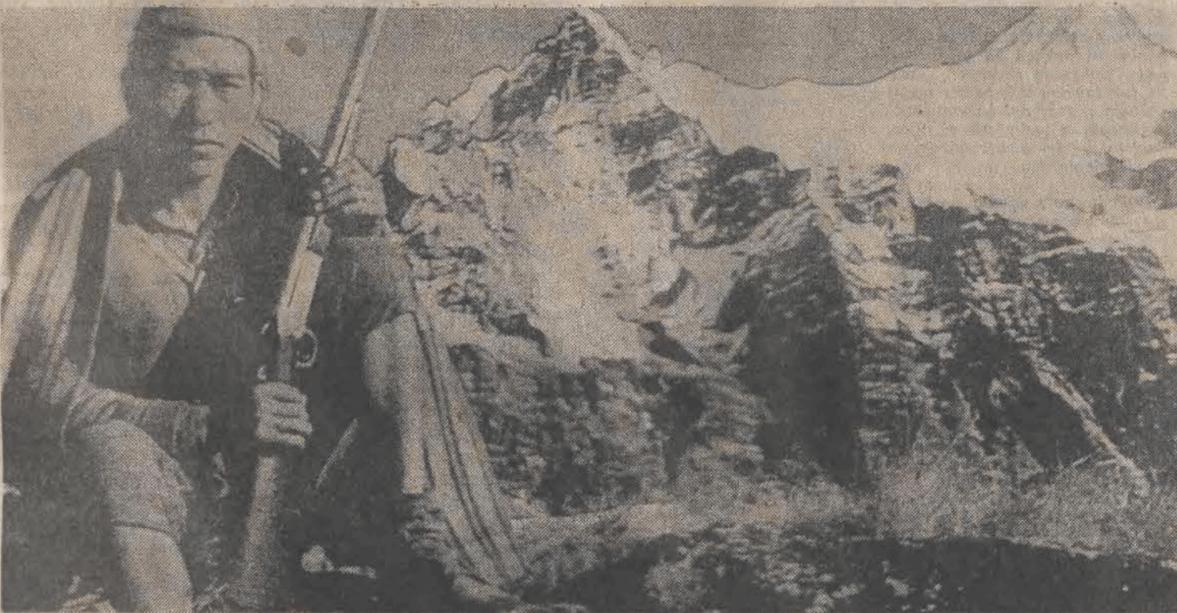
Pisał wprawdzie w swej pracy „Pochód za Wisłę” Michaił Tuchaczewski, że „to co się mówi o rozbudowaniu uczuć narodowych wśród klasy robotniczej polskiej w związku z naszą ofensywą jest po prostu wynikiem przegranej przez nas kampanii”.

Ale rację miał niewątpliwie Józef Stalin, twierdząc, iż nie doceniano potęgi czynnika narodowego w Polsce. Bitwa warszawska. Jej stąyka była przeogromna i nie ograniczała się tylko do przyszłych losów Drugiej Rzeczypospolitej. Wyraził takie przekonanie Michaił Tuchaczewski pisząc, że „gdybyśmy byli wyrwali z rąk burżuazji polskiej jej burżuazyjną armię szlachecką, wówczas rewolucja klasy robotniczej w Polsce stataby się faktem dokonany. A pożar ten nie dałby się ograniczyć ścianami polskimi. Jak wzburzony potok rozlałby się po całej Europie Zachodniej. Tego doświadczenia rewolucji z zewnątrz armia czerwona nie zapomni i jeżeli kiedykolwiek burżuazja europejska wyzwie nas do nowej walki, to armia czerwona potrafi ją pogromić, zaś rewolucję w Europie wesprzeć i rozprzestrzenić”.

Słowa te okazały się prorocze, ale z ich potwierdzeniem trzeba było czekać ćwierć wieku. W sierpniowych dniach 1920 roku nie zdarzył się cud. Była determinacja broniących się, ale przecież ona sama nie mogła przynieść zwycięstwa.

CO BYŁO WCZESNIEJ?

Przyczyn i konsekwencji bitwy warszawskiej trzeba szukać znacznie wcześniej, w całej polityce wschodniej Józefa Piłsudskiego, w działaniach wojennych na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.



Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy
Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrowiecki.

Grafik: Jaluż
Szymański-Głanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemieński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.
Strzyński, Maciej Swierkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej
28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych kopii i zastrzega
sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpowia-
da.

Warunki prenumeraty: 1 Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódz-
kich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — insty-
tucji i zakładów pracy zlokalizo-
wane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych
i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerat-
orów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych
i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzęd-
ach pocztowych nadawco-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratorki.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictwa, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1658-201045-139-11. Prenumeratę
ze zleceniem wysyłki za granicę
począwszy od 1 października 1988
prenumeratę krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastę-
pnego oraz cały rok następnego —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 2503, S-10.

Przegląd prasy

Najpewniej 21 lipca 1944 roku w ścisłym gronie dowódców Armii Krajowej podjęto decyzję o wywołaniu w Warszawie powstania. A dziesięć dni później wydano rozkaz rozpoczęcia działań militarnych i sierpnia o godzinie siedemnastej. Naprzeciw około 38 tys. żołnierzy niemieckich stanęło około 50 tys. bojowników polskich. Straszliwe skutki powstania warszawskiego przedstawia w miesięczniku „PRZEGLĄD POWSZECHNY” (nr 7—8) Eugeniusz C. Król.

„W wyniku 63-dniowych zmagani zginęło i zostało ciężko rannych około 22 tys. powstańców, zaś dalsze 20 tys. dostało się do niewoli. Straty niemieckie w zabitych i ciężko rannych wyniosły 15—20 tys. osób. Tak wysokie procentowo straty obu stron trzeba tłumaczyć specyfiką walki w mieście oraz determinacją obrońców stolicy. Według danych szacunkowych liczba rozstrzelanych, zabitych i pogrzebanych w ruinach mieszkańców Warszawy wyniosła około 150—200 tys. ludzi. Ponad 50 tys. mężczyzn i kobiet trafiło do obozów do obozów koncentracyjnych, około 150 tys. wywieziono na roboty przymusowe w głąb Niemiec. Niemal całą resztę pozostałej przy życiu ludności wysiedlono z miasta i rozproszono po kraju. W trakcie powstania uległo zniszczeniu około 25 proc. przedwojennej zabudowy miasta. Od dnia kapitulacji 2 października 1944 r. do początków stycznia 1945 r. specjalne oddziały hitlerowskie wysadziły w powietrze lub spaliły ponad drugie tyle, niszcząc ze szczególną zaciętością dobra kultury i pamiątki narodowe. W styczniu 1945 r. liczba mieszkańców miasta wyniosła ok. 160 tys., z tego w niemal kompletnie zrujnowanej lewobrzeżnej Warszawie koczowały w prymitywnych warunkach około 22 tys. ludzi”.

OCENA POLITYCZNA I MORALNA

Skąpo na ogół uzbrojeni i wyposażeni powstańcy walczyli tak ofiarnie, że Niemcy uznali te zmagania za jedną z najtrudniejszych operacji wojskowych w drugiej wojnie światowej. Himmler porównywał działania w Warszawie z walkami na ulicach Stalingradu. W połowie grudnia 1944 roku Hitler ustanowił specjalne odznaczenie „Warschau-Schild”. Ale co z tego wynika? Eugeniusz C. Król konkluduje:

„Opinie przeciwnika nie zmieniają podstawowej wymowy faktów: powstanie warszawskie zakończyło się strasliwą klęską, nie został osiągnięty żaden z głównych celów politycznych i wojskowych, w ruinach laglo milionowe miasto, setki tysięcy Polaków straciły życie i zdrowie powiększając i tak już ogromny rachunek ofiar II wojny światowej. Konsekwencje powstania odczuwa się w Polsce po dzień dzisiejszy, świadczą o tym widoczne jeszcze na murach ślady zmagani, zdeformowane ścienne panoramy, uszczuplenie majątku, a zwłaszcza nieobecność w życiu publicznym Warszawy i kraju wspaniałej młodzieży powstańczej. A jednak mimo surowego wyroku historii spory nie gasną, zaś próby jednoznacznego potępienia architektów powstania spotykają się ze sceptycznym pytaniem: No dobrze, ale czy było inne wyjście, czy w niezwykle złożonej sytuacji 1944 r. istniały widoki na lepsze pokierowanie polskimi interesami? I dyskusja toczy się dalej dochodząc często do paradoksalnej, ale na swój sposób przekonującej konkluzji: powstanie warszawskie było błędem politycznym i militarnym szaleństwem, ale jednocześnie stanowiło konieczność, przypominającą do pewnego stopnia nieubłagany bieg wydarzeń w antycznych dramatach”.

Odpowiedzialnością za wybuch i klęskę powstania obarcza się różne siły: wewnętrzne i zewnętrzne. Rząd RP ponosi winę za przekazanie decyzji krajowemu podziemiu bez wyjaśnienia stanowiska i zapewnienia pomocy aliantów zachod-

nich. Władzom podziemnym zarzuca się, że błędnie rozpoznaly siły oraz zamlary niemieckie i radzieckie. Za błąd uważa się fakt, że w podejmowaniu tak ważnej decyzji większą rolę odegrali wojskowi niż politycy podziemia. Oskarżenia kieruje się również pod adresem Wielkiej Trójki. Ale podstawowym winowajcą były Niemcy hitlerowskie, okupujące nasze ziemie i terroryzujące mieszkańców.

Autor omawianego artykułu wskazuje dwa doświadczenia związane z powstaniem warszawskim. Po pierwsze — trzeba odrzucić iluzję i w życiu publicznym kierować się wymogami realizmu politycznego, choć klęci się to z tradycją romantyczną. I po drugie — należy pamiętać, że są jednak racje, dla których obrony warto poświęcić wszystko wbrew chłodnym kalkulacjom.

GASUDARSTWIENNAJA PIERIEWIERKA

Na ziemiach radzieckich, które były pod okupacją hitlerowską, dokonywano później tzw. gasudarstwiennoj pieriewierki — przeglądu stosunku obywateli ZSRR do okupanta. Przede wszystkim wyszukiwano reichsdeutschow, volksdeutschow i innych współpracowników Niemców. Ale badano też i represjonowanych ludzi uczelnych, w tym Polaków należących do AK i związanych z Delegaturą Rządu w Londynie.

W najnowszym miesięczniku „ODRA” (nr 7—8) opublikowano wstrząsającą relację Marii Kulczyńskiej, żony prof. Stanisława Kulczyńskiego — byłego rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, pierwszego Delegata Rządu RP na okrug lwowski, pierwszego rektora Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, wybitnego botanika. Autorka wspomnień zmarła w 1982 roku. Relację jej (spisaną w 1947 r.) udostępniła córka Izabela Kulczyńska-Fajda.

W nocy z drugiego na trzeciego stycznia 1945 r. przystąpiono we Lwowie do masowych aresztowań. Od 3 do 8 stycznia w mieście i najbliższej okolicy uwieziono około 17 tys. osób. Aresztowano m.in. kilku naukowców, profesorów UJK i Politechniki Lwowskiej, wielu lekarzy, inżynierów i artystów. Marię Kulczyńską zabrano w nocy z 8 na 9 stycznia.

„Ponieważ oficer oświadczył mi, że wrócić za 2—3 dni, wzięłam ze sobą tylko koc, jasiek, ręcznik, mydło, szlafrok. Ubrałam się ciepło w futro, czapkę futrzaną, rekawice i pończochy podwójne. Wzięłam też trochę jedzenia i zapas papierosów. Bielizny na zmianę nie miałam — aż do powrotu!”.

W koszmarnych warunkach więziennych Maria Kulczyńska przeżywała wraz z kobietami z różnych środowisk do 3 lutego. Podczas przesłuchań żadna z jej współtowarzyszek nie była bita. Trzeciego lutego kazano wszystkim wyjść z rzeszami.

„Po południu, grupami po kilkanaście, sprrowadzono nas schodami na podwórko i ku naszemu przerażeniu, graniczącemu z osłupieniem, ładowano brutalnie, przy akompaniamentcie przekleństw, uderzeń ręką i kolbą, w niestychanie, szybkim tempie, na ciężarówce auto z silnym uzbrojeniem konwojem, bagnety na broń. Doznałam wtedy, po raz trzeci w ciągu miesiąca, takiego uczucia przerażenia, jakby serce miało mi pęknąć od gwałtownego, bolesnego skurczu... Auta, załadowane tak, że nie można było drgnąć ani poruszyć się, wyjechały z podwórka w ulicę Sapieży — ku dworcowi Czarnowieckiemu. (...)

Wyładowanie odbyło się również jak załadowanie, szybko i brutalnie. Trzeba było zbierać nogi do półbiegu przez szyny, kagaże i rozdeptany śliski śnieg. Nogi zdrewniały i odryły od ruchu nie chciały nieść, ale jeszcze bardziej żądza z nas nie chciała dostać uderzenia w plecy. Chrapliwie «bystro, bystro» wydobywało z nas maksymalną wysiłku. Myślałam wówczas tylko o tym, by nie zwinąć nogi lub nie upaść w śnieg. Na szynach, na którymś torze, stał ogromnie długi pociąg, złożony z wagonów bydłych. Przed każdymi drzwiami pomost. Błyskawicznie wspanięto naszą grupę i zatrzaśnięto drzwi. Za jakiś czas dolo-

dozano do pełna, razem czterdzieści kilka kobiet z tobołkami”.

Zanim pociąg ruszył, minęła doba. Ponad tysiąc mężczyzn i około siedmiuset kobiet (razem 1760 osób) wieziono w nieznanym kierunku od 4 do 11 lutego. Pociąg minął Dniepropietrowsk, Kijów, Charków — zmierzał na południe, jak się potem okazało, do Zagłębia Donieckiego.

„Nie wiem i nigdy nie zrozumiałem, jak mogłam wytrzymać siedem dni i siedem nocy tej piekielnej jazdy, w ciemnościach, głodzie, mrozie, który wzrastał, im dalej byliśmy na wschód od Lwowa, wśród kłótni, awantur i bójek obcych więźniarek z proletariatu. (...)

Pod koniec tygodnia podróży zaczęły dokuczać kłótnie z powodu wzdęć i obstrukcji, a organizm tak już był wysuszony, że z moczem chodziło się najwyżej raz na dobę w kącie wagonu, do malej, niesłychanie zanieczyszczonej i obmarznętej rynienki. Ponadto gryzły nas uszy, a nie można było nic na to poradzić, bo było ciemno, i niemożliwe było rozebrać się z powodu zimna. (...)

Wreszcie o szarym, brudnym świecie zaczęło kolejno otwierać drzwi wagonów z wyładowywaczami. Najpierw kobiety, potem mężczyźni. (...) Gdy przyszła na mnie kolej wyjścia, stała już piątka ustawiona gromada, jakże nieznanymi, zółtobłędymi lub szarymi, brudnymi i posępnych kobiet z tobołkami. Kilka leżało na śniegu obok toru. Żołnierze NKWD dopiękwalili: chcesz się żenić — wybierz sobie ładną żonkę. Na twarzy wysokiego i bardzo przystojnego oficera zauważyłam wyraz zdziwienia i głębokiej troski: oczekiwał transportu ludzi do robót w kopalni, a widział wyłazające na zdrewniałych nogach kobiety, od młodych dziewcząt — nieledwie dzieci, do niedołężnych, chorych i apatycznych staruszek. Był to naczelnik lagru, jak się później okazało, także zesłanie polityczny, dobru i ludzki, o łagodnym usposobieniu i nieprzeciętnej słowiańskiej urodzie Rosjanina, podobno dawniej oficer marynarki”.

ciąg dalszy wspomnień Marii Kulczyńskiej nastąpi w kolejnym numerze miesięcznika. Ja tylko dodam i przypominę, że Stanisław Kulczyński (małżutorki) był w latach Polski Ludowej przewodniczącym Prezydium CK Stronnictwa Demokratycznego (1956—69), wice-marszałkiem Sejmu (1952—56) i zastępcą przewodniczącego Rady Państwa PRL (1957—69).

KOMUNIKAT GUS

W końcu czerwca 1988 roku Polska liczyła 37,9 mln obywateli. Pełny tekst komunikatu GUS o sytuacji społeczno-gospodarczej kraju w pierwszym półroczu 1988 roku opublikował dziennik „RZECZPOSPOLITA” (nr 174).

Przeciętne wynagrodzenie miesięczne wyniosło 43,5 tys. zł i było o 57,5 proc. wyższe w porównaniu ze styczniem tego roku. Najwyższe zarobki były w przemyśle wydobywczym — 77,0 tys. zł, a w całym przemyśle wyniosły 49,8 tys. złotych. Przepiętne emerytura i renta bieżąca (23,2 tys. zł) stanowiła 53,2 proc. przeciętne wynagrodzenia miesięcznego.

W porównaniu z pierwszym półroczem ubiegłego roku ceny detaliczne towarów i usług konsumpcyjnych wzrosły o 49,4 proc. z tego żywności o 46,1 proc., napojów alkoholowych o 57,2 proc., artykułów nieżywnościowych o 48,5 proc., usług o 52,7 procent. Wskaźniki kosztów utrzymania rodzin pracowniczych wzrosły o około 50 proc., a emerytów i rencistów o 51 procent.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

LECH MALAG — wicedyrektor Izby Skarbowej w Łodzi

— U nas wakacji nie ma i letnich ulg podatkowych — również. Kanikula miała, nie da się ukryć, wpływ na postępczość prac przygotowawczych do stworzenia nowego systemu podatkowego; wszystkie one idą jakby wolniej, jest za gorąco. Ale żarty na bok: nie sądzę, obserwując zaawansowanie tych prac w ostatnim i poprzednich tygodniach, by zmiany weszły w życie w styczniu przyszłego roku. Jest to nierealne; może od stycznia 1990???

Wciąż występuje wielość koncepcji, pomysłów i antypomysłów, zbyt długo nie ma zgody co do szczegółów. Zresztą najpierw musi wejść w życie ustawa o przedsiębiorczości, którą — trzeba przyznać — popierają wszyscy „święci”. Zrównanie sektorów, mówiąc lapidarnie ma służyć zasadniczej poprawie demokracji życia gospodarczego w kraju. A sprawy podatkowe — to problemy wtórne, to jakby przepisy wykonawcze do nowej ustawy. Tak więc ja widzę od nowego roku na pewno i — tylko — nowe stawki, w formach uproszczonych, ale i poddane zabiegom antydevaluacyjnym, czyli — wyższe...

Zmartwiłem się też bardzo, gdy kilka dni temu wyczytałem w prasie o napadzie na poznańskiego właściciela szklarni, czyli — jak u nas mówią — budylnarza, któremu tylko w mieniu ruchomym zginęło ponad 160 milionów złotych. Licząc po cenach wolnorynkowych, straty powinno się szacować w granicach miliarda. A krytykuje się powszechnie nasz system podatkowy, który ponoć nie pozwala się dorobić...

KONRAD TUROWSKI — dziennikarz:

— Zdziwił mnie wyrok Sądu Wojewódzkiego w Łodzi, rozpatrujący w drugiej instancji głośną w kraju sprawę z powództwa magister biologii molekularnej, która odmówiła pobrania próbek krwi do badania na obecność wirusa HIV, wywołującego AIDS. Już bowiem przed obliczem Sądu Rejonowego dowodnie, jak się wydawać by mogło, wyszło na jaw, że pracodawca nie zapewnił elementarnego zabezpieczenia niezbędnego przy wykonywaniu zleceń. Dość powiedzieć, że brak było gumowych rękawiczek... Rozpatrywanie więc przy takiej okazji jakichkolwiek aspektów etycznych zwłaszcza kwestii ryzyka związanego z zawodem pracownika służby zdrowia jest chyba zupełnie nieporozumieniem. AIDS, określana całkiem zasłużenie mianem jednej z największych współczesnych plag zagrażających ludzkości, nie można nieodpowiedzialnie nazywać „tą modną chorobą”. Demonstracyjne lekceważenie niebezpieczeństwa na pewno go nie zmniejszy. Moim zdaniem, każdy z nas, również pracownik służby zdrowia, ma prawo do strachu...

KRZYSZTOF JĘDRYCH — rzemieślnik, konserwator, twórca nowej generacji zegarów.

— Wszystkie siedem dni, tak, siedem ścierałem nad realizacją mojego konkursu, którego głównym celem jest zaprojektowanie nowoczesnej obudowy zegarowej, w kilku grupach — od budzików i małych, narecznych do monumentalnych zegarów miejskich. Konkurs, przeznaczony przede wszystkim dla projektantów przemysłowych, już przyciąga (choć termin nadsyłałania prac do listopada) wielu chętnych, również wysokością nagród. Pierwsza — 250 tysięcy złotych, są dwie drugie — po 125 tysięcy i trzy trzecie — po 70 tysięcy; wszystkie przeze mnie ufundowane. Na razie gnie w korespondencji, ale jestem w stałym kontakcie z wieloma renomowanymi firmami zegarmistrzowskimi na świecie i efekty mojego konkursu mam nadzieję znaleźć na Międzynarodowych Targach Poznańskich oraz na Targach w Płymouth.

A jednym z zegarków będzie specjalny budzik dla osób niepełnosprawnych, modyfikowany w zależności od schorzenia. Jako twórca rodziny zegarowej z tak zwaną korektą radiową, które mogą się spóźnić jedną sekundę na 150 tysięcy lat — nie sądził, że bym nie dał rady — z wdrożeniem nowych pomysłów. Tak, bo ja już jestem zaprawiony w bojach, ale w tym tygodniu znalazłem także nieco czasu by zapoznać się z przebiegiem ogólnoekonomicznej dyskusji dotyczącej podejmowania działalności gospodarczej. To co na razie jest proponowane — niewiele zachęca faktycznie do jej rozpoczęcia...

Pytał: DARIUSZ DOROŻYŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— W pierwszy poniedziałek lipca 1941 r. nie przybył na odprawę szef sztabu ZWZ pułkownik Janusz Albrecht „Wojciech”, niedawny dowódca 1 pułku szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, legionista, człowiek znany z punktualności i dokładności. Mijały minuty, kwadransy. Przechodziła cała godzina... — o tajemniczym zniknięciu oficera polskiego podziemia pisze CEZARY LEŻENSKI.

— Jest takie gruzińskie przysłowie: Żyd przechytrzy Armeńczyka, Żyda przechytrzy Grek, ale Gruzini kupi ich wszystkich i sprzeda im samym, tylko dwa razy drożej. I oto Jan Duch miał okazję sprawdzić w praktyce umiejętności swojej Gruzinki — kolejny odcinek nowej książki ANDRZEJA BRYCHTA.

— Poranek na granicy rumuńskiej ma wygląd kilku-letniego, obdartego malca, który stukną w szybę, pokrzykując wytrwale: — Cigareta! Bombona! Cigareta! Dostaje kilka cukierków i w tym momencie przeraźliwie gwizdzie na palcach, a z rowu wyskakuje spora grupa wyraźnie starszych wyrostków... — reportaż DARIUSZA DOROŻYŃSKIEGO.

— Prof. dr Georg Günther ma niezwykle życiorys. W jego żyłach nie płynie nawet kropla krwi polskiej, ale mówi i pisze po polsku. A jego żona Jutta nie zna polskiego, natomiast pochodzi z polskiej rodziny — rozmowa z okulista, poetą i tłumaczem, którą przeprowadził na wyspie Usedom JERZY WILMAŃSKI.

— W życiu człowieka seks nie służy tylko rozmazaniu, lecz w równej mierze znacznia obopólną więź. Nie ma prawdziwej miłości tam, gdzie życie seksualne jest nieudane. Religijnym i obyczajowym przesądem jest wiązanie seksu wyłącznie z prokreacją. Wszystkie racje pozabawiające człowieka największej przyjemności, jaką daje seks, są w moim przekonaniu wątpliwe — twierdzi MIROSLAWA SARBINSKA.

1. Opóźniony pociąg z Raciborza do Elku jest zatłoczony do granic możliwości. W przedziałach gniecie się po 10-12 osób. Korytarze wypełnione są plecakami, workami, namiotami. Dotarcie do toalety wymaga ściągnięcia ekwilibrystycznych zdolności. Taka wyprawa trwa kilkanaście minut. W Warszawie oczekujący na ten pociąg mają poważne problemy z dostaniem się do środka. Wśród pasażerów sporo harcerzy, na Mazurach odbywa się zlot ZHP — Grunwald'88.

2. Pojęcie zlotu istniało już od momentu powstania harcerstwa. Zloty organizowano z potrzeby porównania dorobku poszczególnych środowisk i regionów, pokazania sprawności organizacyjnej i prezentacji osiągnięć społeczeństwa. Zloty organizowały hufce, chorągwie, drużyny o wspólnym bohaterze, albo zainteresowaniach. W historii ZHP odbyło się także kilka zlotów ogólnopolskich. Pierwszym takim zlotem był I Zlot Narodowy, który odbył się w Warszawie w 1924 roku. Następny — II Zlot Narodowy Harcerzy — odbył się w Poznaniu, a największy z dotychczasowych rozbił namioty w Spale w 1935 roku. Po wojnie odbyły się dwa wielkie zloty harcerskie: Grunwald'60 (z okazji 550 rocznicy bitwy) i Kraków'81 (II Jubileuszowy Zlot Harcerstwa). Tegoroczny Zlot Grunwaldzki jest drugim pod względem liczby uczestników.

3. Olsztynek. Jest godzina 4.00. Na mokry peron stacji wysypuje się kilkudziesięciu harcerzy. Mimo zimna wszyscy ubrani w krótkie spodnie. Plecak ukryte pod pelerynami sprawiają wrażenie, jakby była to wycieczka wielbłądów. Chwila lektury rozkładu na tablicy PKS i wszyscy znikają w kierunku poczekalni. Najbliższy autobus odjeżdża za 3 godziny. Nie czekam z nimi. Ten czas wykorzystam na dotarcie do Perkoza, gdzie mieści się Centrum Prasowe i Rozgłośnia Złotowa. Niestety — o tej porze można liczyć tylko na własne nogi. Ruszam więc w kierunku ośrodka harcerskiego nad jeziorem Pluszne. Po 8 kilometrach mijam drogowskaz i tablicę informacyjną: SHS Perkoz; Zgrupowanie Obozów Chorągwi Gdańskiej, Słupskiej, Koszalińskiej i Szczecińskiej. Ostatnie 2 km to waska asfaltowa droga wzdłuż jeziora. W pięknym sośnowym lesie, obok drogi rozłożone są obozy. Nie ma jeszcze słońca. Nic nie mać ciszy oczekujących na po-

budkę harcerzy. Tylko wartownicy uważnie obserwują mnie ze swoich stanowisk. Wzdłuż drogi rozstawione śmietniczki wykonane harcerskimi metodami. Co kilkanaście metrów tabliczki z napisem: NIE ŚMIEĆ. Wreszcie zza drzew wylaniają się budynki ośrodka. Wartownia, obok tablica — Szkoła Harcerstwa Starszego Perkoz. Niewielki, świetnie wkomponowany w otoczenie budynek stwarza kameralną atmosferę, pomimo że wokół pełno harcerskiej starszyny. Jest także Naczelnik — Ryszard Wosiński.

Harcerze '88

Wyprawa na Grunwaldzkie Pola

MAREK JUŚKIEWICZ



Foto: G. Galasiński

Miła, funkcjonalna stolówka, przeschłone, pełne słońca korytarze. Przy głównym wejściu stoi wartownik. On wskazuje mi drogę do Biura Prasowego. Tu obsługa rzeczowa, szybka i miła. Otrzymuję wszystkie materiały, jakimi dysponuje Biuro. Znalazło się także śniadanie. Zbliża się 9.00. Czas przenieść się do stacji nadawczej Radia Perkoz. Kilka wojskowych Starów przycisnęło się między drzewami i tuż za ośrodkiem. Atmosfera tutaj niewiele ma wspólnego z moimi wyobrażeniami o radiu. Miniaturowe studio w kabinie samochodu jest stale otwarte. Z zewnątrz docierają na antenę różne odgłosy. Po terenie oprowadza mnie jeden z redaktorów. Kiedy podchodzimy do studia zwraca uwagę: teraz cicho — jesteśmy na antenie ogólnopolskiej. Zaglądam do wnętrza. Przed mikrofonem Danuta Urbanik i szef Pionu Propagandy Złota — dh. Jacek Piechota. Właśnie nadawany jest serwis informacyjny dla audycji „Halo wakacje”. Po dziewiętej w eter płynię sygnał Rozgłośni

Harcerskiej i następuje moja kolej. Przez chwilę rozmawiamy na antenie — kilka słów o sobie, o drużynie, o Zlocie. Kończymy. Jeszcze pozdrowienia dla znajomych, przypomnienie nr telefonu i rozlega się muzyka. Tak przez 24 godziny na dobę. Załoga Radia Perkoz to około 40 osób, w tym 11 osób prowadzących program. 30 metrowa antena zapewnia słyszalność stacji w promieniu ok. 150 km. Muzyka, złotowe wieści, gawędy, rozmowy z gośćmi. Cały program idzie na żywo, stąd słychać czasem na antenie prywatne rozmowy, pomył-

skowe. Bez ich pomocy nie udałooby się uporządkować zabezpieczeniem podstawowych wymagań sanitarnych. Wojsko wzięło na siebie część ogromnej pracy, jaką jest transport. Wśród kolorowego tłumu raz, po raz przemyka motocykl z harcerzem w białym hełmie. To Drużyna Sztabowa. Kiedy nawala łącząca radiowa na trasę ruszają łącznicy. Mają w swoim gronie nawet jedną dziewczynę.

6. Rozległe, trawiaste tereny grunwaldzkich pól zapelniają

ki, przerwy. Żegnam się i razem z obozem ze Słupska jadę na Grunwald.

4. „Stan złotych szeregów jest zmienny. Wg danych Sztabu wyniósł ostatnio 17026 osób. Zwracam uwagę, że nasze zgromadzenie przekroczyło już liczbą granicę wielkości manewrów, od której obowiązuje wymiana obserwatorów między Układem Warszawskim, a NATO (...)” — Merkuriusz Złotowy.

5. Przed dziesiątą jestem na Polach Grunwaldzkich. Jest gorąco. Na wzgórzu widać pomnik. Wokół parkingu tłum harcerzy. Służbowi w zielonych beretach kierują ruchem. Podziwiam ich sprawność — to wielka sztuka upchnąć na tak małym przestrzeni kilkadziesiąt autokarów, ciężarówek, furgonów i samochodów osobowych. Po terenie Miasteczka Złazowego prze-
mnykają wozy strażackie i woj-

skowe. Bez ich pomocy nie udałooby się uporządkować zabezpieczeniem podstawowych wymagań sanitarnych. Wojsko wzięło na siebie część ogromnej pracy, jaką jest transport. Wśród kolorowego tłumu raz, po raz przemyka motocykl z harcerzem w białym hełmie. To Drużyna Sztabowa. Kiedy nawala łącząca radiowa na trasę ruszają łącznicy. Mają w swoim gronie nawet jedną dziewczynę.

7. Zgrupowanie Obozów Łódzkiej i Skierniewickiej Chorągwi ZHP w Dęboku koło Szczytna. Daleko od centrum zlotu. Są trudności z dotarciem do innych obozów, które rozmieszczone są bliżej Grunwaldu. Dębokowo to teren niebezpieczny — tylko kilka kilometrów do Szczytna, gdzie niedługo urzędował bezwzględny Kontur znany z „Krzyżaków” H. Sienkiewicza. A zgrupowanie nosi nazwę Gród Juranda. Chorągiew Skierniewickiej reprezentują drużyny z Zyrardowa, a także ze Skierniewic, Mszczonowa, Rawy Mazowieckiej, Łowicza, Sochaczewa, Jeżowa, Brzezin i Wiskitek. Podczas dwudniowego pobytu w tym zgrupowaniu uwagę mają zwrócić dziewczęta z drużyny z Zyrardowa, które zaskoczyły mnie prawie profesjonalnym brzmieniem w czasie festiwalu piosenek. Bardzo ciekawy zestaw ma reprezentacja Chorągwi Łódzkiej, Łódź na Zlocie reprezentuje 7 drużyn — 1 — z Głowna (3 SDM i Niedzwiedzia Lapa), 1 z Balut (100 LDM), 1 z Górnej (53 LDM) i 4 drużyny z Polesia (46, 59, 62 i 28 LDM). Każda z drużyn ma swój własny styl pracy, a że są to drużyny znaczne w Łodzi i sprawnie działające świadczy to, że np. 100 LDM brała udział w Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów w Moskwie w 1985 r. 3 SDM z Głowna brała udział w wycieczkach po ZSRR w nagrodę za wygranie współzawodnictwa Przyjaźni. 28 LDM brała udział w realizacji filmu „Czarne Stopy”.

Nazwa obozu „Dzika Afryka” mimo że nie związana tematycznie ze zlotem doskonale oddaje charakter i temperament członków drużyny. Każda z tych drużyn ma własne zwyczaje, obrzędy nawet własne specyficzne poczucie humoru. Dlatego często zdarzyć się może, że ognisko jednej drużyny nie musi stanowić dobrej zabawy dla innych. Ale tutaj nie ma takich problemów. Apetyty dopisują, pogoda nie jest najgorsza, a komary, których tak się bał łódzki harcerze przed wyjazdem, okazały się niezbyt naczalne.

Rodzice dziwią się, kiedy dostają kartki w stylu: „Kochani rodzice, jest dobrze, wasz synek — Piotruś”. Pewnie dzie-

ciaki harują od rana do nocy i nie mają czasu listu napisać — myślą wtedy. A tymczasem harcerze bawią się doskonale, zdobywają nowe sprawności, stópnie i jestem pewien, że już zaczynają żałować, że wkrótce trzeba wracać do domu.

8. „Coś się nam ten zlot rozla-

zi... Ma przecież być integracją drużyn, prezentacją harcerstwa różnych regionów. A tu odległości — jak dla pociągów dalekobieżnych. Oprócz Sztabu niewiele kto wie, gdzie znajdują się inne obozy” — Merkuriusz Złotowy.

9. Jest późny wieczór. W obozie 100 LDH spotkanie z Komendantką Chorągwi Łódzkiej dh Teresą Pruska. W spotkaniu bierze udział także 53 LDH im. Franciszka Zwirki i Stanisława Wigury. Jest okazja, aby twarzą w twarz porozmawiać z Komendantką, zapłacić, podyskutować o Zlocie, o Związku, o planach, kłopotach, marzeniach.

— Jak wygląda Chorągiew Łódzka na tle innych? — Jest specyficzna. Mały obszar, a bardzo duże załadnienie — mówi dh Teresa Pruska. — Mamy 35.000 zuchów, harcerzy i instruktorów i kadrowo nie stać nas, aby powiększyć ten stan.

— A inne chorągwie? — Inne chorągwie mają po 180.000 harcerzy (Katowice) są w Polsce tak liczne hufce. Ale jesteśmy jedną z najlepszych chorągwi. Przynajmniej tak uważamy. Porównujemy się z najlepszymi: Warszawą, Gdańskiem, Krakowem. Również akcje letnią mamy przygotowane dobrze — tak ilościowo jak i jakościowo. Nasze obozy nie są najlepiej wyposażone i uzbrojone, ale wszystkie są na dobrym poziomie propagandowym.

Pytań było wiele. Spotkanie przy świecach i gitarze trwało długo. Kiedy nadszedł kres tej wieczornej rozmowy wszyscy związali krąg.

„Ogniska już dogasa blask braterski splećmy krąg w wieczornej ciszy w świetle gwiazd ostatni uścisk rąk... Kto raz przyjaźni poznał moc nie będzie trwał w słońcu. Przy innym ogniu w inną noc Do zobaczenia znów...”

W obozie zapadła cisza. Tylko warta obchodziła swoje rewiry zapewniając spokojny sen łódzkiemu harcerzom.

czasy — „gierkowskie” zresztą. Teraz mamy tego skutki, ale to już mniej przemawia do wyobraźni.

Mimo tego, nie boję się słowa: „kryzys”, bo oznacza to dla mnie załamanie się jakiegokolwiek procesu, niekoniecznie tylko rozwoju gospodarczego, to w sporze o to, czy miałby powstać „pakt antykryzysowy”, czy „koalicja proriformatorska” opowiadałbym się za tą drugą, chociaż ani po „pakcie”, ani po „koalicji” nie spodziewam się gwałtownej zmiany sytuacji gospodarczej. Zresztą podejrzewam głęboko, że wielu ludzi, którym jest coraz trudniej związać koniec z końcem w obliczu nieubłaganej rosnącej spirali cen, obojętne jest czy część opozycji dogada się z władzą i na jakich zasadach. Oni oczekują zupełnie czegoś innego. Rozumieć natomiast, że w wyniku czy to „paktu”, czy „koalicji” zmienić ma się sytuacja polityczna polskiego społeczeństwa. Ma się ono stać podmiotem życia politycznego, do czego zresztą zmierzają propozycje VI Plenum KC PZPR.

Ponieważ w tekście tym szczerze cytowałem, proszę mi wybaczyć jeszcze jeden cytat.

„Tłem kryzysu, który uewnętrzniał się w 1980 r. i objął wszystkie dziedziny naszego życia publicznego, były odstępstwa od zasad socjalizmu w praktyce politycznej. Odstępstwa te zaczęły się zwrócić dokonaniem w polityce PPR w roku 1948, a pogłębionym w roku 1949. Pojawili się wtedy deformacje systemu, które nigdy do końca nie zostały przewyższone, a które polegały na ograniczaniu demokracji wewnętrznej i ogólnospołecznej, na przetransformowaniu biurokratycznego centralizmu w partii, państwie, gospodarce i polityce kulturalnej, na pozbawieniu partii uprawnień kontrolnych nad jej kierownictwem, a społeczeństwa nad władzą”.

I choć sporo się w Polsce zmieniło, to przecież ten fragment uchwały IX Zjazdu PZPR nie stracił swej aktualności. Oto dlaczego bardziej mi odpowiada „koalicja proriformatorska”, bo dla reform nie ma alternatywy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Foto: W. Kalczak

ODGŁOSY 3

Z tej ziemi

Co z tym kryzysem?

S potkał mnie znajomy i obwieścił nie bez pewnej złośliwości: — Wiesz, minister Jerzy Urban ogłosił na konferencji prasowej, że kryzys już się skończył. Siegnąłem do stenogramu.

— Pojęcie paktu antykryzysowego zakłada — mówił na rzecznej konferencji Jerzy Urban — że w Polsce trwa kryzys gospodarczy. Uważamy, że wyszliśmy z fazy kryzysu gospodarczego. I chociaż sytuacja gospodarcza jest niekorzystna, chociaż mamy duże trudności, to trudno jest używać tego samego pojęcia na oznaczenie bardzo różnych stanów gospodarki. Na pewno w końcu 1981 czy na początku 1982 r. to był kryzys i na pewno dzisiaj to nie jest kryzys.

Dlatego zdaniem Jerzego Urbana nazwa: koalicja proriformatorska „lepiej oddaje istotę rzeczy”.

W wywiadzie udzielonym „Konfrontacjom” Klemens Szaniawski powiedział: — Określa się na przykład stan, w jakim znajduje się nasz kraj, mianem kryzysu. Kiedy to słyszę, czuję pewne zgorznienie. Należę do pokolenia, które z lat dziecięcych pamięta kryzys lat trzydziestych. Dla mnie zatem kryzys, to kataklizm, załamanie się światowego systemu gospodarki, na które Polacy mają doświadczenie tak sam wpływ, jak na to, czy lato będzie suche w tym roku. Słowo „kryzys” sugeruje więc bezradność wobec tego zjawiska. A ponadto likwiduje problem odpowiedzialności. Myślę, że raczej ma Kiszczak nie trzeba mówić „kryzys”, tylko „rezultat”. Jest to wielkie językowe odkrycie Kiszczaka...

Najbardziej podoba mi się zaklinanie rzeczywistości słowami, jeśli zamiast „kryzys” będziemy mówili „rezultat”, to niby zmienić się rzeczywistość. A kryzys to nie jest przypadkiem rezultatem błędnej polityki gospodarczej, braku umiejętności rozwiązania we właściwy sposób sprzeczności pomiędzy stanem sił wytwórczych i stosunków produkcji a nadbudową. Jeśli dla kogoś jest to zbyt wielkie uogólnienie, to mogę powiedzieć, że jest to sprzeczność między rządzącymi, którzy tak daleko nie chcą być rządzeni, bo chcą mieć większy wpływ na tożsamość, a rządzącymi, którzy nie potrafia inaczej, choćby nawet chcieli bardzo. Czasem właśnie nie chcą chcieć.

To zresztą, nie nowego. W referacie na VI Plenum KC PZPR powiedziano między innymi: „Szczególnie ważnym wymogiem dla partii stojącej na czele przemian jest dziś umiejętność dostrzegania i rozwiązywania sprzeczności między zwolennikami pogłębienia socjalistycznych reform a ich przeciwnikami; między orientacją na racjonalne, nowatorskie rozwiązania a trwaniem przy starych schematach; między potrzebą zwiększenia pola dla inicjatywy i przedsiębior-

kości, samorządności i społecznej kontroli, umacniania praw obywatelskich, autonomii i samodzielności poszczególnych środowisk a utrzymującym się w niejednym ogniu władzy asekuranctwem i formalizmem, biurokratycznym administrowaniem i szamizandem. Z drugiej zaś strony występującej w części społeczeństwa biernością, lekceważeniem obywatelskich obowiązków i norm”.

I co? Może to już straciło swą aktualność? Może już przewyżczyliśmy te przeciwności? Nie sądzę. Ale szukajmy dalej odpowiedzi na pytanie: co z tym kryzysem?

Józef Pajestka, odpowiadając na ankietę „Rzeczypospolitej”, napisał: „Na początku lat osiemdziesiątych nastąpił spadek dochodu narodowego o około jedną czwartą i to jest kryzys na miarę kryzysu z lat trzydziestych w Stanach Zjednoczonych”.

Nie sądzę, abyśmy już ten stan całkowicie przewyżczyli. Wisi nad nami ciągle nie malejące zadłużenie. Gorzej jest z eksportem niż można było sądzić, nie ma równowagi na rynku krajowym, brakuje lekarstw i środków opatrunkowych, rośnie inflacja. Wskazują na to wyniki I półrocza 1988 roku. Upadające przedsiębiorstwa nie bankrutują, rząd ma specjalne pełnomocnictwa, ale nie potrafi z nich skorzystać. Zresztą struktura cen i plac powinna kształtować się na rynku, a nie w zaciszu gabinetów. Nie może dalej być tak, że przedsiębiorstwa będą nieustannie kształtowały swój zysk tylko przy pomocy rosnących cen, a nie ilości i jakości produkcji.

Przykład mi najbliższy. Na początku roku znacznie, bo o 100 procent i więcej wzrosła cena prasy. Dzięki temu „Odgłosy” stały się dochodowe. Ale oto doszła mi wiadomość, że przemysł papierniczy podnosi cenę papieru o 30-35 procent. Dochód, jaki wreszcie uzyskaliśmy, zostanie zniwelowany. Powstanie konieczność podniesienia ceny. Jak długo można tak postępować, nie licząc się z prawem popytu, który musi być na rynku. W pewnym momencie przekroczone zostanie bariera, której przekroczyć nie wolno. Ale monopolista papierniczy na to nie zważa. On dyktuje cenę. Nikt inny papieru RSW „Prasa-Książka-Ruch” nie sprzedaje. Kryzys w socjalizmie charakteryzuje się bowiem brakiem towarów, malejącą produkcją, trudnościami w zaopatrzeniu ludzi w produkty gospodarki. W kapitalizmie wygląda to zupełnie inaczej. „Kryzys w przemyśle powstaje wtedy — pisał w 1929 roku Władysław Grabski — gdy w pewnym momencie zostaje ujawnione, że zaoferowanie przekracza znacznie zdolność nabywczą społeczeństwa. Dochodzi do takiego stanu wtedy, gdy przez pewien okres ogólnego ożywienia produkcja przemysłowa stale rośnie. Z początku odpowiada to wzrostowi siły nabywczej, później przekracza, ale na razie to nie jest widoczne, gdyż kredyt odsuwa moment, gdy brak równowagi zostaje uwidoczniony. Dopiero w pewnym momencie ujawnia się ten brak równowagi i wtedy następuje kryzys, którego wynikiem jest doprowadzenie do niej z powrotem. Kryzysy w przemyśle są regulatorami tempa wzrostu wytwórczości”.

Mimo zasadniczej różnicy w charakterystyce zjawiska nie byłbym się słowa: „kryzys”, jeśli pod pojęciem tym rozumieć poważne załamanie procesu wzrostu gospodarki. Nasza gospodarka w stosunku do poziomu z 1980 roku znacznie się zmieniła i nastąpił pewien jej rozwój, ale gdzie nam jeszcze do tego, co już było, a co niektórzy wspominają z wyraźnym żalem. Ot, były to

kiego, w działaniach wojennych na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

W styczniu 1919 roku na paryskiej konferencji pokojowej delegat Polski Roman Dmowski domagał się granicy wschodniej obejmującej znaczną część Litwy, Białoruś oraz Podole. Alianci uparcie wracali do linii Curzona licząc na przejściowość władzy radzieckiej i powrót „białej”, a więc przyjaznej i potrzebnej sobie Rosji. W tej sytuacji Józef Piłsudski zaczął szukać zbrojnych rozstrzygnięć. W lutym 1919 roku rozpoczęła się polska ofensywa — marsz na Litwę, Białoruś, Polesie i Wołyń. 19 kwietnia Edward Rydz-Śmigły na czele polskich oddziałów wkroczył do Wilna. Rozpoczął się fatalny dla Polski okres, kiedy to na skutek działalności władz, zaczęła narastać niechęć miejscowej ludności do Polaków, co przekreślało nadzieje Józefa Piłsudskiego na urzeczywistnienie jego federalistycznej koncepcji.

Pozostała Ukraina. Jej częścią naddnieprzańską kierowała Ukraińska Republika Rad, a część zachodnią była w rękach polskich. Ukraińscy nacjonalisci byli bez szans i te szanse postanowił im dać Józef Piłsudski. Ataman Semen Petlura ofiarowaną pomoc skwapliwie przyjął i zrobił wszystko, aby usposobić do siebie przychylnie nowych sojuszników i protektorów, obiecując, iż polską ofensywę wesprze ukraińskie powstanie. Józef Piłsudski, choć miał niemałe doświadczenie — obiecywał przecież wybuch powstania Japończykom w roku 1904 i Austriakom w 1914 roku — dał się tym razem podejść Semenowi Petlurze. Powstanie, jak wiadomo, nie wybuchło, a złożyły się na to i wpływy rewolucji, i głęboko zakorzeniona, nieufność do „polskich panów”.

25 kwietnia 1920 roku rozpoczęła się ofensywa na Ukrainie, a 7 maja wojska polskie nie napotykając na większy opór zdobyły Kijów. Określenie „zdobyty” jest tu chyba trochę na wyrost, jako że pieszki polski patrol wjechał ponoć do Kijowa miejscowym tramwajem.

„Wojska Rzeczypospolitej Polskiej na rozkaz mój ruszyły naprzód wstępując głęboko na ziemie Ukrainy — pisał w odezwie „do wszystkich mieszkańców Ukrainy” Józef Piłsudski. — Wojska polskie pozostaną na Ukrainie przez czas potrzebny po to, aby władzę na ziemiach tych mógł objąć prawy rząd ukraiński. Z chwilą, gdy rząd narodowy Rzeczypospolitej Ukrainy powoła do życia władze państwowe, gdy na rubieży staną zastępy zbrojne ludu ukraińskiego, zdolne uchronić kraj ten przed nowym najazdem, a wolny naród sam o losach swoich stanowić będzie”.

Rzeczywistość okazała się inna, a euforia z odniesionego zwycięstwa nie trwała zbyt długo. 10 czerwca 1920 roku, w obliczu przeważających sił przeciwnika głównowodzący wojskami polskimi na Ukrainie — Edward Rydz-Śmigły zarządził odwrót. Przeprowadzono go wzorowo zważywszy, że dokonywał się on na 600-kilometrowym obszarze między Kijowem a Warszawą.

W OBLCZU KLĘSKI

24 lipca 1920 roku utworzony został Rząd Obrony Narodowej z Wincentym Witosem i Ignacym Daszyńskim na czele.

30 lipca 1920 roku w zajętej przez Armię Czerwoną Białymostku powstał Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, w składzie: Feliks Dzierżyński, Julian Marchlewski i Feliks Kon. Wydano Manifest, w którym pisano:

„Idźcie ku nam Armia Czerwona z hasłem za naszą i Waszą wolnością! Nie po to wkraczają do Polski nasi bracia rosyjscy, by ją zamożować! Wojsko obecne narucił im rząd polski. Walczcie on przede wszystkim o pokój dla siebie, gdyż tylko pokój da im możliwość powrót do domów, możliwość podjęcia dzieła tworzenia nowego ładu”.

Józef Piłsudski przeżywał najtragiczniejsze chwile w swoim życiu. Jego samopoczucie oraz pozycję w społeczeństwie Ambasador Amerykański Gibson w raporcie do Departamentu Stanu scharakteryzował w sposób następujący:

„Morale armii podupadło, a z tym i morale samego Piłsudskiego. Ci którzy widzieli go w tym czasie mówią, że zwykł siedzieć i powtarzać obojętnie, że przegrał wierząc w swoje oddziały i nie pozostaje mu nic innego jak czekać, spodziewając się, że coś się zmieni na lepsze... Początkowo ludzie powstrzymywali się od krytycyzmu, ale po trochu, kiedy oczekiwane wiatry przeciwne zaczęły się materializować, krytycyzm stał się głośniejszy i rósł szybko i intensywnie. Ci, którzy byli najgłośniejsi w chwale Piłsudskiego zaczęli go teraz najgłośniejszymi przeklinać. Prasa opuściła go i straciła kontrolę nad sejmem. Rada Obrony Narodowej dała mu możliwość zrzućcia części ciężaru niepowodzeń, który dotąd sam dźwigał. Niezadowolone ND-ecji było hałaśliwe i niektórzy zaczęli wzywać do powstania i innych urogięci generałów na jego miejsce. Gdyby tu był ktoś zdolny do wzięcia na siebie kontroli, byłby niewątpliwie zmiótł go z urzędu”.

W połowie sierpnia 1920 roku sytuacja była wręcz dramatyczna. Front radziecki na północy dowodzony przez Michała Tuchaczewskiego zbliżał się ku Warszawie powstrzymywany w ciężkich bojach przez 5 armię generała Władysława Sikorskiego. Na obszarze środkowym zbliżała się do Warszawy grupa wojsk Armii Czerwonej. Jednakże dowództwo sowieckie popełniło szereg błędów w jakimś sensie kłopotliwy błąd polskiego sztabu z okresu ofensywy na Kijów. Rozciągnięto linie łączności i zapoatrzenia, rozluźniono współdziałanie w rezultacie długiego, szybkiego marszu pościgowego za armią polską, a Siemion Budionny miast wesprzeć wojska atakujące Warszawę próbował zdobyć Lwów.

6 sierpnia 1920 roku Józef Piłsudski podjął decyzję o oderwaniu się polskiego wojska od nieprzyjaciela i przyjęciu bitwy na linii rzeki Wisły. Front północny otrzymał zadanie odparcia ataków na przyczółek warszawski, natomiast utworzona armia manewrowa pod dowództwem Naczelnego Wodza miała uderzyć znaną Wierprza na flankę i tyły atakujących wojsk radzieckich. Kto był autorem tego — jak się później okazało doskonałego — planu? Spekulując wymieniano trzy nazwiska: Maxime Weyganda, Tadeusza Rozwadowskiego i Józefa Piłsudskiego. Generał Maxime Weygand sam zdementował te sugestie. Józef Piłsudski w swoim „Roku 1920” twierdził, iż generał Tadeusz Rozwadowski miał odmienną koncepcję i pisze:

„Przed wszystkim sprostować chęć dziwaczne stwierdzenie, jakoby z tą datą związana była jakaś rada wojenna, gdyż wszystkie zasadnicze decyzje w ciągu wojny pobierałem sam, nie wzywając nigdy żadnej rady”.

Mijał się nieco Józef Piłsudski z prawdą, bo już 8 sierpnia 1920 roku w wyniku konferencji odbytej z generałami Maxime Weygandem i Tadeuszem Rozwadowskim dokonał pewnych zmian, między innymi zgadzając się na utworzenie silniejszej grupy manewrowej w rejonie Modlina i Pułtuska.

BITWA WARSZAWSKA

Bitwa warszawska rozpoczęła się po południu 13 sierpnia 1920 r. na odcinku 1 armii polskiej, uderzeniem wojsk sowieckich na Radymin i zajęciem go w godzinach wieczornych. Nie powiodły się próby odbicia miasta przez 1 dywizję litewsko-białoruską, a Rosjanie kontynuując natarcie dotarli 14 sierpnia do Kątów Węgierskich, na 7 kilometrów od Wisły pod Jablonną, gdzie planowano przeprowadzić 14 sierpnia — to rozwijanie ofensywnych operacji Armii Czerwonej, 16 armia atakowała na odcinku radzyńskim, 3 armia atakowała Zegrze, a jej część kierowała się na Modlin. 15 armia walczyła nad Wkrą, a 4 ar-



General Tadeusz Rozwadowski

Jak to było z „Cudem nad Wisłą”

mia zbliżała się ku Wiśle, strając się przepisać pod Włocławkiem i Nieszawą. Ciężkie boje obronne toczyła także 5 armia polska, a szczególną groźbę stanowiła utrata dwóch forto Modlina.

Sytuacja przedstawiała się tak, że na kierunku warszawskim zostały przerwane wszystkie linie obronne i przeciwnik znalazł się w odległości 14 kilometrów od Warszawy.

Nadechła chwila decydująca, ale Józef Piłsudski nie stawał wszystkiego na jedną kartę. Jak pisał: „20 dywizji, które miały wziąć udział w decydujących walkach o naszą stolicę Warszawę, 1/4 czyli pięć i pół dywizji, prawie 15, a więc 3/4 ma rolę pasywną i zaledwie z których jedna jest opóźniona w ruchu na rolę aktywną”.

„Przypuszczam — kontynuował, a mówił te słowa 12 sierpnia w Warszawie — że w interesie całości jest, aby nieprzyjaciel pomógł wielkie straty przy ataku i zmuszony był silnie się zwozić bojowo z obsadą warszawską, tak, aby nie był w stanie przeciwstawić nadchodzącym wojskom dowodzonym przez mnie tzn. pięciu dywizjom większej siły. Po drugie, wskazałem, że wojsko, skoncentrowane do kontrataków tzn. 5 i pół dywizji, muszą mieć pewien czas dla odpoczynku i należytego ugrupowania się oraz wykorzystania uzupełnień, które tam zostały zdyktowane. Muszę mieć czas także sam do obejrzenia wojsk, gdyż obawiam się, że ich stan moralny nie jest tak wysoki, jakby to było pożądane dla tak trudnej i ryzykownej operacji. Dlatego też nie sądzę, abym mógł wcześniej rozpocząć operację niż 15 sierpnia”.

Tak więc Józef Piłsudski decydował się na ostateczne rozstrzygnięcie, ale w podobny sposób rozmawiał Michał Tuchaczewski. W „Pochodzie za Wisłą” pisał:

„Już od pięciu tygodni trwała nasza ofensywa. Przez pięć tygodni dążyliśmy do tego, aby odnaleźć żywe siły wroga i w rozstrzygnięciu uderzeniu ostatecznie je unicestwić. Przez pięć tygodni „białe” polskie armie niezmiennie uchylały się od rozstrzygnięcia uderzenia ze względu na rozpręczenie swoich oddziałów i dopiero nad Wisłą, wzmocnieni przez nowe formacje, Polacy zdecydowali się na bój. Nie wiedziliśmy zawczasu, gdzie spotkamy główny opór przeciwnika — nad Wisłą czy za Wisłą. Ale wiedziliśmy jedno: że gdzieś znajdziemy jego główne siły i rozbijemy je w decydującym spotkaniu”.

14 sierpnia 1920 r. dowódca frontu północnego generał Józef Haller polecił generałowi Lucjanowi Żeligowskiemu dokonać przeciwnatarcia pod Wólką Radzyńską i Izabelinem. Natarcie miało się rozpocząć o świcie 15 sierpnia, ale przypadek sprawił, iż rozpoczęło się o kilka godzin wcześniej. Jeden z dowódców batalionów nie otrzymał rozkazu przesunięcia terminu natarcia, zaatakował nocą zaskakując przeciwnika i powodując panikę w kilku radzieckich pułkach. O godzinie 10 rozpoczął się atak 10 dywizji piechoty na Mokre, a dywizji litewsko-białoruskiej w kierunku Radzymina. O godzinie 15 zdobyto Mokre, armia rosyjska przeszła do obrony.

Także 14 sierpnia 8 brygada kawalerii z 5 armii generała Władysława Sikorskiego zaatakowała Ciechanów, gdzie znajdował się sztab 4 armii radzieckiej. Zdobyto radiostację, co przerwało łączność dowództwa radzieckiego z 4 armią i w niemalym stopniu zaważyło na ostatecznym wyniku bitwy warszawskiej.

16 sierpnia 1920 roku ruszyła armia manewrowa Józefa Piłsudskiego. Okazało się jednak, że atak skierowany był na prawie 100-kilometrową przestrzeń między 16 a 12 armią radziecką. Był to w praktyce, nie licząc walki pod Kockiem, raczej manewr wyjścia na głębokie tyły nieprzyjaciela. Józef Piłsudski opisał to w sposób następujący:

„Dnia 16-go rozpocząłem atak, o ile w ogóle atakiem nazwać to można. Lekki i bardzo łatwy bój prowadził przy wyjściu tylko 21 dywizji, która nie wiadomo po co parę dni temu, uszkodzony most, cofnęła się z Kooka, a teraz musiała w bród forsować Wierprz, by Kock znów odbierać. Inne dywizje szły prawie bez kontaktu z nieprzyjacielskim... Nie moge nie powiedzieć, że tego dnia wieczorem, gdy wszystkie już dywizje przebiegły po dobrych trzydziści kilka kilometrów ku pomocy, główną zagadką, którą chciałem sobie rozstrzygnąć była tajemnicza tak zwanej mozyrskiej grupy... Przecież była to jakaś apokaliptyczna bestia, przed którą cofały się przez miesiąc liczne dywizje... Dzień 17 sierpnia nie przyniósł mi żadnego wyjaśnienia tych zagadek”.

Nie mógł Józef Piłsudski trafić na zorganizowany opór wojsk sowieckich skoro — jak pisał Michał Tuchaczewski — „o ofensywie polskiej dowództwo frontu dowiedziało się dopiero 13 sierpnia z rozmowy Hughesowej z dowódcą armii 16. Ten ostatni o ofensywie dowiedział się dopiero 17-go. Grupa mozyrska nie miała znać o tym, co się stało”.

WYKORZYSTUJĄC SUKCES

18 sierpnia 1920 r. Naczelnik Wódz wydał rozkaz określający następujące cele operacyjne:

„3-cia armia — przesłanianie Lubelszczyzny i Chełmszczyzny, obsadzenie Bugu, wywiad na Zabuziu oraz pomoc lewemu skrzydłu frontu południowego przez działania od północy na oddziały 12 armii bolszewickiej, nie kępując się granicą południową owego odcinka.

2-ga armia — wyteżony pościg w kierunku północnym dla zajęcia Białegostoku i zaatakowania cofających się kolumn nieprzyjaciela od wschodu, jednocześnie zaś zabezpieczenie się od wschodu przez obsadzenie Brzeźcia Litewskiego (3 dywizja legionów, kierowane do 2-ej armii 19 dywizja piechoty i 41 pułk piechoty przeznaczone są do działania w rejonie Augustów—Wolnowycki).

4-ta armia — wyteżony pościg w kierunku północnym celem szybkiego sforsowania Bugu na odcinku Brok (włącznie) Granne (włącznie) zajęcie Mazowiecka i przypieranie nieprzyjaciela ku granicy niemieckiej razem z tendencją działania szybkiej prawym skrzydłem dla oskrzydlenia.

1-sza armia — pościg frontowy, a więc w kierunku północno-wschodnim, oś pościgu: Warszawa—Wyszkiw—Ostrów—Łomża. Kawalerii skierować na lewe skrzydło dla zamknięcia luku między piechotą armii a granicą.

5-ta armia — likwidowanie całkowite III konnego korpusu 4 armii i tych części 15 armii — bolszewickiej, które przez ruch 5-ej armii ku północy na Przasnysz — Mławę zostaną odciągnięte”.

W OCENIE MICHAŁA TUCHACZEWSKIEGO

Michał Tuchaczewski tak oceniał ówczesną sytuację:

„Było oczywiście, że straciwszy czas i możliwość zadania przeciwnikowi klęski, samemu upadł w ciężkie położenie i zmuszeni jesteśmy do odwrotu. Znaczący charakter walk i działań przy naszych przerywanych i rozrzedzonych frontach, dowództwo frontu nie udało się, że się nie utrzymamy i że odwrót będzie trwał prawdopodobnie do linii Grodno — Brześć. Tam mieliśmy możliwość uderzyć w szeregi tych 60000 ludzi uzupełnienia, którzy już byli w eszelonach i szli marszem do batalionów zapasowych naszych armii. Tam mogliśmy odpościć, zorganizować się i przejść z powrotem do ofensywy”.

Ale zasadniczym warunkiem tego było wyprowadzenie w dobrym stanie naszych armii z wynikłego położenia. Dlatego odwrót armii 4-ej stanowił źródło pewnego niepokoju, postanowiono jej zatem ostateczny termin odwrotu.

Jednak nie na tym koniec naszych nieszcześć. Brak środków łączności i błędzenia armii 4-tej po manowcach korytarza gdańskiego widocznie przeszkodziły dowódcy tej armii w otrzymaniu wydanego rozkazu w swoim czasie. Na dobitkę nieszczęścia dowódca armii 4-ej oderwany od sztabu frontu i od armii sąsiednich i wobec tego nie mający pojęcia o ogólnym położeniu na froncie, uważał to ostatnie za zupełnie pomysłne, a odwrót — za rzecz zupełnie na czasie. 19 sierpnia, wypadkowo połączywszy się z dowódcą frontu, w rozmowie Hughesowej wyraził mu cały swój pogląd, lecz otrzymał potwierdzenie kategorię wydanego rozkazu. Samo się przez się rozumie, że armia 4-ta tyle straciła czasu, iż we właściwym terminie nie mogła w żadnym razie wypełnić postawionego jej zadania. Okoliczność ta w związku z dezorganizacją grupy mozyrskiej, która doszła do szczytu i z tym, że przeciwnik, który się od nas nauczył śmiałości, nacierał tu ze wsiewiekłą szybkością, z góry skazywał armię 4-tą prawie na pewną zgubę. Jedyną nadzieją mogła być jeszcze w tym, że przeciwnik, dla organizacji swoich tyłów, zatrzyma się choć na czas jakiś lub zwolni tempo swojej ofensywy. Ale i to przewidywanie nie zrealizowało. Dnia 20 sierpnia, odrzucając oddziały armii 16-tej w Wieladzie i bijąc po kolei we flankę oddziałów armii 3-ej i 15-tej, przeciwnik zajmując linię Przasnysz — Maków — Ostrów — Bielsk — Brześć. Tymczasem armia 4-ta dopiero maszeruje ku Przasnyszowi i znajduje się w rejonie Ciechanowa. 22 sierpnia przeciwnik wychodzi na linię Ostrółęka — Łomża — Białystok. Armia 4-ta dopiero zbliża się do pierwszego punktu. Oddziały armii 15-tej i 3-ej wyteżają wszystkie siły, aby zatrzymać natarcie przeciwnika i pozwolić armii 4-tej przejść wąskim korytarzem między Narwią a granicą wschodnio-pruską. Ale to zadanie okazuje się niewykonalnym. Armia 3-cia i 15-ta w nierównych walkach, w jak najcięższym dla siebie położeniu, tracąc znaczną część sił, a armii 4-tej już uratować nie mogą. Większą jej część przeciwnik przyciska do granicy Prus Wschodnich i zmusza do przejścia na terytorium niemieckie.

Tak kończy się ta nasza świetna operacja, wobec której trzęść musiał cały kapitał europejski, który odetchnął swobodnie dopiero po jej ukończeniu.

Polacy włożywszy w swoją kontrofensywę tę całą resztę energii, jaka im została, stracili dech i nie mogli rozwinąć osiągniętych powodzeń. Nasze oddziały w najżałośniejszym stanie ścigają na linię Grodno — Wołkorysk i stąd wracają do swoich armii”.

Bitwa warszawska była zakończona. Wojna trwała.

NIE BYŁO CUDU

16 sierpnia 1920 roku nie zdarzył się cud. Nie można nawet powiedzieć, iż 16 sierpnia stanowił początek przełomu w wojnie. Już dnia poprzedniego szereg skutecznych polskich ataków stworzył nową jakościowo sytuację, podniósł morale wojska. Dowództwo radzieckie było przekonane, iż po tak długim i uciążliwym odwrocie armia polska jest zdolna najwyżej do rozpaczy obrony. Początek bitwy warszawskiej wprowadził niemałe zamieszanie, a ofensywa znaną Wierprza dokonała reszty.

Józef Piłsudski wyniósł z warszawskich zmagania uczucia mieszane.

„Chociaż z przykrością zawsze wspominam cały nonsens założenia bitwy — pisał — nonsens którego przełamać nie zdołam, to chwile triumfu, gdy we wsiewiekłym galopie bitewnym nieprzyjacielska armia za armią trzaskała zmykając w popłochu, gdy tak niedawno jeszcze triumfy swoje święcili, zostanie na zawsze zwycięstwem siły dowodzenia i pracy nad dziełem zwycięstwa”.

Był Naczelnym Wodzem, a więc i cała bitwa warszawska i manewr znaną Wierprza — gdzie dowodził bezpośrednio — szły na jego konto. W świadomości narodu jawił się jako ten, który — jak pisał Konstanty Grzybowski — „pierwsze po Sobieskim dał Polsce zwycięstwo w wojnie”.

Wojna 1920 roku nie przyniosła ostatecznych rozstrzygnięć, które by usatysfakcjonowały chociaż jedną ze stron. Miał natomiast niewątpliwie rację Józef Piłsudski, który rozpoczął przedmowę do swej pracy na ten temat stwierdzeniem, że „rok 1920 pozostanie w dziejach co najmniej dwóch państw i narodów rokiem na długo pamiętnym”.

Pisał w swoich „Drogach do pewności” Zbigniew Żaluski, że „historia roku 1920 nas uczy. Uczy czegoś robić nie wolno, czego należy się wystrzegać”.

Istotnie stoczyła Polska tę wojnę i wygrała tę bitwę żołnierz polski. Lecz cała ta wojna była wojną, której mogło nie być i której nie powinno być”.

ZENON J. MICHALSKI

(Fragmenty książki „Siviy strzelca stróły”)

Z Szamilem Anakiem, baszkirskim poetą i dramaturgiem, odbywamy podróżę przez epoki i stępy nie ruszając się z Pieriedielkina. Pasją Anaka jest historia jego narodu. Nie wszystko wsiąka w piasek, nie wszystko w nim ginie, ale też nie wszystko udaje się odnaleźć i przywrócić do życia. Ciekawość i pasja poszukiwawcza sięga jedynie po to, co zachowała pamięć.

Żeby Anak „zapalił się”, trzeba mu zadać jakieś prowokacyjne pytanie. Robię to z rozmystem prawie codziennie. Koleжды krzywią się na takie postępowanie, lecz po ich twarzach widać z jakim zadowoleniem słuchają wywodów Anaka.

— My, Baszkirowie, jesteśmy potomkami Hunnów, przed którymi drżał niegdyś Rzym — zaczyna Anak.

— Mówiłeś, że jesteście Turańczykami...

— To się stało o wiele później. Turańczycy wchłonęli nas tak samo, jak wcześniej wchłonęli pokrewnych nam Obrów. Czy możesz sobie wyobrazić, jak wyglądali Hunnowie?

— Niewysocy, mieli krzywe nogi, skośne oczy i krótkie płaskie nosy, jak zajęce — recytuje po uczniowsku, niedwuznacznie przyglądając się Anakowi. — Ciągnęli na Europę, jak szarańcza na żer.

— Nie głupszego nie mogłeś wymyślić? — Anak dźgnął mnie małutkimi wąskimi oczkami. — Hunnowie byli wysocy, postawni, mieli błękitne oczy i orle nosy... Latopis rosyjski i powiada: „Byli oni, ci Obrzyńni wielcy ciałem, a rozumem hardzi i Bóg wytrzebił ich, i umarli wszyscy, i nie pozostało ani jednego Obrzyna. A Ruś do dziś mówi: — Zginą jako Obrzy”. To „dziś” odnosi się do epoki Rusi Kijowskiej, skąd pochodzi Latopis. Po czesku — „obr” znaczy „olbrzym”, w polskim olbrzymie też słychać rdzeń „obr”.

— To jakże oni jeździli na koniach, tacy ogromni? Nogami szorowali po ziemi? A może zakładali je koniom za uszy? — kpiłem. — Konie stepowe były i są przysadziste, a z tego co mówisz, to i na rumakach byłoby im za nisko. Coś tu się nie zgadza. Legenda o sile fizycznej Obrów mogła być następstwem strachu przed nimi. Strach ma wielkie oczy, niebezpieczeństwo zawsze wydaje mu się wielkie. Jeśli Obrzyńni tacy wielcy i silni, to kto ich pokonał? Nikt przecież nie uważa, że Bóg ich wygubił, karząc za okrucieństwo, bo z nowszej historii znamy przykłady okrucieństw, do których Bóg się jakoś nie wtrącał.

Według mnie, wszystko wyglądało dużo prościej. Obrzyńni siedzieli z koni, przeczalili stępy zagonami, z koczowniców stali się oraczami, „usłowianili się”, a wraz z osiadłością skończyła się ich wojownicza epopeja. Zapis kronikarza można odczytać jako metaforę. Nie ma w przyrodzie nic takiego, co mogłoby wytrzebić cały naród, chyba że dopuszczamy taką klęskę żywiołową, jak biblijny potop. Myślę, że nawet z Atlantydą ktoś się uratował, jeśli nie była ona wyspą. Obrzyńni zasymilowali się z innymi, bardziej licznymi plemionami, zostali przez nich zdominowani.

Przodkowie Anaka zostali zdominowani przez Turańczyków,

utracili nawet swój huński, to jest ugryjski język. Pewnie dlatego przywiązanie do odczynny wyraża się u Baszkirów poprzez symbol jak najbardziej fizyczny — po urodzeniu dziecka zakopuje się w ziemi jego pepowiny.

— A co się dzieje z Baszkirem, jeśli ziemia, z którą związał się swą pepowiną zostanie mu odebrana?

Anak odpowiedział mi słowami medrca, który na podobne pytanie dał taką odpowiedź:

— Zostanie język ojczysty.

— A jeśli odbiorą język?

— Pozostanie krew.

— Krew też można odebrać.

— Wtedy nic nie zostanie, a właściwie — nikt.

Oddaliśmy się w przeszłość. Poprzez nią staramy się zajrzeć w przyszłość. Tylko teraźniejszości nie potrafimy objaśnić i zrozumieć. Szamilem Anak mówi o swym narodzie, jak natchniony kaznodzieja, oczy mu płoną, a głos brzmi donośnie. Szuka korzeni swego narodu w najgłębszych warstwach historii:

— Niegdyś nad Syr-Darią i Jeziorem Aralskim istniało potężne państwo o nazwie Turan lub Kang, rządzone przez legendarnego Alp-el-Tonga Afresipba, o którym pisze Firdausi w swoim poemacie „Shah-name”, tj. w „Księdze Królów”. Siłą i bogactwem Turan rywalizował z największymi państwami starożytności — Chinami, Iranem, Rzymem, a stolica Turanu — Kangh w świętej księdze Iranu „Aweście” jest wymieniona jako „wysoka i święta Kangh”. Jeden z baszkirskich rodów do dziś szanowany jest jako potomkowie sławnych „kangłów”, ja również jestem „kanglem” — chwali się Anak.

Tuan zajmował ziemię od Syr-Darii do Jeziora Aralskiego i Morza Kaspijskiego, posiadał dużo złota i wielkie stada bydła. Nad jeziorem Issyk-kul znaleziono niedawno, podczas wykopalisk archeologicznych, arcydzieło sztuki wyluberskiej, unikat w skali światowej, „złoty kagan”, czyli „złotego władcę”, w złotym strzebiwym hełmie i złotej kolczudze.

Złoto Turanu nie dawało spokoju chciwym irańskim wojownikom. Jak zaświadcza Firdausi Irańczycy modlili się do swego bóstwa Anahity o darowanie im bogactw Turanu.

„Daj nam to szczęście, o dobra, wielka Ard-wisuro Anahito, byśmy pod najwyższą i najpotężniejszą twierdzą Kangh wycięli w pień



Na tropie mitów i legend.

Wszyscy jesteśmy Azjatami?

WASYL KOCZNOW

meżne wojska ziem turańskich i wzięli ich bogactwa”.

— W państwie turańskim — ciągnie Anak — żyło wiele rodów — plemion. Mielśmy osady i miasta, do których wracaliśmy na zimę, a latem ruszaliśmy ze swymi stadami w step. Jurta z wielbłądziej sierści nie jest gorsza od mrowianego domu. Baszkirowie nigdy nie opali ziemianek, nie orali ziemi. Nasza religia zabrania nam ranić „oblicze” ziemi — naszej matki. Nie wolno kaleczyć Matki-Ziemi, bo ona daje nam życie. Nie nosimy obuwia na obcasach i z ostrymi czubkami, bo takim obuwciem również można skaleczyć ziemię, nasze buty są płaskie z czubkiem zawiniętym do góry.

A wiesz, że gdy król perski Kir, o przydomku „Niezwykły” napadł na plemię Massagetów, ich władczyni Samira ostrzegła go: „Kirze, żądnij krwi! Opuszcza ziemię po dobroci, bo jeśli tego nie uczynisz, to przysięgam na Wszechwładnego Tengri, najpięsz się krwi więcej niż chciałbyś”. Pokonanemu Kirowi odcięto głowę, wrzucono ją do worka wypełnionego krwią i odesłano do Iranu.

Przez całe tysiąclecie Irańczycy ponawiali najazdy na państwo turańskie.

Rozprawiano się z nimi, jak z Kirem, lecz oni z pokolenia na pokolenie przekazywali swą nienawiść do Turanu. Coś podobnego przeżywali Słowianie walcząc z Germanami. Ze źródeł historycznych wiadomo, że wreszcie w VI wieku cierpliwość Turańczyków wyczerpała się i na tysiącletnią „barymtę” (najazd grabieżczy) odpowiedziano ogólnoturańską „karymtą” (własnym najazdem) by raz na zawsze dać nauczkę niespokojnemu sąsiadowi. W tej wielkiej wojnie brali udział jeźdźcy rodu Szamila Anaka — „kangly”, od których pochodzi większość Baszkirów. Niedawno znaleziono pod Ufą dwa srebrne talerze z epoki Sasanidów, niewykluczone, że to trofea tamtej wojny.

Baszkirowie są dziećmi niebieskogłowej góry Ural. Ta wielka i dobra matka, jak w podółku, karmi ich w swych dolinach. Z nią jest związane całe ich życie. Ojcem ich jest Batyr — Ural. Batyr (bohater, tytan) po zwycięstwie nad Azrakim, władcą ciemności i piekła, osuszył wszechświatowe morze i uratował Baszkirów od śmierci. Ural — Batyr, jako jedyny w mitologii Heros — Człowiek na podobieństwo bogów tworzył łądy, wznosił góry, osuszał morza. Batyr zrosił ziemię wodą żywą, by życie na niej trwało wiecznie. On Smierć Lico Ukrywając chciał zabić, by raz na zawsze położyć kres wojnom i zaborstwom, by po wsze czasy zapanował pokój.

Góry Uralskie — to słynne Rufeje, góry mityczne, gdzie skrzydlate Gryfony o ciele lwa i głowie orla, o potężnych dźbłach z miedzi, strzegły złota i skarbów. W głębi Uralu, jak w kamiennej skrzyni, rzeczywiście znajdują się szlachetne kamienie, czerwone złoto i czarne srebro. Gryfony groźnym klekotem odstraszały śmiałków z innych krajów. Wizerunek ich znajdował się na tarczach i znamionach legendarnych Scytów, których Anak także uważa za przodków swego narodu. Podania głoszą, że u podnóża Gór Rufejskich, w krainie słonecznej i błogosławionej mieszkali ludzie długowieczni i szczęśliwi. Nie znali trosk, biedy i niedoli, nie wiedzieli, co to gwałt, mord, wojna. To byli ci mityczni Hiperboreje, o których pisali starożytni Grecy i którzy według Anaka też są przodkami Baszkirów. Lud ten wznawał tengrianizm, modlił się do Nieba i Słońca. Anak twierdził, że sam bóg słońca Feb-Apollon wywodził się z rodu Baszkirów. Ten miotający złote strzały białolity bóg nazywał się po baszkirsku Apa-olan, co znaczy „wielki witeż” i to on nauczył Baszkirów strzelania z łuków.

— W starożytności nazywano nas „hunn”, to znaczy „słoneczni”, po baszkirsku — „kon-ne”. Myślę, że „słonecznymi” nazywano wszystkich wyznawców Boga-Słońca. Jesteśmy „słoneczni”, jesteśmy dziećmi Ural-Batyrą i Hiperboreanki Hunnaj — Dziewicy Słońca. Cała nasza kraina jest słoneczna, to nie epiet. Bogata

kraina. Na jesieni każdy zrebak stawał się całym tabunem, a każde jagnię — stadem. Nasze konie — to dzieci Niebiańskiego Akbużata, skrzydatego rumaka Uralu-Ojca, a nasze krowy — to córki Mocnego Burego Byka, którego pokonał w walce Ural-Batyr. Owce są dziećmi Niebiańskiej Białej Matki-Owcy, „podarowanej przez górę Ural-Matkę. Nasze stada są karmione i pojone przez tę ziemię, na której rośnie wiecznie zielona trawa, biegań przejrzyste czyste źródła, wydobyte z wnętrza góry mierzem Ural-Batyrą. Wówczas nie spotykaliśmy się jeszcze z twoimi przodkami na ścieżkach wojny, nie znaleźmy, co to „barymta” i „karymta”. W ogóle nie byliśmy sąsiadami, dopiero gdy zjednoczyliśmy się z Polowcami, poznaliśmy Ruś. Wtedy też zaczęto nazywać nas Baszkiram, tj. ludźmi chana Baszkorda — Wilecz Głowy — wymienionego w waszych latopisach. Dla Hunnów wilk był proajcem, wizerunek jego głowy nosili na piersiach. Zapomnieliśmy już języka huńskiego, lecz nie zapomniamy, żeśmy dzieci wilka. Koczownicy byli odważnymi, śmiałymi wojownikami — w siodle rodził się, w siodle umierał. Byli trochę podobni do Indian ze swymi wojtkowymi „wigwamami”, nieuchwytni na pędzących jak wiatr wierzchołkach. Podobnie jak Indianie Turańczycy stworzyli własną kulturę i cywilizację.

— Nie wszyscy Indianie stworzyli cywilizację — oponuje niesmiało. — Był Aztekowie, lecz byli także Irokezi. Turańczycy, to również z jednej strony nadwołżańscy Bułgarzy, a z drugiej — Baszkirowie.

— Nie wtrącaj się, jak nie wiesz. Koczownicy jeszcze wojowali, gdy Bułgarzy już zakosztowali życia osiadłego. To właśnie my, Baszkirowie, walczylśmy „za nich” z obcymi, a nie dawaliśmy nam spokoju i hordy Dżyngis-chana i Batu-chana... Mój prapra... dziad Anak poległ w bitwie z Mongolami. To na jego cześć wziąłem literacki pseudonim Anak. Moje prawdziwe nazwisko — Machmudow. Szył na nas wojska Timura, którego wszyscy nazywali „Złotym Kulusem” — Tamerlanem. Ale i on nas nie pokonał. Od wschodu zasłaniała nas kamienna tarcza Uralu i opierając się o nią posyłałmy swe strzały w ciżbę wrogów. Jak niebieskie błyskawice śmigły nad ich głowami nasze charakterystyczne bulaty. Nasze kobiety męstwem i odwagą nie ustępowały mężczyznom. Nie sposób policzyć, ilu Baszkirów poległo w tych walkach. Zerutj gałązkę naszej wierzy, zacznij z niej kapać sok — krew Baszkirów, poległych w walkach o ziemię ojczystą. Dał ją nam Ojciec-Ural, w niej leżą nasze pepowiny, kości naszych przodków. Nikt nie jest w stanie nam jej odebrać.

Obyczaj składania pepowiny do ziemi wydał mi się bardzo dziwny. Czynniono to w tym miejscu, gdzie dziecko się urodziło i ziemia ta na zawsze stawała się jego ojczyzną. Co dziwniejsze, obyczaj ten przetrwał do dziś. Coż więc się dzieje, jeśli dziecko urodzi się poza Baszkirią? Rodzice postępują tak samo. Tradycja musi być zachowana, bez względu na miejsce, w którym obrzędu się dokonuje. Anak komentuje to niby żartobliwie, lecz jakaś nutka chępliwości pobrzmiwa w jego głosie, gdy mówi:

— Poiliśmy już nasze konie w Sekwanie, a ręce Kachym-Turi w naszym imieniu przyjmowały klucze do Paryża.

Kachym-Turi dowodził formacją Baszkirów w wojnie przeciwko Napoleonowi.

Wyróżnił się niebywałym męstwem i przebiegłością podczas pościgu za wojskami francuskimi. Dowództwo uchronowało go właśnie w ten sposób — przyjmował od Francuzów klucze do stolicy. Mój Baszkir wierzył w przeznaczenie, w tradycję i symbole.

— Gdy Baszkir szedł na wojnę, to zawsze zęgnął się z górą Ural i jeśli w takiej chwili grzmiało, to był to szczególnie dobry znak, wróżył zdrowie i zwycięstwo. W pożegnaniu musiał uczestniczyć także kuraj — zwykły flet, który tęsknie wygrywał proste ludowe melodie. Kachym-Turi odprowadziła na wojnę burza.

Od najdawniejszych czasów Baszkirowie przywiązani są do takich symboli, jak: drzewo, ptak, tamga (rodzaj godła wiszącego na piersi), Ural i czara. Tamgą była złota głowa wilka na znamieniu bojowym. Okrzyk bojowy „Ural!” brzmiał dzwoniście „hurra”. Świętym drzewem jest brzoza, a świętym ptakiem — żuraw. Czara symbolizuje dostatnie życie i zdrowie. „Kamienne baby” na kurhanach stepowych trzymają je oburącz na wysokości brzucha.

Klucz za kluczem z przeciągłym krzykiem wracają żurawie z południa. Ich kłagor dźwięczy dla Baszkira radośnie — ptaki pokonały olbrzymie przestrzenie i wróciły w ojczyście strony. Ja zaś przypomniałem sobie „Hymn” Juliusza Słowackiego, zacytowałem fragment Anakowi i obojgu nam zrobiło się smutno, choć naprawdę wiosenny kłagor żurawi brzmi jak fanfara w wysokim niebie.

Anak wyjaśnił, dlaczego Baszkirowie uważają żurawie za święte ptaki. Uratowały one Baszkirię od niewoli, gdy napadł na nią wróg silny i dobrze uzbrojony. Bitwa była zacięta. Baszkirowie tracili już siły i groziło im wycięcie w pień, gdy nagle zastępy wroga wrzuciły się do ucieczki. Tumany kurzu unosiły się nad stepem, mogło się здаwać, że na pomoc Baszkirem pędzą oddziały konnicy. A to były ogromne, zakrywające pół nieba, klucze żurawi, wracające na Ural. Tych świętych ptaków nie wolno zabijać!

Wydawało mi się nieprawdopodobne, by lejące żurawie mogły unieść nad stepem chmurę pyłu, lecz legenda ma swoje prawa.

— Myślisz, że brzoza tylko u Słowian była świętym drzewem? To jest Drzewo-Matka — i Anak zaczął mi opowiadać o leczniczych właściwościach brzozy. O tym akurat wiem sam. Pijam sok brzozowy, który pomaga przy różnych chorobach, a już na przeziębienie nie ma nic lepszego niż gorąca łaźnia i namoczona brzoza miotalka. Gdy pobieciesz się taką miotalką z pół godziny w obłokach pary, wychodzisz z łaźni zdrowy, jak nowo narodzone dziecko.

Anak, a jakże, opowiedział mi legendę o brzozie.

— Zachorowała kiedyś córka samego chana, sparałżowała jej ręce i nogi. Chan płakał, rozpaczal, obiecał oddać swą władzę temu, kto córke wyleczy. Wtedy zjawili się u niego trzej starcy, posłańcy prostego ludu i rzekli: — O wielki chanie! Chora dziewczynę uratować może tylko czyste mleko Matki-Ziemi. Znajdziesz je w piersi najbardziej czystego drzewa — w białej brzozie. Niech twoja córka stanie się dzieckiem białej brzozy, niech pije jej mleko, a gałązkami smaga chore ręce i nogi. — Córka chana wyzdrowiała i od tej pory brzoza stała się drzewem świętym, którego wycinać w Baszkirii nie wolno.

Opowiem ci jeszcze, jakie znaczenie ma czara. W dawnych czasach, gdy wojownicy chcieli się zbierać, nacinali rękę końcem miecza i wyciskali kilka kropel krwi do czary z mlekiem, z której kolejno odpijali po jednym łyku. Stawali się wtedy jakby krewniakami i między przeciwnośćmi nie występowało. Zwyczaj ten znany już był Scytom — przodkom Baszkirów. Resztką mleka zmywano krew z mieczy. Kamie nie baby, liczące już kilkanaście wieków, z czarami w rękach — to symbole życia i pokoju. Czują one nad kurhanami — odciecznymi scytyjskimi mogiłami na Uralu, w Turanie, na Altaju i nad Donem. Rdza dawno już zniszczyła żelazny oręż wojowników leżących pod nimi, a one stoją, jak stały już w wieku XIII, gdy hordy Tataro-Mongolów wtargnęły w stepy nad Donem, na ziemię Kipczaków. Polowcy na czele z synem chana Kończaka i druzymy księżat ruskich, ruszyli przeciwko wspólnemu wrogowi. Gdy wojska kipczańskie zostały rozgromione, ich chanowie zaczęli błagać Mongolów o litość. Darowano im życie, a nawet obiecano przywrócić władzę i przywileje. Spośród wszystkich jedynie Baszkirowie mężnie stawali opór.

Przez ponad dziesięć lat walczył z Mongolami nasz chan Buszman — w tym miejscu Anak zacytował fragment swojego poematu:

„Buszman ranny w boju znalazł się w niewoli. — Stań na kolana, ty pies! Inaczej zginiemy! — Buszman dumnie rzucił w twarz Mongołowi: — Jestem wojownikiem! Orzeł umiera w niebie, na kolanach staje tylko wielbłąd! — I na wpol rozrąbał go mieczem chan Mengu”.

Kipczaczy zaś chanowie swoim wiernopoddaństwem i tak nie uratowali podlego żywota. Po tym, gdy w 1240 roku poszli z Mongolami na Kijów, spłądowali i spalili miasto, Batu-chan zaprosił ich na ucztę. Zdążyli wypić pierwszy toast za zwycięstwo i w momencie, gdy ich głowy odchyliły do tyłu sączyły ostatnie kropki kumysu, zostały ścięte przez usługujących nukerów.

Kontynuujemy nasz spacer po parku, każdy pograżony w swoich myślach. Odezwał się dopiero ścisnąc mi rękę na pożegnanie. Niezwykle smutno w jego ustach zabrzmiał cytat z amerykańskiego „Timesa”:

„Kara, nałożona przez Zeusa za wykradzenie ognia, chyba nie ograniczy się tylko do hańby przykutego do skłby Prometeusza. Niewykluczone, że Zeus cierpliwie oczekuje dnia, kiedy święty dar ognia, włożony w jądrowe nasienie, rozkwitnie złotymi gwiazdami nad wszystkimi narodami świata”.

Ta straszna metafora zapowiada koniec życia. Stanie się to wtedy, gdy umrze nawet śmierć.

URLOP W BULGARI

(1)



Szczęśliwie udało się załatwić wszystkie formalności, podejmujemy męską decyzję: jedziemy samochodem. Samolot nie był brany pod uwagę. Ta przyjemność kosztuje trzy osoby około 200 tysięcy złotych.

Uwielbiam podróżociągami: trasa nawet kilkudniowa, ja mam przytulny, czysty przedział sypialny, a siedząc w restauracyjnym nad szklaneczką wina podziwiam kolejne miasta, miasteczka... Natomiast „TO”, co kursuje z Warszawy do Warny w niczym nie przypomina dalekobieżnego pociągu!! Bez restauracji, z brudną pościelą, zapchanymi toaletami. Raz mi się zdarzyło i — słowo żurnalisty — więcej w „TO” nie wsiądę. I dobrze zrobiłem! W tym roku w Warnie brakowało wagonów, którymi rodacy mogliby wrócić do kraju. Wielu z nich koczowało na dworcu.

Jeżdżę samochodem od dwudziestu lat, z tego większość — codziennie. Europę zwiedzałem za „kółkiem”, na Bałkanach też byłem kilkakrotnie autem. Zawsze podróżowałem przez Czechosłowację i Węgry. W tym roku zamarzył mi się „szlak medycejski” (od Medyki oczywiście...). Bywalcy namiętnie jak jeden mąż.

Wyruszamy w deszczu.

Jest chłodno, choć to już połowa czerwca. Mknijemy w stronę Przemyśla. Leje. „Lapię gumę” za Kielcami. Strach jechać dalej bez „zapasu”. Tracę kilka godzin w poszukiwaniu zakładu wulkanizacyjnego. W Przemyślu melduję się przed północą i mogę sobie darować poszukiwanie miejsc noclegowych. Miałem rezerwację, ale do godziny dwudziestej, niestety...

Jedziemy do Medyki, przejścia, o którym krążą legendy, których największą atrakcją jest czas oczekiwania na odprawę. W Medyce granicznicy siedzą teraz parami, a i celnicy odprawiają klientów we dwójkę. Gwoli ścisłości — jeden odprawia, bo nasz głównie spaceruje, dyskretnie ziewając.



Nam trafił się „psycholog”. Operując śpiewną polszczyzną dwa razy wysłał mnie po deklaracje celne, w które oprócz haubie i granatów kazał wpisać wszystkie możliwe waluty, brylantowe kolce i — zegarek. Latałem jak wściekły za „bumagami”, nasz celnik tylko prychnął, tronicznie zerkając na zegarek, a „psycholog”, usadowiwszy się w aucie szeptał do żony:

— Dokąd jedziecie?
— Do Bulgarii, do Złotych Piasków.
— Co macie do sprzedania?
— Nic.
— Aha, to w Bulgarii będziecie handlować?
— Po co, mamy dużą wymianę.
— To nawet dzinsów nie macie...?

Wreszcie wygramolił się zza kierownicy, podbił deklarację i ruszył do stojącego za nami Fiata.

Po paru minutach podszedł

zdegenerowany celnik, tym razem nasz.

— I na cóż pan jeszcze czeka?

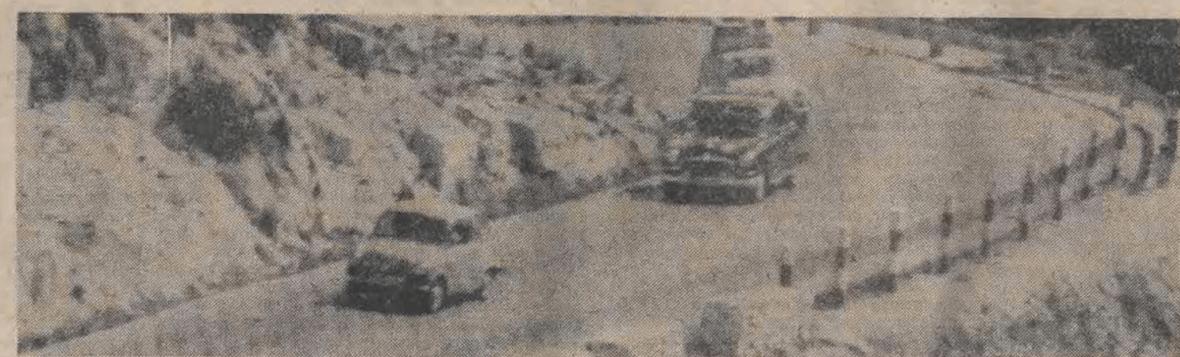
— Na polską odprawę...

— Przecież już tu przechodziliśmy, proszę jechać...

Tylko gdzie?! Głucha noc, wciąż leje i widzę, że żaden polski wóz nie wyrusza dalej. Wszystkie zjeżdżają na dość rozległy plac, a towarzystwo układa się do snu. W samochodach. Podziwiając cztery

W drodze nad Morze Czarne

DARIUSZ DOROŻYŃSKI



osoby śpiące obok w wypakowanym „po dach”, „maluchu”, rozkładam fotele, wyciągam spłwory, jeszcze tylko lyk kawy z termosu. Zasypiając, słyszę gdzieś obok siebie serię poleceń:

— Jasiu, odnieś wujkowi to pościelowe. Aha, niech wyciągnie spod koła naszą torbę ze szminkami.

Przebudzenie nie należy do najmiłszych

Ktoś mi wali pięścią w

wierzy, gdy rozkładam bezradnie ręce...

Lekka konsternacja po paru kilometrach: zaczynają się tablice z napisami po polsku: „Zjazd na pobocze i zatrzymanie się zabronione!” Widzę jednak, że i rodacy, i turyści niewiele sobie z tych zakazów robią, co rusz oglądamy stojący na poboczu wóz i błyskawicznie przeprowadzane transakcje.

Dojeżdżamy do Lwowa.

Pamiętając te tęskne opowieści babć i wujków o pięknym, bogatym mieście rozłożonym malowniczo na łąkach tam wzgórzach, grodzie mardym, kulturalnym, gdzie rozdziło się i wychowało tyłu wspaniałych Polaków, z przerażeniem w oku i zębami trzęsąc krążyć i ja po tym mitycznym Lwowie. Z przerażeniem — bo nie ma prawie żadnych tablic informacyjnych, a przed chwilą wyładowany ceglami „gruzawik” wygarnął wprost na mnie z podporządkowanej ulicy. Ludziska chodzą, jak chcą, głównie przy czerwonym świetle, a wszystko w aucie

odbiły się i poleciały w kierunku rowu... Ulubiony rodzaj nawierzchni na znaczących odciśnięciach to rozpuszczający się w słonku asfalt posypywany szczerze grysem czyli sporej wielkości kamorami, które cały czas dudnią ci pieszczotliwie o podwozie, a gdy z przeciwnej strony nadlatuje „gruzawik” — to o maskę i szyby także.

No, ale cokolwiek by powiedzieć — przejechałem. Do malowniczej Kolomyi zostało mi raptem kilkanaście kilometrów, gdy na rozległym rondzie młody milicjant gestem nie znoszącym sprzeciwu nakazał mi zjazd na pobocze. Nie bardzo wiedziałem, za co mogłem podpaść, żadnych ograniczeń nie było, wlokłem się wręcz wolno...

— Skąd ty się tu wziąłeś, Polak? — uśmiechnął się pod ogromnym rondem puciołowy blondas. — Ty nie wiesz, gdzie tranzyt?

— Ale to najkrótsza droga. Nikt mi inaczej nie kazał jechać.

— No, ale tu nie możesz jechać, musisz wrócić na tranzyt...

ujrzałem tłum oczekujących karnie rodaków oraz kartkę, że przerwa dwugodzinna. Wykonałem więc kolejne „podejście”. Wsadziłem pięć sreberków w kieszeń i wałę do kiosku. Czytam na tabliczce: Stiopa G.

— Priviet Stiopa, masz pall-wo?

— Mam, ale musisz czekać, teraz przerwa...

— Czo ty, Stiopa, ja dla ciebie mam „męskiej suwenir”...

— Nu, pakazi... O, gratis? Import? Nu, dawaj, lej skolko chociesz!

— Szesdziesiąt...
— Dawaj szesdziesiąt! A jest u mnie dziewczianostwo wosiem, znajesz — lotnicza!

No i nalałem tej 98-oktanowej, samochodzik od razu skrzydeł dostał. Naszym, co tłumnie do dystrybutora ruszyli, Stiopa krzyknął, że to za gotówkę i prawie po rublu za litr. Zrezygnowałem.

Czy jeszcze mi się przydały? Oczywiście! Wybiegając już nieco do przodu: dwa razy uratowały mnie przed mandatem w Rumunii za przekroczenie szybkości. Gdyby nie „męski souvenir” miałbym też

trudności z otrzymaniem bungalowu na kempingu w Rumunii. Gdzie? Może napiszmy tylko, że niedaleko Konstancy, a nuż sympatyczny starszulek miałby kłopoty. Dość, że po dwóch opakowaniach znalazł się domek, a po dwóch następnych — inny, usytuowany tak szczęśliwie, że auto miałem dosłownie pod oknem i nie musiałem na noc wyciągać wszystko z jego wnętrza...

Nikt w Czerniowcach nie umiał mi wskazać kempingu, który, według porad życzliwych rodaków, gdzieś tam miał się znajdować. Kilkakrotnie „lapalem „języka”, ale albo nie wiedzieli, gdzie się takowe „ustrojstwo” znajduje, albo wskazywali hotele. Po dwóch godzinach krążenia po mieście zrezygnowałem. Sympatyczna „barysznia” w kiosku z sokami i lodami naparzyła mi cały termos świeżej herbaty, dała „kipiatok” do drugiego, z kawą i — ruszyliśmy w kierunku przejścia granicznego. Dochodziła dwudziesta pierwsza, godzinę — myślałem — zmarznięmy na granicy, potem skoczyliśmy te 150—200 kilometrów w Rumunię i zanojujemy na pierwszym kempingu.

Wyglądało nieźle. Trzy rzędy samochodów, w moim wyprzedzało mnie osiem aut, można wytrzymać. Czytamy, jemy kolację, spacerujemy, pijemy kawę — a tu nic! Stoimy! Mija godzina, dwie — jestem dopiero ósmy! Tempo oszałamiające! Parę minut przed północą nie wytrzymałem, choć to

— To żart, ponad 150 kilometrów mam wracać?!

— Nie ma wyjścia — blondyn był nieublagany.

I wtedy, z duszą na ramieniu, sięgnąłem do kieszeni w drzwiach Poloneza i wyciągnąłem...

W tym momencie wrócić się nieco musimy i zacytować rozmowę z agentem stacji benzynowej, jeszcze po polskiej stronie, a do Przemyśla szmat był drogi.

— Na wakacje? Przez Rosję?

No to gumek pan nie bierzesz?!

— Jakich gumek?

— No coś pani! Przerwa-ty!!!

— A na cholere mnie one? Osobiście nie lubię...

— Panie! Widzę, że pan pierwszy raz tędy! Bez nich pan zginięsz, noclegu ani paliwa nie uświadczysz. Wszyscy dzisiaj biorą po 400—500, sztuk nawet.

I kupilem.

No a teraz, z duszą na ramieniu, sięgnąłem do kieszeni w drzwiach samochodu, wyciągnąłem pięć srebrnych, kwadratowych opakowań i mrugając do blondyna wałę wprost, że to taki „męski souvenir”, specjalnie dla niego. Popatrzył i pyta, czy mam jeszcze pięć.

— Tak czo! Pajechał!

To było pierwsze doświadczenie.

Przed przejściem granicznym, już za Czerniowcami, zjechałem pod dystrybutor i

urlop, a ja przecież spokojny wyjątkowo. Idę do jakiegoś starszego w mundurku, co robotą kieruje i widzę, że „prują” strasznie. Każdą walizkę szczegółowo, po kolei wszystkie rzeczy, a że samochody wyładowane po dach, więc piętrzą się te sterty dobra rozmaitego. A tu jakaś osobista kontra, a tam jakieś fotele komus z samochodu wymontowują. Więc tłumaczę, że żurnalista, czy by mi nie pomogła, bo jadę na zjazd do Sofii i już jestem spóźniony (no taki mi akurat tekst przyszedł do głowy). Szefowa mówi, że owszem i kiwa na szczupłą blondynkę. Natasa, jak się okazało. Trzej rodacy, co skorzystać chcieli, przy okazji jakby, gdy blondynkę ujrzeli — szybko salwowali się ucieczką.

Natasa groźnie popatruje i który mój samochód pyta. Siegam tedy do kieszeni i wręczam jej. A nie, nie, wręczam jej wizytówkę, tłumacząc, że bardzo mi zależy i tak dalej. Wyprowadziłem auto z kolejką, paru facetów kiwało mi głowami ze współczuciem. Wjechałem na kanał. Natasa zerknęła na śpiącego z tyłu syna, mnie i żonę zajrzała głęboko w oczy i — życzyła szerokiej drogi. Spacerowym krokiem ruszyła w kierunku Fiata bodajże na krakowskiej rejestracji, w którym do wyjścia pozostał już tylko silnik.

Przejechałem dwieście metrów i mina mi zrzedła. Na dzikich polach, czyli ziemi niczyjej, stało kilkadziesiąt aut, a od strony rumuńskiej granicy nie widać było najmniejszego ruchu. I tak przez godzinę, półtorę. Przychodzi kryzys, sen nęka zmęczone powieki. Sni mi się, że ktoś popędza mnie klaksonem. Rzeczywiście, kolejka ruszyła, posuwamy się o dwie, trzy długości i znów postój. Głowa opada na kierownicę. Budzi mnie kolejna akcja zapuszczania silników. Dziesięć metrów i znów przerwa. Zaczyna mżyć, teraz już bełbn potężnie. Mam powoli dość tych wakacji, tranzytów, nawet Bulgarii i jej słońca.

Parę minut po czwartej nad ranem puka mi w szybę młody mężczyzna w mundurze. Rumuński celnik. Teraz się znacznie pamiętam, że parę lat wcześniej z żadnym Rumunem na granicy z Węgrami nie mogłem się dogadać. Miła niespodzianka, bo młodzian deklamuje:

— Pisz dwa raza, jak przez kalke, swoje nazwisko, awaluty obce, wsiska broń, gaz łzawiący, radiomagnetofon, za dziesięć minut do ciebie psjdję...

Przyszedł. Popatrzył, kazał podnieść kłapę bagażnika. A tam na wierzchu Kuby piłka do „nogi”, deskorolka, piętwy, maska i rakietki do tenisa.

— Można jechać — zawyro-kował wyraźnie zawiedziony.

— Arivedera! — rzuciłem jedyne znane mi rumuńskie słowo.

— Arivedera! I szeroka droga!

Zawsze zachwycał mnie swoją oryginalnością język naszych południowych sąsiadów, gdzie nawet groźny. Brande jako Ojciec chrzestny to tylko Kumoter. Ale i Bulgarzy nie są gorsi. Jeśli kiedyś w autobusie usłyszy: „— Molia, molia zdpuccite bilete!” to pamiętajcie, że sugerują tylko byście bilety skasowali. Ale o bulgarskich, rumuńskich i innych przygodach — za tydzień.

drzy, łomocze, brzęczy. Dlaczego? Jest tylko jedno wytłumaczenie stanu nawierzchni: pięknego Lwowa — najprostszą metodą zmuszenia kierowcy do podróowania z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Powyżej — samochód chce się po prostu rozlecieć na kawałki...

Ryzykując zniszczenie wszystkich opon naraz przejeżdżam przez sterzące na jezdni torę tramwajowe i hamuję w bocznej uliczce, tuż obok malowniczej cerkwi, z oderwaną rynną i czarnymi oczodolami okien. Szukamy piekarni. Wreszcie jest. Nawet niezłe bułeczki, tyle że każdy w kolejkę ma własną gazetę, żeby je zapakować, a ja — nie! Pytam o torebkę lub papier: patrzy na mnie kilkanaście par zdziwionych oczu. W porządku — upycham po kieszeniach.

Cenię sentymenty, podziwiam wspaniałe teksty Mariana Hemara, wzruszają wspomnienia, ale dla mnie, w to mgliste, mokre przedpołudnie ów wspaniały Lwów był niestety za niedobrym, brudnym, dziurawym miastem.

Jak wyjechać na tranzytowy szlak?

Było kilka drogowoskazyw, ale na Kijów i jakiś Czop. Dopiero zatrzymany taksówkarz wyjaśnił, że właśnie na ten Czop muszę się kierować, to wyjadę na obwodnicę, a tam już sobie dam radę. Rzeczywiście, jakby skończyły się wertepy, tablice wciąż ów Czop pokazują. Nawet słońce wyjrzało nieśmiało...

Później drogowoskazyw zabrakło, gdy się wreszcie jedna tablica pojawiła, byłem już pewien, że jadę w kierunku granicy... węgierskiej. Ale otóż i milicjant na skrzyżowaniu, więc wyciągam atlas samochodowy i lecę po radę. Pokiwał głową i końcem paterki postukał w mapę:

— Zie synku jedziesz, w Strjuju musisz skrócić na Halič i Lucano-Frankowskie...

No i pojechałem. Przeżyłem po drodze kilka objazdów, na prawę jezdni. Parę razy uciekałem do rowu. Określenie „przeżyłem” jest jak najbardziej właściwe, przecież bezczki, które spadły na koszmarnych wybojach z pedałcej tuż przede mną ciężarówką mogły mi choćby wybić szybę. Ale

trudności z otrzymaniem bungalowu na kempingu w Rumunii. Gdzie? Może napiszmy tylko, że niedaleko Konstancy, a nuż sympatyczny starszulek miałby kłopoty. Dość, że po dwóch opakowaniach znalazł się domek, a po dwóch następnych — inny, usytuowany tak szczęśliwie, że auto miałem dosłownie pod oknem i nie musiałem na noc wyciągać wszystko z jego wnętrza...

Nikt w Czerniowcach nie umiał mi wskazać kempingu, który, według porad życzliwych rodaków, gdzieś tam miał się znajdować. Kilkakrotnie „lapalem „języka”, ale albo nie wiedzieli, gdzie się takowe „ustrojstwo” znajduje, albo wskazywali hotele. Po dwóch godzinach krążenia po mieście zrezygnowałem. Sympatyczna „barysznia” w kiosku z sokami i lodami naparzyła mi cały termos świeżej herbaty, dała „kipiatok” do drugiego, z kawą i — ruszyliśmy w kierunku przejścia granicznego. Dochodziła dwudziesta pierwsza, godzinę — myślałem — zmarznięmy na granicy, potem skoczyliśmy te 150—200 kilometrów w Rumunię i zanojujemy na pierwszym kempingu.

Wyglądało nieźle. Trzy rzędy samochodów, w moim wyprzedzało mnie osiem aut, można wytrzymać. Czytamy, jemy kolację, spacerujemy, pijemy kawę — a tu nic! Stoimy! Mija godzina, dwie — jestem dopiero ósmy! Tempo oszałamiające! Parę minut przed północą nie wytrzymałem, choć to

— To żart, ponad 150 kilometrów mam wracać?!

— Nie ma wyjścia — blondyn był nieublagany.

I wtedy, z duszą na ramieniu, sięgnąłem do kieszeni w drzwiach Poloneza i wyciągnąłem...

W tym momencie wrócić się nieco musimy i zacytować rozmowę z agentem stacji benzynowej, jeszcze po polskiej stronie, a do Przemyśla szmat był drogi.

— Na wakacje? Przez Rosję?

No to gumek pan nie bierzesz?!

— Jakich gumek?

— No coś pani! Przerwa-ty!!!

— A na cholere mnie one? Osobiście nie lubię...

— Panie! Widzę, że pan pierwszy raz tędy! Bez nich pan zginięsz, noclegu ani paliwa nie uświadczysz. Wszyscy dzisiaj biorą po 400—500, sztuk nawet.

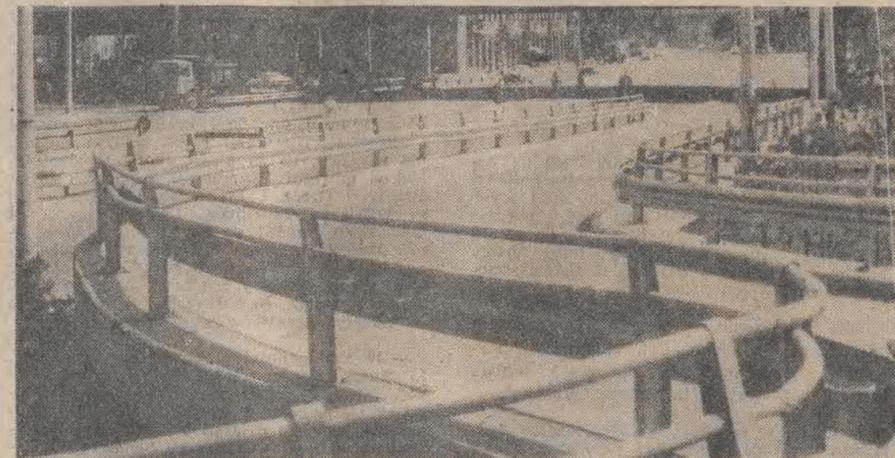
I kupilem.

No a teraz, z duszą na ramieniu, sięgnąłem do kieszeni w drzwiach samochodu, wyciągnąłem pięć srebrnych, kwadratowych opakowań i mrugając do blondyna wałę wprost, że to taki „męski souvenir”, specjalnie dla niego. Popatrzył i pyta, czy mam jeszcze pięć.

— Tak czo! Pajechał!

To było pierwsze doświadczenie.

Przed przejściem granicznym, już za Czerniowcami, zjechałem pod dystrybutor i



Szerpowie, ich wsie i obyczaje.

Przed wyruszeniem w góry stajemy przed dylematem: wynająć przewodnika i skorzystać z oferty tragarzy? Przewodnicy i tragarze to na ogół Szerpowie, najbardziej znani z plemion nepalskich. Zyskali sławę właśnie jako tragarze wysokogórscy. Urodzeni powyżej 3 tysięcy metrów stonkowo łatwo przystosowują się do warunków na dużych wysokościach. Szerpowie, mimo że żyli tak blisko najwyższych szczytów świata, zanim zaczęli towarzyszyć wyprawom, nie zapuszczali się tak wysoko.

Duże uznanie zdobyli sobie przewodnicy, stali się nawet pewnego rodzaju instytucją w Himalajach. Przewodnik (sidar) nie niesie bagażu turysty i nie gotuje, ale na nim spoczywa obowiązek zorganizowa-

przygotowane. Ameba ginie w temperaturze 60 stopni, a więc jeżeli zostało podane jeszcze gorące i nie zdążył dobrać się do niego mucha, można je jeść raczej bezpiecznie. Naczynia i sztucce nie budzą już jednak takiego zaufania, szczególnie jeżeli widziało się kobiety najpierw myjące je piaskiem w kałuży przed domem, a potem ledwie splukujące niedbalą wodą. Trudno odmówić sobie jednak ciepłego posiłku po całodziennym wędrowaniu, więc lepiej po prostu nie przyglądać się zbyt dokładnie czyszczeniu naczyń.

W każdej niemal z himalajskich wsi można kupić coca-cola, bądź limce (podobna w smaku do mirindy). Ceny ich rosły wraz z wysokością. Podczas gdy na dole butelka kosztuje około trzech rupii nepalskich, na wysokości bliskiej 5 tysięcy metrów — już siedemnaście. Zimne napoje dla turystów, jak i wiele innych rzeczy potrzebnych do codziennego życia, w górę transportowanych jest na szerpalskich plecach. W ciągu wędrowki wiele razy mijaliśmy

ny, w dniu przejścia przez przełęcz, jej najtrudniejszego odcinka, najlepiej wyruszyć o drugiej w nocy, bo łatwiej iść, gdy jest jeszcze zmroźony śnieg. Trasa kończy się zwykle przed zmierzchem.

W górach czeka wiele niespodzianek, na przykład przejście przez wiszący most bambusowy z jedną tylko dobrą poręczą (w drugiej brakowało prętów). Wszyscy idą przytuleni do tej kompletnej poręczy z myślą: spadną, nie spadną. Po drodze mijają się gorące źródła, kąpiele w których trudno sobie odmówić, choć kąpiel w normalnym górskim strumieniu daje chyba większą przyjemność.

W górach szybko zrozumiałam, dlaczego mówi się, że aby dostać się na Mount Everest trzeba przebyć nie dziewięć, ale blisko trzydzieści tysięcy metrów. Trasa przebiegała bowiem, jak to zwykle w górach bywa pod górę, ale tylko po to, aby poprowadzić znów w dół. Często wymaga przebycia w ciągu jednego dnia różnicy wzniesień około tysiąca metrów.

przebycia Himalaj niemal wzdłuż i wszerz. Shiro Shirahata wspominał potem, jak było to trudne i męczące. Poruszał się często wynajętym jeepem, autobusem lub helikopterem. Najczęściej musiał podróżować na własnych nogach.

Każdy okręg w Nepalu ma lokalne władze i ludzie chcą podróżować, a już w szczególności obcokrajowcy, za każdym razem muszą powtórnie ubiegać się o pozwolenie na przebywanie w danym regionie. Często pozwolenie wydane przez władze centralne okazywało się nieważne.

Kiedyś, gdy Shiro Shirahata wyruszył w góry, aby sfotografować południową ścianę Genasha nieświadomie wkroczył na terytorium Chin, nie wiedząc, że granica między państwami uległa zmianie. Na szczęście uniknął aresztowania, choć początkowo wzięty był za szpiega.

Te wszystkie cuda można obejrzeć samemu z lotu ptaka. Królewskie Linie Lotnicze oferują loty nad Mount Everestem. Jak zapewnia prospekt



Mówi: Krzysztof Krawczyk

28 czerwca 1988 roku KRZYSZTOF KRAWCZYK wraz z żoną Ewą i synem Krzysztofem uległ poważnemu wypadkowi samochodowemu na trasie Kołobrzeg — Warszawa. Udało mi się dotrzeć do Państwowego Szpitala Klinicznego w Bydgoszczy, gdzie przebywa poszkodowany.

— Jak pan się teraz czuje?
— Czuję się na tyle znośnie, że mogę z panem rozmawiać. Doznałem poważnych, bardzo bolesnych obrażeń, ale mimo wszystko mieliśmy sporo szczęścia. Wszyscy twierdzą, że nie powinniśmy byli wyjść z tego wypadku żywi.

— Co pan już przeszedł podczas dotychczasowego leczenia?
— Zaczęło się od składowania górnej i dolnej szczęki. Później był gips na pękniętą miednicę i złamaną nogę, którą do dziś trzymam na wyciągu. Będę unieruchomiony co najmniej przez dwa miesiące. Cztery dni temu poddano mnie operacji, podczas której wgniecioną kość policzkową wstawiono na właściwe miejsce. Była to moja pierwsza w życiu operacja pod narkozą. Mam drutowane szczęki na czas sześciu tygodni, w związku z czym przyjmuję tylko płynne pokarmy. Poza tym jestem bardzo silnie potłuczony. Wszystko mnie boli i mimo stosowanych środków przeciwbólowych przeżyłem ból, którego nie jestem w stanie opisać.

— Dziękuję za to, co już pan zdołał opowiedzieć na tym szpitalnym łóżku. A co mówią bydgoscy lekarze?

— Mówią, że wszystko idzie ku dobremu i jeżeli staw biodrowy zrosnie się prawidłowo, to za pół roku będę mógł pracować.

— Jak właściwie doszło do wypadku?

— Mogę tylko powiedzieć, że mój wypadek powinien być ostrzeżeniem dla wszystkich kierowców, którzy dużo jeżdżą. Ostatnio wciąż przebywaliśmy z rodziną w podróży. Tego dnia było gorąco, duszno i moment słabości nad kierownicą spowodował to, co się stało. Ponieważ nastąpiła w naszej trójce całkowita utrata świadomości, nie pamiętam momentu zaśnięcia i uderzenia. Mój samochód uderzył w drzewo.

— Jak pan teraz myśli — czy musiało dojść do wypadku?

— Chyba nie mieliśmy szansy, żeby go uniknąć, bo tego dnia przeprowadzaliśmy się (mieble jechały samochodem ciężarowym) z Kołobrzegu do Warszawy i musialem jechać bez uprzedniego wypoczynku i snu. Gonili nas czas i terminy.

— Czy wierzy pan w fatalizm tego miejsca pod Bydgoszczą, gdzie nie tylko panu zdarzyła się katastrofa?

— Nie bardzo. Raczej winię swoją niedyspozycję jako kierowcy.

— W jakim stanie jest samochód?

— Oglądałem jego szczątki w Dzienniku Telewizyjnym. Nadszedł się tylko do kasacji.

— Ile miesięcy będzie trwała rekonwalescencja?

— Pół roku i najprawdopodobniej będę ją odbywał w Konstancinie. Najpóźniej na początku 1989 roku powinienem wznowić działalność piosenkarską.

— Nie było pana w tym roku na festiwalu w Opolu?

— Byłem chory. Miałem zmęczone struny głosowe i bóle korzonków.

— Nie pojedzie pan do Witebska?

— Miałem tam wystąpić z recitale, z towarzyszeniem mojej grupy estradowej. Tuż po festiwalu zaplanowany był mój koncert na słynnym stadionie na Łuznikach w Moskwie. Następnie koncerty w Minsku. Pewnie jeszcze kiedyś tam pojedzie.

— Został pan prezesem Przedsiębiorstwa Produkcjno-Usługowo-Handlowego „Inter, Cross-Over”, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Czego obiecuje pan sobie po roli biznesmena?

— Jestem udziałowcem, spółkę utworzyliśmy wspólnie z przyjaciółmi. W umie jest nas dziewięciu. Dotychczas pracowałem w jednej z estrad, która zatrudniała co najmniej stu urzędników i była workiem bez dna, opłacając nas skromnie. Teraz mamy własną spółkę, której zarząd składa się zaledwie z pięciu osób i dzięki której nasze zarobki znacznie wzrosną. Z racji funkcji prezesa kontroluję 30 procent całego przedsiębiorstwa.

— Plany spółki były ambitne.

— W planach mamy między innymi uruchomienie produkcji fonograficznej i poligraficznej, produkcję kosmetyków, usługi jubilerskie, pośrednictwo handlowe, połączenie się z firmami zagranicznymi z Kanady i USA. W przyszłości spółka ma zająć się promocją młodych talentów, szczególnie uzdolnionych, które u nas najczęściej pozostawia się samym sobie.

— Co teraz z tymi planami?

— Spółka nie zaprzestaje działalności i po moim wyzdrowieniu będziemy dalej wspólnie działali na jej korzyść.

— Czy jest pan człowiekiem szczęścia, ma pieniądze, miesiąc temu odbył się pański ślub, wyszedł pan z wypadku?

— Dla mnie szczęście to możliwość dawania go innym. Od kilku lat noszę przy sobie „Kronikę chleba”. Są to myśli zebrane kardynała Stefana Wyszyńskiego, coś w rodzaju przykazań na każdy dzień każdego miesiąca. Mój ślub odbył się 26 kwietnia. Tego dnia Stefan Wyszyński napisał:

„Człowiek jest tak mocno związany ze sobą, że trudno mu o sobie zapomnieć. Może jednak wyrobi w sobie zwyczaj myślenia o innych”.

— Jaki jest stan zdrowia pana syna?

— Zadowolający, choć po wypadku nie było z nim najlepiej. Przytomność odzyskał po trzech dobach. Czekają go specjalistyczne badania i leczenie w warszawskim szpitalu. Mamy już potrzebny i trudno dostępny lek.

— A żona, jak się czuje?

— Ewa miała dużo szczęścia, ponieważ jechała w pozycji leżącej na tylnym siedzeniu i doznała ogólnych obrażeń i potłuczeń ciała. Czuję się dobrze i opiekuje się mną. Przeżyła szok.

— Czy mimo tych smutnych przeżyć jest pan nadal optymistą?

— Jestem człowiekiem wierzącym i to wyjaśnia całkowicie nastawienie do historii, która mi się przydarzyła. Nadal jestem optymistą. To wynika z mojego charakteru. Nie można poddać się nawet w najgorszych momentach załamania. Dlatego mocno wierzę w to, że wyjdę z tego szczęścia i będę mógł dalej uprawiać swój piękny zawód.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Kiedy najlepiej wybrać się w Himalaje?

nia wszystkiego — wyszukania tragarzy, kuchtarzy, wybrania noclegu i porozumiewania się z miejscową ludnością. To pewne, że idąc z przewodnikiem, nie ma możliwości zabłądzenia. Mają opinie lojalnych, opiekuńczych i troskliwych.

Niekiedy swoje usługi oferują przewodnicy nieprofesjonalni, bez rekomendacji biur turystycznych. Znają okolice, bo przemierzali ją już jako tragarze i raczej aspirują do tego zawodu. Nie zawsze zaś służą na zaufanie. Mają za to duże wymagania finansowe, niewspółmierne do ich przygotowania do pełnienia tej funkcji.

Nie wszystkie trasy trekkingowe wymagają przewodnika. Można poprzestać na zaopatrzeniu się w bardzo dokładną mapę, którą kupuje się bez kłopotu w Katmandu. Należy tylko dobrze przestudiować opis trasy, aby wiedzieć, na którym jej odcinku można spodziewać się wyjątkowo trudnych warunków, na przykład przełęczy nie do przejścia z powodu leżącego śniegu. Lub trzeba liczyć się, że przebiega przez teren nie zamieszkały czy pozbawiony wody.

Po drodze mijają się wiele wiosek. W każdej po kilkanaście razy trzeba odpowiadać na okrzyk „namaste” — pozdrowienia i powitania. Najczęściej pochodzi on od umorusanych dzieci nepalskich, które zawsze z niezwykłym zainteresowaniem przyglądają się mijającym je ludziom. Dorosli nie witają już przybyłych tak serdecznie i przyjaźnie, jak jeszcze przed kilkoma laty. Przeszali bezinteresownie okazywać sympatię. Również i tu, w górach miejscowi ludzie zorientowali się, że z tych obciążonych turystów da się doskonale żyć. Po kilkugodzinnym, wcale nie lekkim, marszu, człowiek zapłaci niemal każdą cenę za nocleg, jest mniej wybredny.

Wioski można podzielić na biedne i bardzo biedne. Domy często przypominają szalasy, choć zdarzają się i zbudowane z kamieni. Niektóre z nich mają dachy z dachówek, ale najczęściej kryte są strzechą.

Urządzenie chałup jest wszędzie takie samo. Duża izba, w rogu której znajduje się palenisko i obok półka z naczyniami kuchennymi. W innym rogu — łóżko, które często zastępują bambusowe maty. Wzdłuż ściany, w której są okna, ustawiono wąskie ławki z dużymi poduszkami. Jest to miejsce honorowe dla pana domu i jego gości. Turystom wynajmowana jest izba obok pomieszczenia używanego przez gospodarzy, której jedyne wyposażenie stanowią zwykle przeważnie do spania. Gospodarze nie mówią po angielsku. Oczywiście znają najpowszechniejsze angielskie słowa jak „tee”, „coffe”, „water”, ale to zbyt mało, aby się porozumieć i zrozumieć.

Wiele słów tybetańskich na trwałe weszło do słownika ludzi chodzących po górach, o chociażby „dal ba”, czyli po prostu ryż z warzywami — najpopularniejsze i najczęściej przyrządzane danie. Można je zamówić niemal w każdej chacie.

Jedzenie, które przygotowuje się dla Europejczyków można uznać za zdrowe tylko wtedy, gdy zostało świeżo

Szerpów obciążonych ciężkimi kroszami podtrzymywanymi przez specjalne, bardzo wytrzymałe taśmy, które tragarze opierali sobie na czołach. Na nogach mieli tylko zwykłe sandały „japoński”, a nawet zdarzyło nam się kilka razy widzieć bosych tragarzy. Z zazdrością patrzyli na nasze ciężkie buty.

Kiedy najlepiej wybrać się w Himalaje?

Byłoby nie w czasie monsunu, który wiejąc z południa Bengalskiej powoduje porę deszczową trwającą od połowy czerwca do połowy września. Od października do maja można zatem planować wyprawę w góry. Ot, chociażby przełom lutego i marca stanowią piękny okres na tego rodzaju wyprawę. Jest już bardzo ciepło, duża przejrzystość powietrza gwarantuje dobrą widoczność, i zaczyna kwitnąć rododendrony. Warto zobaczyć też przepiękne krzewy, obsypane białymi lub czerwonymi kwiatami. Pojedyncze lub całe gaje na zboczach tworzą niezwykły widok, a do tego zapach, zapach który stał się symbolicznym zapachem Nepalu.

Gdy dopisze pogoda, widać łańcuchy górskie odległe nawet o wiele kilometrów. Nie ma chyba piękniejszego widoku, niż ośnieżone wierzchołki w słońcu. A wschody słońca i zachody! Są to wrażenia, które zapamiętuje się na długo. Wschód słońca oznacza pobudkę, choć nie jest to regularne. Na trasie wokół Annapur-

Na wysokości czterech tysięcy metrów może wystąpić choroba wysokościowa. Nigdy nie wiadomo na jakiej wysokości ktoś może na nią zapasać, trudno przewidzieć reakcje organizmu.

Na trasie wokół Annapurny, w Manang (3600 m) codziennie o godzinie piętnastej odbywa się wykład poświęcony problemom ochrony zdrowia w wysokich górach, a szczególnie jak radzić sobie z chorobą wysokościową. Wykład w języku angielskim prowadzi na zmianę dwie lekarki, Nepalki.

Himalaje potrafią być groźne, ale i piękne jednocześnie.

Himalaje zadziwiają i zaskakują ludzi. Przeliczył się też znany japoński fotograf Shiro Shirahata, który miał już bogate doświadczenia w fotografowaniu gór, gdy zabrał sobie, że trzy miesiące wystarczy mu na wykonanie serii zdjęć o nepalskich łańcuchach Himalaj. Okazało się, że potrzebował nie trzech miesięcy, ale ponad trzech lat, aby skompletować tę niezwykłą dokumentację fotograficzną. Stworzył jednak najlepszy na świecie album fotograficzny poświęcony Himalajom, najlepszy, bo potrafił poddać się ich urokowi i... zrozumieć je. Fotografował góry w różnych porach roku i w różnym oświetleniu. Udało mu się uchwycić moment zejścia lawiny.

Zrobienie zdjęć wymagało



Uśmiech i Cios

Mieczno-Miódny Dżbanie przez barbarzyńców pancerną pięścią roztrząskany! Z tysiąca skorup drzazg atomów z porzyw jasnych z mglistych przecud składano Cię w nastęlej ciszy.

Dole Stuwieczna na biskupińskich bagnach z czarnych bierwion wyciosana! Zrąb Twój zwichrowany nam przekuć abyś zakwitła Szczęśliwym Uśmiechem i potężniała Granitowym Ciosem!

Półka z książkami

MINISTER STANU

W serii „Biografie Sławnych Ludzi” ukazała się książka Ines Murat poświęcona Janowi Baptyście Colbertowi, najświetniejszemu ministrowi Króla — Siońce Ludwika XIV. Czytając biografie tego o nieprawdopodobnej pracowitości człowieka oglądamy Francję dworaków, intryg, przekupstwa, przepychu i nędzy, słowem cały ówczesny ancyen régime. Sledzimy, z jakimi oporami umiera epoka średniowiecza i z jakim trudem dochodzi do głosu feudalizm. Książkę czyta się z zainteresowaniem, co jest zasługą autorki i w nie mniejszym stopniu tłumaczki Wiery Bieńkowskiej.

Ines Murat: „Colbert”. PIW 1988. Str. 432. Cena 1.100 zł.

PREZYDENCI

Książka, którą należy koniecznie przeczytać, choć w księgarniach — w chwili jej pojawienia się — stała się od razu „białym krukiem”. Mówię o „Prezydentach” Longina Pastusiaka, trzytomowym dziele obejmującym historię Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, od Jerzego Waszyngtona do Ronalda Reagana. Jest to zbiór szkiców biograficznych 40 prezydentów ukazanych na tle czasu, w jakim wypadło im sprawować władzę. A więc okresy zamętu, okresy względnego spokoju i lata bardzo dramatyczne. Również i losy samych prezydentów układały się różnie, a morderstwa polityczne, jakie na kilku z nich popełniono, są ilustracją wewnętrznego rozdarcia, jakie istnieje w społeczeństwie amerykańskim.

Longin Pastusiak: „Prezydenci”. KAW 1987. Tomy 1/3. Cena 2.200 zł.

Oprac.: E.IW.



Rys. Sławomir Łuczyński

Około trzech godzin potrzebowali studenci hanowerskiej akademii medycznej, aby przejechać na rowerach lub przejeść pieszo dystans od Medizinische Hochschule do dworca głównego, demonstrując w ten sposób swój sprzeciw wobec wprowadzonego przed prawie 4 laty, a ostatecznie zatwierdzonego w listopadzie 1987 roku tzw. programu „lekarza praktykanta” (Arzt im Praktikum). „Gib AIP Chance” (żadnych szans dla AIP — parafraza znanego z telewizji i słupów ogłoszeniowych zdania: „Gib AIDS keine Chance”, nawołującego do profilaktyki tej strasznej choroby, nim będzie za późno). Takie właśnie hasło można było przeczytać na transparentach

PROSTO Z RFN, CZYLI MŁODZI NA SWIECIE.

Trudny start młodych lekarzy

I nalepkach, którymi oblepiona została cała trasa jaka przechodziła orszak w białych fartuchach z czarnymi opaskami na ramieniu. Na czym ma polegać ten program? Otóż po zakończeniu sześciolatniego cyklu nauczania — tak jak to było do tej pory — każdy adept szkoły medycznej będzie zobowiązany do odbycia 18-miesięcznego, bardzo nisko płatnego, stażu tzw. „fazy próbnej”. W zamierzeniach autorów program „faza próbna” ma poprawić praktyczne umiejętności przyszłych lekarzy. Wydawałoby się, że wszystko jest w porządku. W trosce o lepsze wykształcenie przyszłych lekarzy wprowadza się 18-miesięczny staż. Czy jednak tak jest? Wprowadzenie nowego statusu „lekarza praktykanta” oznacza w istocie zmniejszenie efektywnej liczby kwalifikowanych lekarzy pozostających do dyspozycji pacjentów, bowiem część z nich będzie się zajmowała studentami. Poza tym, miejsca do odbycia nowego wprowadzonego stażu wcale na studentów nie czekają. Wręcz przeciwnie — przeciętny okres, od momentu zakończenia studiów do rozpoczęcia stażu, już teraz wynosi od 6 do 12 miesięcy. W wyjątkowo trudnej sytuacji znajdują się kobiety, szczególnie te, które są w ciąży, ponieważ ustawowo przysługują im zaledwie... 4 tygodnie urlopu.

Powstał więc problem skomplikowany. Z jednej strony zagrażające bezrobocie w lekarskim świecie Niemiec Zachodnich, z drugiej zaś — protesty studentów, lecz jak zwykle w takich sytuacjach prawda leży pośrodku. Wszyscy są

wplywem, a nawet naciskiem lobby lekarskiego, wprowadziła status „lekarza praktykanta” jako obowiązujący model kształcenia. Już przed czterema laty wielu było przeciwnych tej decyzji, teraz liczba ta powiększyła się znacznie: studenci, senaty akademickie z wielo ośrodków, profesorowie, szpitale. Jeśli zastanowić się nad rozwiązaniem tej zagadki w grę wchodzi następujące możliwości. * zmniejszenie liczby studiujących, poprzez ograniczenie liczby miejsc dla kandydatów; * pozostawienie statusu „lekarza praktykanta” i co za tym idzie wydłużenie ogólnego czasu studiów do 7,5, a wliczając oczekiwania na miejsce stażowe — do 8,5 roku; * wprowadzenie obowiązkowych praktyk wakacyjnych spowoduje skrócenie wakacji; * gruntowna zmiana systemu edukacji medycznej na obowiązującej we Francji.

Na angielskie czy amerykańskie rozwiązania, polegające na dużym obciążeniu zajęciami praktycznymi i teoretycznymi jednocześnie rząd RFN nie wydaje się patrzeć z zainteresowaniem. Wprowadzenie statusu „lekarza praktykanta”, które miało wydłużyć studia medyczne i przyczynić się tym samym do zmniejszenia, lub wręcz zażegnania groźby bezrobocia wśród lekarzy, jeszcze ten problem zaostriżyło. Warto może przytoczyć oficjalne dane na temat aktualnej liczby lekarzy, którzy pozostają bez pracy lub pracują w zawodzie nie mającym nic wspólnego z medycy-

na — jest ich w RFN około 1 tysięcy. Jaki będzie rezultat czerwcowych demonstracji oraz rozmów studentów z odpowiednimi władzami, trudno w tej chwili przewidzieć. Realne szanse na zmianę decyzji rządu dotyczącej „lekarza praktykanta” są nikłe. Chyba że większość landów RFN opowie się przeciwko nim. W obowiązującym jeszcze programie kształcenia lekarzy znajduje się już sporo miejsca na zajęcia praktyczne, czyli tzw. Praktisches Jahr (roczna praktyka), obejmujące 11 i 12 semestr studiów. Przeprowadzone solidnie i prawidłowo powinny wystarczająco przygotować przyszłych lekarzy do ich zawodu. Zajęcia te polegają na co-

dziennym uczestniczeniu w operacjach, obochodach, operacjach, na pracy w przychodniach w czterech dziedzinach medycyny: internie, chirurgii, pediatrii i ginekologii. Ten rodzaj zajęć praktycznych jest odpowiednikiem stażu podyplomowego, jaki musi odbyć każdy absolwent akademii medycznej w Polsce. Studenci RFN domagają się więc zwiększenia zajęć praktycznych w trakcie trwania studiów, bez ich wydłużania. Decyzje rządu są jednak inne prowadzące do wzrostu kosztów kształcenia lekarzy, które i tak wynoszą już teraz 120-130 tysięcy marek RFN. Widocznie bardziej zwiększyć liczbę miejsc pracy dla lekarzy. Ciężkie czasy nastały dla ESKULAPA nad Renem.

MICHAŁ STRAWECKI

(Autor jest studentem medycyny, kilkakrotnie odbywał za pośrednictwem IFMSA praktyki wakacyjne w szpitalach RFN, a także — wykorzystując prywatne kontakty — z Medizinische Hochschule Hannover przebywał blisko pół roku w środowisku niemieckich studentów medycyny, stawiających swoje pierwsze kroki zawodowe. Miał więc okazję zapoznać się z ich problemami.)

Bez „białych plam”

Miłośników twórczości Melchiora Wańkiewicza (a któż z nas się do nich nie zalicza), z pewnością uraduje wiadomość, że nasze renomowane oficyny wydawnicze zamierzają w nadchodzących latach wypełnić liczne „białe plamy” w wańkiewiczianach. Krajowego wydania winna doczekać się „Sztajfeta” (napisana z ogromnym patosem panorama rozwoju gospodarczego Polski w międzywojennym dwudziestolecu), cykl składający się na losy polskie — z „Droga do Urzędowa” (o Polakach na

Wschodzie), „Strzepy epopei” (historia korpusu gen. Józefa Dowborsko-Musnickiego, którego Wańkiewicz był żołnierzem), czy też opublikowana na emigracji głośna polemiczna broszura pt. „Kundlizm”. Nasi wydawcy przysięgają się również do publikowania w pierwotnym autorskim kształcie tych utworów Melchiora Wańkiewicza, które w minionych latach — wskutek różnorodnych zabiegów „kosmetycznych” i ingerencji — zostały okaleczone bądź znacznie uszczuplone. (reportaż z 1934 r., będące owocem dwutygodniowego pobytu autora w ZSRR). Niedawno na łamach „Tygodnika Demokratycznego” Aleksandra Ziolkowska — była asystentka i sekretarka Wańkiewicza, pieczołowicie troszczącą się o jego spuściznę literacką — poinformowała, iż Instytut Wydawniczy PAX przygotowuje ca-

PESTKI DYNI

Szkice, notatki, bruliony artysty... Zapis procesu twórczego, rysunki dla siebie, dla najbliższego kręgu przyjaciół, dla żony, kochanki... Robione w pracowni, w podróży, kawiarniach, w czasie rozmowy, w trakcie czytania czegoś tam, w najróżniejszych miejscach i o najróżniejszych porach dnia i nocy; rysowane na najprzeróżniejszych kartkach papieru, na serwetkach, w eleganckich szkicownikach i na papierach do pakowania sztywnych potem w jeden zeszyt, na wszystkim, do słowni na wszystkim, co było aktualnie pod ręką... I najdziwniejszymi też przedmiotami i materiałami — od ołówka, pióra, długopisu poprzez szmukle, do nadpalonych zapalek, fusów z kawy nabieranych na palec i czerwonego wina rozlanego na stole... Picasso zrobił kiedyś cykl rysunków byków i scen z corrido na kartach przeróżnych hiszpańskich menu... André Masson, ostatni z surrealistów, zniósł do pracowni kawiarniane serwetki i na nich rysował...; szkicowniki Turnera robione były na specjalne zamówienie, z różnych gatunków papieru — od cienkiej, pergaminowej bibułki po grubą, brązową tekturę...; Chętni z czasem polubili w szkicownikach dobre papiery — przedtem rysował na czym się dało, każdy, w miarę czysty skrawek papieru, był dobry... Czasem rysunkiem w tych prywatnych brulionach towarzyszyły słowa; od notatek, co trzeba w danym dniu zalać — po fragmenty o sztuce, od awangardowych wierszy — do miłosnych wyznań, od uwag, gdzie jaki kolor położyć — do pamiętników i manifestów... Fascynowały mnie zawsze te warsztatowe i prywatne zapiski. Jak wiele opowiadały one o ludziach, którzy je robili. Jak sugestyjnie zmieniały one skalę, proporcje i hierarchie, jakże inne dają oświetlenie i inną kompozycję osobowości artysty i jego życia... Parę lat temu oglądałem w Londynie, w British Museum wystawę szkicowników Williama Turnera, tego najlepszego dla mnie — i nie tylko, jak sądzę — angielskiego malarza. Długo stałem i bardzo, bardzo długo posuwałem się, krok za krokiem, wśród gablot i planusz, w monstrualnej kolekcji — równie jak ja — zafascynowanych ludzi... Wracałem tam potem kilka razy; Turner jawi mi się od tej pory zgola innym malarzem i także innym człowiekiem, jakbym został przesunięty w percepcji dzieła tego artysty w zupełnie inny wymiar... Wiele poważnych, światowych wydawnictw zajmujących się sztuką dużo uwagi poświęca tej najprywatniejszej twórczości. Wychodzą albumy szkicowników i brulionów różnych artystów bądź jako reprodukcje wybranych fragmentów, bądź w formie swobodnych reprintów. Fascynujące zajęcia — oglądanie i czytanie takich rarytasów. Zastępuje z powodzeniem całe tomy uczonych, solidnych monografiów... Miałem niedawno przed oczami tak właśnie wydany (we Francji) szkicownik Chagalla. Jego rysunków jeszcze z okresu tuż powiebskiego, z wszystkimi śladami czasu, który ułnył — od śladów zbudowania papieru po zacieki wylanego wina, z fragmentami notatek na marginesach... Oglądałem tego artystę i myślałem — bez prędkości może być w tak skromnym dziele człowieka... ile instynktownej mądrości w kilku kreskach i kilku plamach... Iż w tych małych gestach wielkiej sztuki... Po takiej lekturze człowiek wydaje się być oczyszczony z brudu tego świata...

Wiele poważnych, światowych wydawnictw zajmujących się sztuką dużo uwagi poświęca tej najprywatniejszej twórczości. Wychodzą albumy szkicowników i brulionów różnych artystów bądź jako reprodukcje wybranych fragmentów, bądź w formie swobodnych reprintów. Fascynujące zajęcia — oglądanie i czytanie takich rarytasów. Zastępuje z powodzeniem całe tomy uczonych, solidnych monografiów... Miałem niedawno przed oczami tak właśnie wydany (we Francji) szkicownik Chagalla. Jego rysunków jeszcze z okresu tuż powiebskiego, z wszystkimi śladami czasu, który ułnył — od śladów zbudowania papieru po zacieki wylanego wina, z fragmentami notatek na marginesach... Oglądałem tego artystę i myślałem — bez prędkości może być w tak skromnym dziele człowieka... ile instynktownej mądrości w kilku kreskach i kilku plamach... Iż w tych małych gestach wielkiej sztuki... Po takiej lekturze człowiek wydaje się być oczyszczony z brudu tego świata...

Wiele poważnych, światowych wydawnictw zajmujących się sztuką dużo uwagi poświęca tej najprywatniejszej twórczości. Wychodzą albumy szkicowników i brulionów różnych artystów bądź jako reprodukcje wybranych fragmentów, bądź w formie swobodnych reprintów. Fascynujące zajęcia — oglądanie i czytanie takich rarytasów. Zastępuje z powodzeniem całe tomy uczonych, solidnych monografiów... Miałem niedawno przed oczami tak właśnie wydany (we Francji) szkicownik Chagalla. Jego rysunków jeszcze z okresu tuż powiebskiego, z wszystkimi śladami czasu, który ułnył — od śladów zbudowania papieru po zacieki wylanego wina, z fragmentami notatek na marginesach... Oglądałem tego artystę i myślałem — bez prędkości może być w tak skromnym dziele człowieka... ile instynktownej mądrości w kilku kreskach i kilku plamach... Iż w tych małych gestach wielkiej sztuki... Po takiej lekturze człowiek wydaje się być oczyszczony z brudu tego świata...

ANDRZEJ GRUN

łościowe wydanie, oparte na edycji włoskiej, „Monte Cassino”. „Bitwa o Monte Cassino” — tak bowiem brzmiał tytuł oryginalny włoskiego wydania Wańkiewiczowskiej monumentalnej epopei, będącej hołdem złożonym żołnierskiemu męstwu — ukazała się w Rzymie i Mediolanie w latach 1945—1947. Wyszła w trzech tomach oprawionych w płótno, z czernymi i białymi makami na obwolutach. Szale graficzne — ikonograficzne do niej — mistrzowsko zgrana z tekstem — zaprojektował nieżyjący już Stanisław Gliwa (mieszkał w Anglii). W przyszłości dziełem tym będziemy mogli się delectować w całej jego krasi — bowiem wydawnictwo MON wyda reprint z 3-tomowego wydania włoskiego.

JANUSZ KOZŁOWSKI

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

A. WAJDA O „BIESACH” I...

W związku z realizacją filmu „Biesy” według Dostojewskiego Andrzej Wajda udzielił wywiadu Michelowi Pérez z „Le Nouvel Observateur”, w którym powiedział m.in. „...Sądzę, że „Biesy” to książka żywa. A ten film adresowany jest do was, do ludzi Zachodu, żyjących w systemach demokratycznych. Kiedy system funkcjonuje w wolności, politykę oddaje się w ręce zawodowców. Dlaczego mieliby się nią zajmować zwykli obywatele, skoro wszystko działa? Ale w ten sposób straciliście z pola widzenia to, co określa się jako Prawo i Sprawiedliwość. A przecież w tych demokratycznych systemach wszyscy są suwerenami. W społeczeństwie, nad którym nie ciąży zagrożenie, mała grupka ludzi zakompleksionych, zdecydowanych na wszystko lub zawiedzionych może dokonać wielkich spustosz (dotyczy to wyrażnych aluzji do terroryzmu, zawartych w filmie — dop. M.B.)... Mam przyjaciela, 90-letniego malarza. Pamięta doskonale początki rosyjskiej rewolucji, zanim jeszcze władzę przyjęli bolszewicy. Opowiadał mi, że w Petersburgu

gu ludzie spędzali czas na dyskusjach. Dyskutowali na ulicy, wszędzie. Kwestionowali istniejący świat, właściwie trochę tak, jak to było u nas w maju 1968 r. Ten przyjaciel zawsze mi mówi, że miał wówczas wrażenie, że słuchał słowa w dialogu z „Biesów”. Wie pan, jak to się skończyło... Dla Polaków Dostojewski to przede wszystkim Rosjanin, a dopiero potem jeden z najwybitniejszych pisarzy świata. A poza tym, od stanu wojennego publiczność przestała interesować się kinem. Przedtem każdy film był rodzajem barometru pozwalającego wymierzyć stopień wolności, tolerowanej przez cenzurę. Dzisiaj ludzie siedzą w domu...”. Na pytanie, czy nie zamierza już kreć filmów w Polsce?, Andrzej Wajda powiedział: „Nie, właśnie chcę pracować w Polsce. W pewnym okresie mojego życia, po „Popiele i diamentach”, mogłem zostać Amerykaninem. Nie dokonałem takiego wyboru. Zrealizuję więc mój dwudziesty dziełowiati film w Polsce. W oczekiwaniu na wystawienie „Dybuka”. Po raz pierwszy od zakończenia wojny było to możliwe. Obserwujemy w Polsce niesłychany renesans kultury żydowskiej. Związka młodzi ruszają się na wszystkie wznowienia książkowe na ten temat.

Ta fascynacja jest wielka niespodzianka...”.
EKRANIZACJA „NOSTROMO” J. CONRADA
Spółka autora filmów: „Doktora Żywego”, „Podróż do Indii”, „Lawrence z Arabii”, czyli David Lean — którego poznaliśmy z interesującego portretu pokazanego niedawno w naszej telewizji — wraz z francuskim producentem filmów Bunuela i Kurosawą, Serge Silbermanem, zapowiada stworzenie wielkiego widowiska — ekranizację powieści Josepha Conrada „Nostromo”. „To pasjonująca historia i niezwykły bohaterowie” — powiedział David Lean... o przygodach włoskiego awanturnika z początku stulecia, wokół którego kreca się kosmopolityczni poszukiwacze majątku, zwabieni odkryciem złóż cennego kruszcza w Meksyku...
Zdjęcia do filmu rozpoczną się prawdopodobnie na początku przyszłego roku w Hiszpanii.

O SPALENIU OWIEC RAZ JESZCZE

O barbarzyńskim spaleniu żywych owiec na planie węgierskiego filmu „Flisacy”, kreconego w Tatrach pisał na naszych łamach (jako jeden z pierwszych) Andrzej Grun w cotygodniowym felietonie „Pestki dyni” i oto w odpowiedzi na list naukowców z krakowskiej Akademii Rolniczej, m.in. Aleksander Krawczuk poinformował o podjęciu kroków zmierzających do wyjaśnienia okoliczności zdarzenia i ukarania winnych. Dyrektor ZPPF wydał zarządzenie zakazujące realizacji zdjęć filmowych, podczas których może być narażone życie i zdrowie zwierząt. Prokurator rejonowy w Zakopanem wszczął śledztwo z art. 5 rozporządzenia Prezydenta RP z 22 marca 1928 roku o ochronie zwierząt. Gwoli ścisłości przypomnijmy, że nie pierwszy to przypadek barbarzyństwa, jakiego dopuszczają się filmowcy. W historii filmu znane są przypadki, których ofiarą bywali... ludzie — o czym przypomina „Wprost”: „Przed kilkunastu laty głośna była sprawa włoskiego reżysera Jacopettiego, który żołdakom kongijskim polecił strzelać do uciekających ludzi, a następnie scenę tę wmontował do filmu. W swoich wspomnieniach, wydanych w Nowym Jorku, Dymitr Szostakowicz pisze, że podczas kręcenia „Andrieja Rublowa” Tarkowski oblał naftą krowę i ją podpalił — krowa pobiegła przed siebie, niczym wyjąca żywa pochodnia, a oni ją sfilmowali. Dla potrzeb „Magnata” Bajona strzelono zabra...”

Krzysztof Jasiński od 22 lat pozostaje duchowym przywódcą „Teatru STU”, który założył 20 lutego 1966 r. Początkowo działał w obrębie Szkoły Teatralnej w Krakowie, stopniowo przekształcił się w teatr profesjonalny o ogromnej sile oddziaływania tak wśród publiczności krajowej jak i zagranicznej. Swoje spektakle prezentował w przeszło 20 krajach Europy, Azji i Ameryki. Także Polskę przemierzył wzdłuż i wszerz. Nie bez powodu mówi się o nim „teatr w drodze” — hasło to odnosi się także do poszukiwań artystycznych.

działalność artystyczną w kraju i na świecie. K. Jasiński od 22 lat siedzi w tym samym fotelu, realizując swój plan życiowy, szukając sensu własnego istnienia. Bardzo wcześnie uświadomił sobie, że jego przeznaczeniem jest teatr. Życie w teatrze przyjął za swój plan perspektywiczny, który konsekwentnie realizuje. Pomaga mu w tym uporządkowanie i wewnętrzne skupienie. „Teatr STU” przeżywał moment załamania. Przeszły funkcjonować więzi generacyjne. Wiele okoliczności przemawiało za tym, że spektakli

pozostała galeria nietytowa. Aranżowane w niej wystawy bardziej przypominały spektakl niż tradycyjną ekspozycję dzieł sztuki, o czym świadczy udział w jej teatralizowanych „żywych wystawach” m.in. Mai Komorowskiej, Maryli Rodowicz czy Marka Grechuty. Od połowy lat 80. Galeria zaczęła poszerzać swoją ofertę eksponując bardziej teatr, estradę, muzykę, taniec i literaturę. W marcu 1987 r. „Teatr STU” otworzył Galerię z prawdziwego zdarzenia przy ul. Brackiej 4. Plastyka, która tak chlubnie zapoczątkowała działalność „Teatru STU” znalazła znowu dla siebie właściwe miejsce. W 1980 r. uruchomiono Studio Nagrań Dźwiękowych, które nagrywa muzykę dla potrzeb fonografii, teatru i filmu. Studio dysponuje doskonałą aparaturą: konsolą Harrison 2824, współpracującą z komputerem oraz najbogatszy w Polsce zestaw urządzeń efektywnych: cyfrowe linie o-późniające, urządzenia pogłosowe, kompresory, limfery, bramki. Studio rejestruje koncerty organizowane w sali teatralnej „Teatru STU” oraz nagrywa płyty długogrające. Do chwili obecnej nagrano 48 płyt, takich m.in. wykonawców jak: Maciej Zembata, Zdzisław Sośnicki, Małki Jeżowskiej, Elżbiety Wojnowskiej, Edyty Goppert, Alana Michaela oraz zespołów: „Maanam”, „Laboratorium”, „TSA”, „Pod Budą”, „Waly Jagiellońskie”.

Właściwa działalność „Teatru STU” zawsze koncentrowała się w Studiu Aktorskim. Jesienią tego roku zostanie otwarty Ośrodek Poszukiwań Teatralnych „Teatru STU” w Ochodzie pod Krakowem. Tam właśnie, w zabytkowym zespołe dworskim odrestaurowanym przez teatr, osiadłoby stałe Studio Aktorskie, które kształcić będzie przyszłych aktorów „Teatru STU”.

I tak „Teatr STU” nabrał rozmachu, stając się — w porównaniu z innymi teatrami — instytucją najmniej finansowaną. „STU” jest przedsiębiorstwem. K. Jasiński żartobliwie powiada, że prowadzi teatr za złotówkę... Coś w tym jest, bowiem dochody płynące z działalności Studia Nagrań Dźwiękowych, Galerii i spektakli teatralnych w połowie pokrywają potrzeby finansowania działal-

ność „Teatru STU”; druga złotówka teatr otrzymuje od mecenasów na rozwój, a trzecia — na restaurację Ośrodka Poszukiwań Teatralnych w Ochodzie. Swoją sytuację ekonomiczną „Teatr STU” zawdzięcza wspaniałemu mecenasowi, jakim są Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe z dyrektorem Stanisławem Nowotnym na czele. Jest to jedyny w Polsce alternatywny mecenas wobec wydziałów kultury, posiadający szerokie możliwości promocyjne dla działalności artystycznej w kraju i za granicą. Poza tym ZPR-ry rzeczywiście opiekują się artystami estradowymi.

Bieżący repertuar składa się z bogatej oferty. Miesięcznie wystawia się około 30-40 imprez, w tym 7 spektakli: „Kto się boi Virginii Woolf”, „Wielki Fryderyk”, „Kur zapiał II”, „Putyfara”, „Scenariusz dla trzech aktorów”, „Audycja II”, „Audycja V”, ta ostatnia w wersji angielskiej dla cudzoziemców. W czerwcu odbyła się premiera dramatu Fernando Arrabal pt. „Labirynt”. Z okazji przyjazdu autora sztuki odbyła się konferencja prasowa.

Z ciekawszych imprez, jakie się odbyły, warto odnotować spotkanie z Danielem Olbrychskim; koncert światowej sławy skrzypka Miha Poganička czy niedawne spotkanie autorskie z Jerzym Kosmiskim. Uwagę zwraca prezentacja osiągnięć współczesnej plastyki, choćby malarstwa D i W. Siemaszkiewiczów, malarstwa i grafiki (wystawa posmiertna) Janusza Kaczkowskiego, czy najsłynniejsza propozycja grafiki Jana Burnata. Do każdej wystawy, Galerii drukowany jest okazjonalny plakat.

Z inicjatywy Kazimierza Kutza, reżysera naczelnego Ośrodka Telewizji w Krakowie, „Teatr STU” podpisał umowę z telewizją o współpracy, w wyniku której do końca bieżącego roku mają być emitowane z „Teatru STU” cztery transmisje ze spektakli specjalnie w tym celu przygotowanych: „Scenariusz dla trzech aktorów”, „Kolacja na cztery ręce”, „Pocelunek kobiety pająka”, „Józef i Maria”.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Kronika

NA XIII FESTIWALU PIOSENKI CZESKIEJ I SŁOWACKIEJ W USTRONIUM (woj. bielski) Grand Prix — „Kryształową Lirę” — zdobyła Elżbieta Chudy z Łodzi. Gratulujemy!

MILA RÓWNIEM WIADOMOŚĆ DOTARŁA DO NAS Z I OGÓLNOPOLSKIEGO BIENNALE MALCHY FORM MALARSKICH. Nagroda specjalna jury — za nową rozważania plastyczne w tej dziedzinie — przypadła w udziale łodzianinowi Romanie Hałat. Z ugodzonymi pracami można się zapoznać na zorganizowanej w Toruniu, pokonkursowej wystawie. Prezentuje tam swoje prace 138 artystów (m.in. z Bułgarii, Japonii i Rumunii).

W GWYNOZICY GÓRNEJ, we wsi gdzie urodził się Julian Przybył, otwarto muzeum poświęcone jego pamięci. Fachową opiekę nad tą placówką rozłoży Muzeum Literatury w Warszawie.

PAUL MCCARTNEY, jeden z członków słynnego zespołu „Beatlesów”, otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Sussex. Jak podano w uzasadnieniu, to zaszczytne wyróżnienie przyшло mu „za wkład w historię muzyki i radość, jaką oddał milionom ludzi”.

W PRZELYM ROKU — jak zapowiedział solista słynnego zespołu „The Rolling Stones” — zespół ten wystąpi z nowymi koncertami i nagrą nową płytę. Góry można przewidzieć mruwane powodzenie, płyta zaś stanie się — z pewnością — szlagierem!

NA EKRYNACH KIN JUGOSŁOWIAŃSKICH wędruje we wrześniu br. film o chorobie AIDS. Nakreślił go student belgradzkiej szkoły dramatycznej — Cedomir Velinović.

ANDRZEJ WAJDA, na pytanie krytyka z „Le Nouvel Observateur”, czy nie zamierza już kręcić filmów w Polsce, odpowiedział: „Nie, właśnie chcę pracować w Polsce. W pewnym okresie mojego życia, po „Popiele i diamentach”, mogłem zostać Amerykaninem. Nie dokonałem takiego wyboru. Zrealizuję więc mój dwudziesty dziewiąty film w Polsce!” Czekamy nań z niecierpliwością!

ANDRZEJ MARIA MARCZEWSKI, który od nowego sezonu obejmie dykcję teatrową bydgoskich, zapowiada spektakle nocne (po godz. 22). W ramach tych przedstawień zamierza zaprezentować sztuki z tzw. różowej teatrowej (teatrowej) serii. Warto więc będzie, niech panowie, powołać na teatralne „nocne” do gronu nad Brdą!

POWOLANE W 1986 ROKU WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA KRZEWIENIA KULTURY ŚWIECKIEJ W ŁODZI rozwija bardzo ambitne inicjatywy wydawnicze.

Z już opublikowanych, cennych pozycji, na odnotowanie zasługują: praca Edmunda Lewandowskiego „Religia Dalekiego i Środkowego Wschodu” (zapoczątkowała ona cykl, składający się na „Bibliotekę Religioznawczą”); unikatowe w polskiej literaturze opracowanie Antoniego Michałaka pt. „Tradycje i współczesność polskiej obrzędowości pogrzebowej”; interesująca książka Władysława Baranowskiego „Świat Islamu”, oraz jedna z pierwszych publikacji: „Koncepcja człowieka w polskiej myśli socjalistycznej, 1878-1939”, autorstwa Danuty Tomaszewskiej.

W najbliższych miesiącach powinny zaś trafić do rąk czytelników książki, którym należy, z góry, uroczliwie życzyć sukcesu wydawniczego — Adama Ochockiego „Raz, dwa, wzięli... Wspomnienia z ZSRP 1939-1946” (zaczętych w odcinkach, podczas druku na naszych łamach), Zdzisława Wróbla „Erotyzm w religiach świata”, Zbigniewa Kuchowicza „Żywoty niepospolicich niewiast staropolskich”.

W redakcyjnym opracowaniu znajdują się również liczne, ciekawe publikacje, m.in. Władysława Baranowskiego „Prawosławie rosyjskie”, Bożeny Krzywickiej „Jasna Góra. Legendy i fakty”, praca zbiorowa „Miłość staroniemiecka” (wybór i tłumaczenie Konrada Frejdlacha).

„TYGODNIK DEMOKRATYCZNY” rozpoczął (w numerze 31 z br.) druk fragmentów wspomnień dowódcy Armii Krajowej w okresie Powstania Warszawskiego, generała Tadeusza Bora-Komorowskiego. W książkowym wydaniu pamiętniki generała „Bora” (pt. „Armia Podziemna”) ukazały się po raz pierwszy w Londynie, w parę lat po Powstaniu (najpierw w języku angielskim, później polskim). W kraju nie były dotychczas publikowane.

Mamy więc jeszcze jeden przekonywujący dowód mówienia pełnym głosem o naszej powiklanej, najnowszej historii.

NIEBAWEM TRAFI NA KSIĘGARNIE LADY głębia książki (być może najlepsza) Igora Newerlego pt. „Został z uczty Bogów” (wydana swego czasu w tzw. drugim obiegu). Jest to opowieść biograficzna, zawierająca wspomnienia niedawno zmarłego pisarza z okresu jego dzieciństwa i młodości spędzonej w Rosji w latach 1915-1923 (fragment jej drukowaliśmy na łamach naszego tygodnika).

JAK UJAWNIA NA ŁAMACH „KURIERA POLSKIEGO” znany pisarz Jan Koprowski, po powrocie z Domu Pracy Twórczej ZLP w Obornach k. Warszawy, jego koledy po piórze czytali tam w wolnych chwilach „Nawrócenie” Andrzeja Kuśniewicza i „Nagi mąż” Romana Bratnego.

Literaci, jak widać z tego, mają też swoje upodobania.

Opracował: JAK

„Teatr za złotówkę”

Całymi latami zespół teatralny zbierał liczne nagrody i wyróżnienia za osiągnięcia artystyczne, choć nie tylko. STU posiada również „Złota Odznaka” za pracę społeczną dla miasta Krakowa. Poszukiwania i dokonania artystyczne K. Jasińskiego w „Teatrze STU” odzwierciedlają następujące spektakle: „Spadanie” (1970) — teatralny manifest pokolenia 68, „Sennik polski” (1971) — wiersz „duży polski”, „Exodus” (1974) — widowisko obrzędowe na kanwie poematu L.A. Mozulskiego, „Pacjenci” (1976) — widowisko buffo na motywach powieści M. Bułhakowa „Mistrz i Malgorzata”, „Szalona lokomotywa” (1977) — musical M. Grechuty i J.K. Pawłuszkiewicza na motywach utworu S.I. Witkiewicza, „Donkichoteria” (1980) — widowisko kontynuujące formułę myślową i estetyczną „Spadania” oraz „Sennika polskiego”, „Neo tyficzna druga” C.K. Norwida (1986) — to spektakl stanowiący świadomą cezurę zamykającą 20-lecie istnienia „Teatru STU” i otwierający nowy okres życia teatru.

Zwykłe teatry generacyjne umierają śmiercią naturalną. „Teatr STU” jest zaprzeczeniem tej reguły. Żyje nadal, rozwija się, prowadzi ożywioną

Wacław Nowakowski żyje wśród antyków: kilkusetletnich mebli, staroruskich ikon, obrazów olejnych, Judaiców, porcelany, nie mówiąc już o kolekcji sztuczków. Współczesne jest tylko wyróżnienie na Ogólnopolskiej Wystawie Rzemiosł Artystycznych, nadane 12 maja 1988 r. w Warszawie oraz barwne fotografie jego pierwszych eksportowych przebojów. Na targach sztuki w Padwie sprzedał 7 ikon, a 10 Judaiców trafiło do rąk włoskiego entuzjasty.

Rzemiosłem zajął się w latach siedemdziesiątych. Razem z siostrą Elżbietą Litwinowicz — absolwentką PWSSP pracował w jej zakładzie przy wyrobie kopii dzieł sztuki. Przynajmniej niektóre były wzorowane na antykach, będących w posiadaniu rodziny. Znal się na nich dzięki temu, że wychował się wśród dzieł sztuki. Nie skończył jak siostra studiów plastycznych. Jest absolwentem szkoły handlowej. Zdradza, że ikony maluje się w jego zakładzie od 1 do 7 dni. Ewa Bakalarz już 5 lat przenosi rysunki z oryginałów i reprodukcji na deski (koniecznie z drzew liściastych). Skończyła studium charakterystyki. Obok niej Janina Żelazowska, absolwentka studium reklamy, 8 lat poszła ikon. Obie około roku uczyły się prywatnie tego rzemiosła u konserwatora ikon. Obie malarki naśladowały również XVIII-wiecznych mistrzów flamandzkich. Wspaniałe kopie obrazów ozdabiają cała ściana. Gdyby jedna z martwych natur trafiła do rąk prywatnych, to dzieło takie łącznie z narzutami spółdzielni kosztowałoby 70 tys. zł. Na razie nie można nabyć żadnego z obrazów — stanowią ofertę eksportową. Namalowany na desce obraz świętego nie stanowi uwieńczenia dzieła. Na wierzch ikony idzie posrebrzana blacha, tzw. „koszulka”. Wacław Nowakowski tłumaczy, że dawniej ikony zamawiał u mistrzów duchownych. Natomiast ich dekoracje brał na siebie wierni. Niektórzy święci, zwłaszcza posiadani o sprawianie cudów, mieli po kilkanaście „koszułek” ze srebrnej bądź złotej blachy, wy-

ksa. Dłuta różnych rozmiarów i gwoździe służyły do wyzarowywania subtelnych rysunków na blasze, masunietej na smolowy podkład.

W warsztacie w ogrodzie pracują kolejni z dwunastki rzemieślników. Tu powstają m.in. Judaica, a wśród nich lampy chanukowe — święcące zawsze obecne w liturgii Żydów. I prawdziwa egzotyka — Jady, czyli ozdoby „palce” do czytania Tory. Święte księgi nie może dotknąć nawet duchowny. W zakładzie nie powstawały dotąd tylko kraszki, na które nawija się zwój Tory. Po prostu nie ma kości słoniowej.

Właściciel obiecuje, że jest w stanie podjąć się produkcji kopii każdego antyku, jeśli się tylko znajdą nań nabywcy. Opowiada, że prowadzone są przez Rzemieślniczy Dom Towarowy pertraktacje w sprawie wyrobu historycznych myceł. Jakże Żydzi noszą w bożnicach. Bogato zdobione czapeczki XVIII-wieczne z haftami na czarnym aksamicie czy atłasie to tylko kwestia znalezienia potrzebnych rzemieślników. Żadna trudność.

Rzemieślnik ma 57 lat. Sam mówi, że pewnie już nie doczeka dyplomu mistrza, ale jesienią kopie dzieł sztuki z jego pracowni będą w Bari cieszyć oczy zamożnych klientów na kolejnej edycji targów. Będzie miał osobistą satysfakcję oraz 2,5-krotnie niższe wpływy dewizowe od mistrza rzemieślnika.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Unieśmiertelnić zabytki

sadzanej drogi kamiennymi. „Matka Boska” z Czeszochowu ma ich również bodaj 8.

Miejsca w koronach świętych, miast brylantami — stracił się dziś drogocenniejszy, bo zachodnimi e-mailami. To zadanie dla Doroty Lewandowskiej, od kilku miesięcy magistra chemii PE. Zanim jednak blacha do niej trafi, musi być wyklepana m.in. przez Piotra Twardowskiego i Andrzeja Lau-

Studiować w Polsce

— Dlaczego zdecydowałeś się na studia w Polsce?

— Po zdaniu matury złożyłem wniosek do partii komunistycznej. Mogłem zaproponować dwa kraje socjalistyczne, w których chciałbym studiować. Wybrałem Polskę i Czechosłowację. Położenie geograficzne Polski odpowiadało mi, poza tym tutaj studiował mój kuzyn. Studia w krajach kapitalistycznych sam musiałbym sfinansować.

— Obok gimnazjum twierdzą, że polska fonetyka i fleksja to gymnastyka i niespodzianki. Ty świetnie mówisz po polsku.

— Z fleksją ma się dużo kłopoty. Gdy słyszałem jak Polacy mówią, nie wyobraziłem sobie, że mogę mówić po polsku. Przez dwa miesiące nauczyłem się tak, że mogłem swobodnie rozmawiać. Miałem dobrego nauczyciela. Najważniejsza jest praktyka i kontakt z ludźmi. Student w Polsce sa bardzo żywili. Chętnie pomagają, jeśli pojawiają się jakieś kłopoty. Pożyczają, jeśli czegoś brakuje. Nie spotkało mnie w Polsce nic przy-

kiego. Okres studiów to najpiękniejsze lata w moim życiu.

— Co sądzisz o organizacji zajęć i poziomie studiów w Polsce?

— Ja nigdy nie miałem kłopotów. Jeśli się dobrze rozplanuje zajęcia, można znaleźć czas na życie prywatne — zabawę, kino, wyjazdy do rodziny. To nie tylko moja opinia, że studia w Polsce są zbyt teoretyczne. Obserwując i rozmawiając z kolegami uważam, że wymagania na poszczególnych uczelniach są zróżnicowane. Architektura w Łodzi jest na bardzo wysokim poziomie. Studiujemy jednak architekturę Europy, nasza różni się nieco.

— Mogłobyś porównać studia w Polsce i studia w Europie Zachodniej?

— Nie każdy ma możliwość podjęcia studiów na Zachodzie. Dla obywatela jest łatwiej żyć w Polsce niż na Zachodzie. Również bezproblemowo. Bardzo żyłymi są profesorem — potrafili zostać po zajęciach, by pomóc, wytłumaczyć coś studentowi. Na Zachodzie to się raczej nie zdarza. Studiując architekturę zrobiłem więcej projektów i miałem więcej zajęć niż koledy studiujący np. w RFN. Są też mankamenty, myślę tu o nowoczesnej technice — absolwent architektury w Polsce nie widział komputerowej deski kreślarskiej...

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

O HONORZE

„Wśród ostatnio opublikowanych materiałów — pisze Grigorij Simanowicz z APN — które wywarły na mnie największe wrażenie, znalazła się króciutka informacja z miesięcznika „Nowy Mir” z grudnia 1987 r. Jej autor, prawnik G. Tieriechow poinformował, że udało mu się ustalić wiarygodne przyczyny i okoliczności śmierci wybitnego poety Nikołaja Gumilowa, męża Anny Achmatowej, rozstrzelanego w sierpniu 1921 r., za udział w spisku kontrewolucyjnym”. Okazuje się, że Gumilow nie brał udziału w spisku, a został rozstrzelany wraz z innymi za to, że, krótko mówiąc, nie doniósł... Na śledztwie swoje zachowanie tłumaczył „przesadami szlachectwa, oficerskiego honoru”.

Imperatyw moralny rosyjskiego inteligenta równał pojęcie „honor” z pojęciem „życie”. Klimat moralny panujący wówczas w radzieckim społeczeństwie przywraca prawdziwy sens wielu pojęciom. „Honor” nie może być „przesadą”, jeżeli społeczeństwo nie w słowach, lecz w czynach dąży do demokracji i dlatego, moim zdaniem, jest rzeczą naturalną, że właśnie dziś odradza się zainteresowanie treścią słowa „honor” w sztuce, także w kinematografii”.

CZY WARTO?

Po śmierci Edwarda M. Forstera (1970 r.), autora m.in. „Drogi do Indii”, w jego papierach znaleziono maszynopis powieści „Maurice” z odręcznie adnotacją: „można wydać, ale czy warto?”. Napisana w 1914 r. powieść poruszyła bardzo otwarcie problem homoseksualizmu dobrze znany, jak wiadomo, autorowi z autopsji. Forster zdawał sobie sprawę, że opublikowanie tekstu mogło zniszczyć jego karierę, a nawet złać życie. Gdy wreszcie w rok po śmierci książka została wydana, stosunek do homoseksualizmu był zupełnie inny. Obrazoburczość powieści była już tylko zjawiskiem historycznym, przyczynkiem do charakterystyki epoki, w której powstała i postawy samego autora.

Jakkolwiek książka Forstera nie wzbudziła specjalnego zainteresowania czytelników, jednakże po tę właśnie powieść sięgnął reżyser James Ivory, zachęcony sukcesem swego poprzedniego dzieła, adaptacji innej powieści pisarza — „Pokój z widokiem”. Większość owych powieści Forstera poświęcił właściwie jednemu tematowi: prymatowi osobistych uczuć nad ograniczeniami narzuconymi przez społeczeństwo. Trudno jednak oczekiwać, aby filmowa wersja „Maurice” pow-

ziętyła sukces poprzedniego dzieła.

NOTOWANIA NA GIELDACH KSIĄŻKOWYCH

Walter Schellenberg „Wspomnienia” 1300 zł; Ernest Hemingway „Pożegnanie z bronią” — 450 zł; Stefan Żeromski „Popioły” — 1350 zł; Arthur Hailey „Port lotniczy” — 1600 zł; Tadeusz Dołęga-Mostowicz „Znachor. Profesor Wilczur” — 2200 zł; Jan Gieżyński „Szkolenie psów myśliwskich” — 1400 zł; Janusz Przymanowski „Cztery pancerni i pies” — 1700 zł; Michalina Wisłocka „Sztuka kochania” — 2300 zł; D. A. F. de Sade „Niedole cnoty. Zbrodnie miłości” — 800 zł; „Historyczny rodowod polskiego ceremoniału wojskowego” — 1000 zł; Jürgen Thorwald „Stulecie chirurgów” — 1800 zł; „Nowa kuchnia słaska” — 1800 zł; Zygmunta Gloger „Encyklopedia Staropolska” (4 t.) — 12000 zł; Melchior Wańkowicz „Ziele na kraterze” — 800 zł; Kazimierz Korzkowicz „Ostatni zwycięzca” (2 t.) — 1000 zł; John Dos Passos „Manhattan Transfer” — 800 zł.

Fraszki

JÓZEF KMIĘCIAK

UCZONY

On nawet do żony mówił: Ja, twój mąż uczony.

SILNA GRUPA

Sami swoi, a jeden drugiego się boi.

REINKARNACJA

Nie martw się, Heniu, będę piękniejsza w następnym wcieleniu.

WSPÓLNICY

Niejedno mają wspólne zadanie: szubrawiec z dzieciem.

OFIARNY

Zawsze i wszędzie był z nami i karmił nas złudzeniami.

Polacy coraz częściej mają wrazenie, że ktoś za nich zapłaci. Staje się to już jedną z nowoczesnych cech tego narodu. W mniemaniu Polaka, od robotnika do poety czy ministra, każdy mieszkaniec Zachodu jest nieskończenie bogatszy od każdego Polaka, niezależnie od pozycji społecznej. Znaczący, szewczyzna rzymski, wiadomo, ma więcej forsy, niż polski uczonec, a nowojorski śmieciarz jest krezusem w porównaniu z najlepszym polskim chirurgiem. Ciekawe, że chociaż takie myślenie wydaje się głupie, to jednak w ogromnej większości wypadków okazuje się być prawdą. Nie usprawiedliwia to jednak wmontowanego w umysł polski od kilkudziesięciu lat zebraństwa.

Jan Duch poszedł na dworzec kolejowy, kupił dwa bilety najnowszej klasy dla siebie i dla Georgii, wrócił do „Albergo Corallo”, by się spakować, po czym oboje z Georgią wyszli z hotelu, jak gdyby nigdy nie, rzucając przed siebie „arrivederci” oraz „ciao” w stronę sztywno brzmiącej konsjerżki. Ta jednak wybiegła za nimi na słoneczną ulicę i starała się ich zatrzymać, nachając rękami i operując głosem w stopniu wzmożonym.

— *Good bye* — powiedziała Georgia z uśmiechem, sądząc, że starówka nie dosłyszała wypowiedzianych przedtem pożegnań. Z cieniściego lobby wyskoczyła jednak druga kobieta z papierem w dłoni, podtykała ten papier obojgu pod nos na zmianę, a drugą dłonią wykonywała niedowzmaczne ruchy o niezaprzeczalnym jasnym, międzynarodowym znaczeniu: pocieranie wskazującego o kciuk znaczy wszędzie to samo, w języku swahili czy w esperanto.

— *Ta wiedźma chce, żebyśmy zapłacili* — powiedziała Georgia. — *Jakim prawem? Przecież prosiliśmy o azyl.*

— *Ale przecież oddali nam paszporty — zauważył Duch.*

— *No to co? Od chwili, kiedy prosisz o azyl, muszą się tobą opiekować* — upierała się.

Włoszka przysłuchiwała się przez chwilę szeleszczącemu dźwiękowi, potem powiedziała coś do swojej towarzyszki tonem nie wróżącym nic dobrego.

— *We asked for political asylum — zwróciła się do nich Georgia. — We are not going to pay for anything.*

Znaczący prosiłszy o azyl i nie będący za nic placić. Włoszki rozjaśniały się teraz na dobre. Biegły dokola dwojga azylowców, starając się brać im walizki.

— *Basta!* — krzyknęła Georgia. — *Azylu politycznego, wu komprene? My na azylu, is habe kajne geld, no many, no lira, Dottore becalen zi bite, Policija.*

Złapała Ducha za rękę i zaczęła odmarsz przyspieszonym krokiem.

— *Sì, sì, policija!* — wrzasnęły kobiety i jedną z nich, krzyżując „telefonu policija”, wbiegła z powrotem do lobby.

— *Zapłacimy — powiedział Duch — bo będzie wstyd.*

— *Wstyd? Ty idioto, to oni powinni się wstydzić! My im robimy łaskę, że się zgłaszamy po azyl, a oni nas tak traktują!*

— *Przecież oddali nam paszporty. Oficjalnie wcale jeszcze o azyl nie wystąpiliśmy. Mamny więc na dwa tygodnie. Kotku, jesteśmy normalnymi turystami, mogą nas przynająć, albo zawieźć do ambasady...* — Duch sięgnął do kieszeni, by wyciągnąć pieniądze.

— *Ani mi się waży! Niech tu przyjadą!* — Georgia szarpała Ducha za rękę, próbując wyrwać mu pieniądze.

Duch przytrzymał jej dłoń, ścisnął mocno i powiedział szeptem, jakby się bał, że ktoś może zrozumieć:

— *Uspokój się, bo dostaniesz w dziób i zostawie cię nieprzytomną na ulicy.*

Uspokoiła się natychmiast. Wiedziała, że nie żartuje. Wprawdzie nigdy jej nie uderzył, ale widziała skutki jego ciśnień na nieostrożnych osobach płci męskiej. No i przecież to on teraz był głównym opiekunem Georgii, bez niego wyglądałaby w Latinię.

Duch poszedł do lobby i zapłacił. Rachunek wyniósł więcej niż połowa sumy, przystanej przez Jerzego Giedroycia. Koszty utrzymania przez te kilka dni, bilety do Rzymu i taksówka do domu Zahorskiego. Kiedy stanęli przed bramą, mieli zaledwie kilka tysięcy lirów, czyli praktycznie zero.

W pociągu prawie z sobą nie rozmawiali. Duch wiedział, że jak dobrze pójdzie, to za kilka tygodni zostanie się z Georgią na zawsze. Z niecierpliwością wyczekiwał tego momentu. Zamknął oczy i kołysany monotonnym ruchem wagonu wyobrażał sobie życie bez Georgii. „Wybrał wolność”, powiedział o nim znajomi, pozostali w kraju, nie mając pojęcia o tym, co znaczy „wolność”. Największą wolność, to wolność od osoby, której się nie lubi. Reszta to fraszka. Gdyby każde małżeństwo w Polsce kochało się mocno, nie byłoby problemu ze zbudowaniem socjalizmu, ani jakiegokolwiek sprawiedliwego ustroju, żaden w ogóle ustrój nie byłby potrzebny. Budowanie ustroju? Cóż to takiego? — zastanawiał się Duch. Budować trzeba domy mieszkalne, szkoły, szpitale, zakłady pracy... Ustrój, jaki by nie był, sam się jakoś wykształca, jeżeli ludzie, wszyscy ludzie, są zakochani. Jeżeli kocham żonę, to kocham swoje dziecko, jeżeli kocham swoje dziecko naprawdę, to kocham wszystkie dzieci. Tak się kocha świat i ludzi, zwyczajnie, konkretnie, a nie poprzez założenia, wymyślone przez facetów, którzy albo w ogóle dzieci i żon nie mają, jak księża, albo cierpią na kłopoty seksualne, jak Stalin czy Hitler.

Miał już Georgii po same uszy. Domyślał się, jakie ta dziewczyna ma plany: znaleźć sobie starego milionera i go przeżyć. Ciekawy był, jak sobie da radę ta osoba wniezanym jej świecie. Bardziej był ciekawy, jej przyszłego losu, niż swojego, ponieważ był pewien, że jemu wszystko ułoży się dobrze, choćby dlatego, że n. układaniu czegośkolwiek mu nie zależało. „Dobrze to się ułoży w trumnie”, zwykł mawiać Marek Hlasko i miał rację. Duch jechał na Zachód tylko po to, żeby nie być w Polsce — w odróżnieniu od wszystkich innych, którzy jechali na Zachód, żeby coś sobie ułożyć, ustawić, zorganizować. Zorganizować kozy, mówiąc po prostu.

Mieli z sobą polskie paszporty. Mimo uciecz-

ki ze statku i rozmów na policji, formalna prosba o azyl jeszcze nie była przez włoskie władze zarejestrowana. Nie mieli skierowania do obozu w Latinię, sam Dottore im to odradził. O tym, że Latina nie była miejscem dla niego i Georgii, przekonał się Duch później, kiedy poznał ludzi, przybywających z obozu do Kanady. Była między nimi dziewczyna, zgwałcona przez kilkunastu pijanych mężczyzn na wspólnej sali, była rodzina, którą okradziono ze wszystkiego, co zdołali wywieźć z Polski, byli faceci z twarzami pociętymi brzytwa i z polamanymi nosami. Latina to jeden wielki burdel, w którym rządzi międzynarodowa mafia złodziei i bandytów. Taką opinię słyszał Duch od każdego, kto przez ten obóz przeszedł.

Duch był więc szczęśliwy, że ominęła go konieczność natychmiastowego wyjazdu do Latiny, że zostawiono mu prawo wyboru miejsca, w którym oficjalnie wystąpi z prośbą o azyl. Postanowił oboje z Georgią, że załatwią to w Belgii. Decyzja ta, podkryta naiwnością, przysporzyła im wiele kłopotów. Kilka lat później Duch powiedział mi, że gdyby wiedział, co przeżyje w Belgii podczas prawie rocznego oczekiwania na azyl, wyskoczyłby z pociągu, jadącego do Rzymu i w biegu wskoczyłby do innego, zmierzającego z powrotem

do La Spezii. Nie, nie dałoby się złapać statku „Dolny Śląsk”, odpłynął już z jedną parą pasażerów kilka dni wcześniej...

Zegnajcie, śmierdziele!

Duch i Georgia obserwowali odpłynięcie „swojego” statku. Wiedzieli, kiedy ma odpłynąć. Odwiedził ich agent linii oceanicznej, pozostawił im klucz do kabiny. Zapłacił, co zrobić z ich bagażami. Duch napisał kartkę z adresem tescia i z prośbą, żeby skórzane walizy z zawartością zostały tam dostarczone. Nigdy do adresata nie dotarły, a było to w czasach, kiedy słowo „uczciwość” zawierało zaledwie osiemnaście procent tej śmieszności, którą jest nasycenie obecnie. No, tak, ale wówczas zmiana miejsca „mieszkania uważa” na była za nieuczciwość największą, coż za znaczenie mają jakieś tam głupie walizki Jana Ducha, w porównaniu ze strasznym, obrzydliwym postępkiem Jana Ducha, który zdradził kraj? Mógł wziąć na podróż tekturowe i wypełnić je makulaturą.

„Dolny Śląsk” oddalał się od kei majestatycznie, jak to tylko duże statki potrafią. Odpływało poprzednie życie Jana Ducha, ostatni pomost, łączący go z Polską, z językiem, z redakcją, z klubem literatów, ze Spatifem pełnym pijanych, chwycających się jak glony artystów, z polską wódką, ponoć najlepszą na świecie — zupełnie nieprawda — i ze wszystkimi planami i ambicjami Ducha, dojrzewającymi przez lata w warszawskich i łódzkich murach. Odjeżdżało to wszystko i Jan Duch, gdyby był bardziej sentymentalny, to by może i stracił obraz statku wcześniej, patrząc nań przez błą zasłonięte oko. Ale, mimo iż poeta, Jan Duch sentymentalny nie był, im dalej statek odpływał, tym wyraźniej przed oczami Ducha deflowowały twarze aparatczyków i bonzów, od których był w wykonywaniu swojego zawodu zależny. Jacyś redaktorzy z awansu społecznego, jacyś wydawcy przeniesieni wprost z PGR-ów do działów poezji, jacyś cenzorzy, gulagowcy swoje niewolnicze racje małożalnym akcentem, którzy przez trzy lata trzymali w areszcie pierwszy tomik poezji Jana Ducha... Całe to towarzyszywo, które jak szumowina na fali żołnierskiej krwi dopłynęło ze Wschodu, rozmnożyło się i zatruło życie w Polsce... Widział też zadowolone z siebie mordy o krzywych nosach, o czarnych wilgotnych oczach, z których wyzierała wieczna troska, wieczna bieda, wieczny żal i uległość najemnika, gotowego na wszystko...

— *Zegnajcie, śmierdziele* — powiedział Jan Duch, nie wiedząc, że właśnie tutaj, po tej stronie, śmierdziele ci znaleźli się już kilka lat wcześniej, i że tutaj spotka ich i doświadczy ich przebiegłości. Nawiązał! Myślał, że zajmą się wreszcie uczciwą pracą w swoim małym kraju — gdzieś tam. Ich też, jak Ducha i — każdą ludzką istotę, ciągnęło do krajów bogatych, cywilizowanych, doprowadzonych do jakiegoś tam perfekcji przez biały, Wiedeń, Rzym, Paryż, Monachium, Nowy Jork — uś, to są dobre miejsca! Tam można żyć! Tam kupić, sprzedać, targować, procentować! Raj na ziemi, i wszyscy znów razem, na uniwersytetach jako profesorowie (uczylili na wschodzie, mogą uczyć i na zachodzie), przy wydawnictwach jako doradcy do literatur słowiańskich (a kto się zna lepiej na literaturze niż były cenzor?), jako ekonomisci. Spotka ich na swojej drodze Jan

Duch, spotka, ale na razie jeszcze o tym nie wie.

Miałem okazję, nie tak dawno, spytać Ducha o przyczynę jego niechęci do tych ludzi, z których większość już nie żyje. Oto jego odpowiedź:

— *Do nikogo nie żywie niechęci. Każdy ma prawo żyć, jak mu się podoba. Jeśli ktoś według ciebie nie jest w porządku, odsuń się od niego. Zdarzają się szaleńcy, opanowani żądzą posiadania bogactw, władzy, żądzą kształtowania ludzkich opinii... Wiele rodzajów szaleństwa koegzystuje znakomicie na tej ziemi. Ja też mam swoje, piszę wiersze po angielsku. Nie wiem, czego ode mnie wymagasz. Owszem, dawniej byłem rozgorzcony, pewni ludzie przeszkadzali mi w rozwoju, tam w Polsce. No więc wyjechałem z Polski i problem przestał istnieć.*

Uznałem to za kiepski unik. Jan Duch słać temperament, stał się kunktatorem. Poszedł na kompromis z siłami, którym sporo zła zawdzięcza. Znam jego losy i wiem, kto był przyczyną jego początkowych kłesk na Zachodzie. Ale skoro nie wyraża chęci na „pełne otwarcie”, to jego sprawa. Dobrze, że zapomniał o trzyletnim areszcie jego pierwszej książki, spowodowanym źle przeprowadzoną rozmową z towarzyszką D., szefową dużego

warszawskiego wydawnictwa. Miał w jednym z wierszy obrazek czerwonego światełka na prawym skrzydle samolotu, znikającego w mgłę jak spadająca gwiazda. Towarzyszka D. domyśliła się nieuchronnie:

— *A coż wy tu, rozumiecie, sugerujecie? A to wy myślicie, że ja nie znam, co wy tu staracie się sugerować? A ja wam powiem i zapewnić mogę, że ta gwiazda wcale nie jest mala i nie zniknie w żadnej waszej chorej mgle. No, i coż wy na to?*

Jan Duch, zgodnie z prawdą swoich odczuć, zaproponował, żeby towarzyszka D. odwiedziła psychiatrę. Był to jego błąd. Nosił tomik po wszystkich wydawnictwach. W każdym był ktoś, zaprzyjaźniony z towarzyszką D., uprzedzony o „zwierzęcym an-ty-se-mi-tyz-mie młodego poety”. Jan Duch był spalony. Poszedł do katolików z PAX choć z religią nie miał nic wspólnego. Dopiero po '68 roku, kiedy towarzyszka D., wraz z całą czeredą swoich przyjaciół i przyjaciółki odleciała do ciepłych krajów, Duch mógł pokazać się w innych firmach.

Przypominam mu tamten okres, jego meczarnię — czuł się jak bezdomny pies, zaczął pić. Macha ręką:

— *Ach, co tam wspominać. Ten, Stalin... cwaniak, ale głupi. Nastąpił do baracko do Polski, żeby wziąć za mordę ten głupi naród. Udała się ta sztuczka, na jakiś czas. A wiesz? Towarzyszka D. oraz jej mąż, były szef UB na Warszawę w latach najgorszego stalinizmu, wcale nie wyjechali z Polski. Postali tylko swojego wypieczonego synka, którego od dziecka uczyli jednako dobrze rosyjskiego i angielskiego, do Ameryki. Sami są na zastużonej rencie. Namęczyli się przy budowaniu socjalizmu u Polaków. A synek teraz też w Polsce. Jako korespondent prasy amerykańskiej. Możesz go widzieć często w telewizorze, na konferencjach prasowych rzecznika rządu.*

— *Nu ładno — powiedziałem z uznaniem. — Tak trzeba dbać o rodzinę.*

— *Ale najlepsze to — ciągnął Duch — że ta stalinówka, która dawniej współpracowała między innymi ciężkiej pracy, gdy wracał nad ranem do domu, zmęczony przesłuchaniami wrogów klasowych, ta cebula, kiedy utworzyła się „Solidarność”, natychmiast stała się jedną z największych aktywistek! Znajomi opowiadają, że biegła po Warszawie, przepasana biało-czerwoną wstęgą z napisem SOLIDARNOSC, ona, wykonująca moralne wyroki śmierci na literatach jeszcze tak niedawno!*

— *Zwierzęcy obyczaj ciekawy jest nadzwyczaj — zacytowałem z powojennej piosenki. — Ie miałem aż takich, jak Jan Duch, trudności z debiutem. Mój pierwszy tom opowiadań, „Suche trawy”, trzymano w cenzurze łódzkiej, kierowanej przez niejaką L., tylko dwa lata. Okrojono go wprawdzie z 250 stron do 80, ale co to ma za znaczenie? Nie, nic tam nie było trefnego politycznie, jak łatwo sprawdzić. Po prostu „oni” uważali, że mają prawo „nas” wychowywać, pouczać, stawiać do kąta, popychać gdzie tylko się podoba.*

Innym razem „Współczesność” chciała wydrukować moje opowiadanie pt. „Cygan”, dużo później publikowane w kilku antologiach zagranicznych. Cenzor na ulicy Mysiej w Warszawie, który dożywał swoich lat u brata w Kanadzie, tłumaczył mi:

— *Proszę was, gdybyście przynieśli tę rzecz miesiąc wcześniej, to by na pewno poszła. Jak przynieście za miesiąc, to też może pójdzie. Ale teraz, dziś, to ona na pewno nie pójdzie. Cóż ja mogę poradzić?*

Spotkałem tego handlarza śledzi w Toronto. No, ale powiedzcie sami: jak można dać w mordę facetowi, który ma ponad siedemdziesiąt lat? Nawet splunąć nie było warto, kiedy wypowiedział się z głębi swojego mitu:

— *Pamięta pan, jak zeszły razem walczyli, żeby to jakoś w kupie utrzymać? No, i nie udało się. Ale nie wszystko stracone...*

Świat jest pełen wariatów, i nie na to nie poradźmy. W roku 1966 wielki wydawca francuski Gallimard podpisał z mną umowę na wydanie przekładu „Dancingu w kwatery Hitlera”. Książka miała wyjść za rok. Ale kilka miesięcy potem ukazał się w Polsce „Raport z Monachium”, po którym okrzyczano mnie antysemitą. Może dlatego, że potraktowałem ostro pewnych Niemców, z którymi „nasi” kołali się za pieniądze. Gallimard wstrzymał druk książki. Bowiem w '68 roku już „doradców”, którzy donieśli mu, że nie jestem koszer. Pisał mi o tym mój tłumacz. Dopiero w końcu 1980 roku, będąc przypadkowo w Paryżu, zobaczyłem swoją książkę na wystawie. Została wydana tylko dlatego, że Gallimard dowiedział się od kogoś, że umarłem, Martwy niegroźny. Trup nie może być antysemitą. Możliwe, że ci „doradcy” od literatur słowiańskich umarli. Ale ja żyję i od ośmiu lat czekam na honorarium od Gallimarda, od którego, mimo listów i telefonów, nie dostałem dotąd ani grosza. Ci, którzy narzekają na długi cykl produkcyjny książki w Polsce, niech wezmą pod uwagę rekord ustanowiony w wolnym, zachodnim kraju: czternaście lat. Metody działania tych ludzi są wszędzie takie same.

— *Wracamy do Jana Ducha, stojącego na kei, od której majestatycznie oddalał się „Dolny Śląsk”. Tylko jedna para pasażerów wraca nim do kraju, i to też nie na dłużej.*

Zgłosników zawieszonych na palmach spada na ulicę zanieczyszczenie w postaci piosenki „Que sera, que sera”, śpiewanej przez niewiedomego, nazwiskiem Feliciano. Duch nie znosi tej melodii, ponieważ jest pretensjonalną przerobką zabawnego przeboju o podobnym tytule: „Que sera, sera”, jedna litera różnicy, a już wszystko nudne jak flaki. Nie można się ruszyć w tej La Spezii, żeby nie słyszeć zakatarzonego ślepa. Głód potrafi doprowadzić myśli człowieka do absurdu: Jan Duch mógłby zastrzelić tego nędznego śpiewaka, tak samo, jak wiele lat później jakiś wariat w Nowym Jorku zastrzelił innego idyotycznego wyjąca, który ponoć walczył o pokój, nie zaniebując wykupywania apartamentów na Park Avenue, żeby potem sprzedawać je z zyskiem — ten idol biednej młodzieży miał w wieku lat czterdziestu majątek przewyższający trzysta milionów dolarów. Ci kłozetowcy, obdarzeni przez tak „waną cywilizację elektrycznością i elektroniką, stają się już nie do zniesienia. Należy z nimi walczyć tak samo, jak walczy się z zanieczyszczeniem rzek i powietrza. Duch nie godził się z całą megafonem na słupie ani puszczonego na cały regulator radia w oknie mieszkania, nawet gdyby to źródła hałasu miały emitować przez całą dobę non stop jego wiersze.

I oto jest już na Via Gallia, przed budynkiem, w którym mieszka Witold Zahorski, nazwany w latach 60. w polskiej prasie, telewizji i radio „naganiaczem”. Owszem, Zahorski, będąc pracownikiem „Polish-American Relief Committee” — ma na celu spowodować przyjęcie azylu politycznego przez jak największą liczbę obywateli polskich, ale nikogo nie „nagania”, nie szantażuje, nie przekupuje — jak to nieraz pokazywali nam w filmach. Mnie nie przekupił, sam do niego przyszedłem. Jana Ducha też nie przekupił, Duch sam do niego przyszedł. Kiedyś zmontowano tak zwaną demaskatorską audycję w polskiej TV, gdzie pokazano dokumenty, dowodzące istnienia tej azylowej afery i ujawniano metody jej funkcjonowania. Zahorski powiedział mi ze śmiechem:

— *Wie pan, nigdy jeszcze nie miałem tylu klientów, co po tej audycji. Młodzi ludzie waliłi całymimi grupami uproś do mojego mieszkania. Pytam, skąd wzięli mój adres, taki dokładny. Mówią, że polska telewizja podała, więc szybko sobie zapisała, no i teraz chodzą z wycieczki...*

Oto, jak się czasami mści na sprawie skrupulatności dziennikarza, który sprawy broni. Chłopińca chciał pokazać, że zdokumentował demaskatorski materiał, że wyszpiegował adres naganiacza, tak jakby naganiacz poruszał się po Rzymie w asyście uzbrojonych tajników z CIA, i jakby mieszkał w przeciwatomowym bunkrze. Ach, jak to strasznie trudno dowiedzieć się, gdzie taki przestępca — naganiacz mieszka! A przecież wystarczy wziąć do ręki książkę telefoniczną, potem zadzwonić do drzwi. Otworzy pani Zahorska, albo mąż, albo któryś z dwóch małych synków... Ani Duch, ani ja, nie widzieliśmy żadnej obstawy, żadnych trudności w dotarciu do naganiacza, ani też śladów zdegenerowania na jego twarzy.

To wszystko działo się tak dawno... Po latach Zahorski spotkał się z mną w Kanadzie i powiedział:

— *Wie pan, teraz już za późno, ale żałuję... Powiniennem być wyjechać z Europy. Kiedy pomyśle, że moi synowie mogliby służyć w armii włoskiej, pan rozumie...*

Stary żołnierz nie miał w zbyt wielkiej estymie włoskiej armii, i słusznie. Ale oto Jan Duch zbliża się do jego drzwi na drugim piętrze, podnosi rękę do dzwonka. Georgia, dysząc nieco od gorąca, powiada z przekąsem:

— *No, ciekawe, co to za ptak. Może tutaj wreszcie zjawiają się ludzie z „Wolnej Europy”...*

— *Proszę was, gdybyście przynieśli tę rzecz miesiąc wcześniej, to by na pewno poszła. Jak przynieście za miesiąc, to też może pójdzie. Ale teraz, dziś, to ona na pewno nie pójdzie. Cóż ja mogę poradzić?*

Spotkałem tego handlarza śledzi w Toronto. No, ale powiedzcie sami: jak można dać w mordę facetowi, który ma ponad siedemdziesiąt lat? Nawet splunąć nie było warto, kiedy wypowiedział się z głębi swojego mitu:

— *Pamięta pan, jak zeszły razem walczyli, żeby to jakoś w kupie utrzymać? No, i nie udało się. Ale nie wszystko stracone...*

Świat jest pełen wariatów, i nie na to nie poradźmy. W roku 1966 wielki wydawca francuski Gallimard podpisał z mną umowę na wydanie przekładu „Dancingu w kwatery Hitlera”. Książka miała wyjść za rok. Ale kilka miesięcy potem ukazał się w Polsce „Raport z Monachium”, po którym okrzyczano mnie antysemitą. Może dlatego, że potraktowałem ostro pewnych Niemców, z którymi „nasi” kołali się za pieniądze. Gallimard wstrzymał druk książki. Bowiem w '68 roku już „doradców”, którzy donieśli mu, że nie jestem koszer. Pisał mi o tym mój tłumacz. Dopiero w końcu 1980 roku, będąc przypadkowo w Paryżu, zobaczyłem swoją książkę na wystawie. Została wydana tylko dlatego, że Gallimard dowiedział się od kogoś, że umarłem, Martwy niegroźny. Trup nie może być antysemitą. Możliwe, że ci „doradcy” od literatur słowiańskich umarli. Ale ja żyję i od ośmiu lat czekam na honorarium od Gallimarda, od którego, mimo listów i telefonów, nie dostałem dotąd ani grosza. Ci, którzy narzekają na długi cykl produkcyjny książki w Polsce, niech wezmą pod uwagę rekord ustanowiony w wolnym, zachodnim kraju: czternaście lat. Metody działania tych ludzi są wszędzie takie same.

— *Wracamy do Jana Ducha, stojącego na kei, od której majestatycznie oddalał się „Dolny Śląsk”. Tylko jedna para pasażerów wraca nim do kraju, i to też nie na dłużej.*

Zgłosników zawieszonych na pal-

mach spada na ulicę zanieczyszczenie w postaci piosenki „Que sera, que sera”, śpiewanej przez niewiedomego, nazwiskiem Feliciano. Duch nie znosi tej melodii, ponieważ jest pretensjonalną przerobką zabawnego przeboju o podobnym tytule: „Que sera, sera”, jedna litera różnicy, a już wszystko nudne jak flaki. Nie można się ruszyć w tej La Spezii, żeby nie słyszeć zakatarzonego ślepa. Głód potrafi doprowadzić myśli człowieka do absurdu: Jan Duch mógłby zastrzelić tego nędznego śpiewaka, tak samo, jak wiele lat później jakiś wariat w Nowym Jorku zastrzelił innego idyotycznego wyjąca, który ponoć walczył o pokój, nie zaniebując wykupywania apartamentów na Park Avenue, żeby potem sprzedawać je z zyskiem — ten idol biednej młodzieży miał w wieku lat czterdziestu majątek przewyższający trzysta milionów dolarów. Ci kłozetowcy, obdarzeni przez tak „waną cywilizację elektrycznością i elektroniką, stają się już nie do zniesienia. Należy z nimi walczyć tak samo, jak walczy się z zanieczyszczeniem rzek i powietrza. Duch nie godził się z całą megafonem na słupie ani puszczonego na cały regulator radia w oknie mieszkania, nawet gdyby to źródła hałasu miały emitować przez całą dobę non stop jego wiersze.

I oto jest już na Via Gallia, przed budynkiem, w którym mieszka Witold Zahorski, nazwany w latach 60. w polskiej prasie, telewizji i radio „naganiaczem”. Owszem, Zahorski, będąc pracownikiem „Polish-American Relief Committee” — ma na celu spowodować przyjęcie azylu politycznego przez jak największą liczbę obywateli polskich, ale nikogo nie „nagania”, nie szantażuje, nie przekupuje — jak to nieraz pokazywali nam w filmach. Mnie nie przekupił, sam do niego przyszedłem. Jana Ducha też nie przekupił, Duch sam do niego przyszedł. Kiedyś zmontowano tak zwaną demaskatorską audycję w polskiej TV, gdzie pokazano dokumenty, dowodzące istnienia tej azylowej afery i ujawniano metody jej funkcjonowania. Zahorski powiedział mi ze śmiechem:

— *Wie pan, nigdy jeszcze nie miałem tylu klientów, co po tej audycji. Młodzi ludzie waliłi całymimi grupami uproś do mojego mieszkania. Pytam, skąd wzięli mój adres, taki dokładny. Mówią, że polska telewizja podała, więc szybko sobie zapisała, no i teraz chodzą z wycieczki...*

Oto, jak się czasami mści na sprawie skrupulatności dziennikarza, który sprawy broni. Chłopińca chciał pokazać, że zdokumentował demaskatorski materiał, że wyszpiegował adres naganiacza, tak jakby naganiacz poruszał się po Rzymie w asyście uzbrojonych tajników z CIA, i jakby mieszkał w przeciwatomowym bunkrze. Ach, jak to strasznie trudno dowiedzieć się, gdzie taki przestępca — naganiacz mieszka! A przecież wystarczy wziąć do ręki książkę telefoniczną, potem zadzwonić do drzwi. Otworzy pani Zahorska, albo mąż, albo któryś z dwóch małych synków... Ani Duch, ani ja, nie widzieliśmy żadnej obstawy, żadnych trudności w dotarciu do naganiacza, ani też śladów zdegenerowania na jego twarzy.

To wszystko działo się tak dawno... Po latach Zahorski spotkał się z mną w Kanadzie i powiedział:

— *Wie pan, teraz już za późno, ale żałuję... Powiniennem być wyjechać z Europy. Kiedy pomyśle, że moi synowie mogliby służyć w armii włoskiej, pan rozumie...*

Stary żołnierz nie miał w zbyt wielkiej estymie włoskiej armii, i słusznie. Ale oto Jan Duch zbliża się do jego drzwi na drugim piętrze, podnosi rękę do dzwonka. Georgia, dysząc nieco od gorąca, powiada z przekąsem:

— *No, ciekawe, co to za ptak. Może tutaj wreszcie zjawiają się ludzie z „Wolnej Europy”...*



Foto: Archibium

„Azyl polityczny” — nowa książka Andrzeja Brychta

Paweł Pitera zadebiutował filmem „Sny i marzenia” — nowela „Sen o Violetcie”. Ogromną popularnością wśród widzów cieszył się niedawno emitowany serial pt. „Na kłopoty — Bednarski”. Podobno w porównaniu z „Niewolnicą Isaura” tylko 7 proc. mniej Polaków obejrzało ten film. Obecnie reżyser przystąpił do udźwiękowania kolejnego swojego filmu „Powrót do Polski” według scenariusza Krzysztofa Magowskiego.

— Pana filmy są świadectwem ciągłych poszukiwań. Czy bogactwo zainteresowań pomaga panu w pracy twórczej?

— Proszę pani, jestem z zawodu reżyserem filmowym, a nie wielkim artystą. Staram się wykonać swój zawód najlepiej jak

czaj pokazywane były na wzór „żywych pomników”.

— Czy to znaczy, że I. Paderewski będzie obrazowany w pana filmie?

— Może nie tyle obrazowany, ile będzie pokazany bardzo współcześnie, jako człowiek „w pełni”. Obok dostojności i uporu ujawnione zostaną z lekka nutką ironii słabości mistrza. Jednocześnie jego obraz przepojony będzie ciepłem. Psychologiczne bogactwo Paderewskiego wydobyl Krzysztof Jasiński, niezwykle podobny fizycznie do bohatera, którego kreuje. Wokół Paderewskiego toczy się Powstanie Wielkopolskie, podczas gdy on sam próbuje chwycić sznurki wielkiej polityki. Taki sposób zaprezentowania sylwetki „wielkie-

rzeń i wywołanie wniosków, rezerwa do „zainstalowanej sytuacji”.

Ponieważ nie istnieje historia bez drobnych, śmiesznych zdarzeń, dlatego w ten film wpleciony został w naturalny sposób dowcip sytuacyjny, który spajający „pomnikowość i patetyczność”. Jestem przekonany, że o historii nie można mówić tylko w nucie poważnej lub tylko w nucie groteskowej. Wy- padkami tych dwóch zgola odmiennych opowieści daje prawdziwy obraz danego czasu.

— Jaką oprawę muzyczną zastępuje pan w filmie?

— Postanowiłem wykorzystać muzykę Paderewskiego, głównie „Nokturn” i kompozycje Chopina.

— Podobno w czasie realizacji

„Honoratka” zajmuje lewą część parteru dziewiętnastowiecznej kamienicy przy ulicy Moniuszki, którą dowcipnie przechodzili na ulicę Maniufiki. Nie opodal naroża Piotrkowskiej napuszonej łódzka secesja. Nad nią to cmokają z zachwytem konserwy architektury, ale zasiedziały mieszkawiec miasta secesji nie zauważa. Zwykły łódzianin przemierza Piotrkowską od placu Wolności do alei Mickiewicza i od Centralu do pomnika Tadeusza Kościuszki bacząc pilnie pod nogi, aby nie potknąć się o skruszałe płyty chodnika. Związany, stłamszony codziennymi troskami o swoje sprawy nie domyśla się nawet, że przemyka ulicą, o której znawcy mówią, że stanowi secesyjny klejnotek o najwyższym w Europie zagęszczeniu tego stylu.

wejściowych, rozgrywały się często zabawne sceny. Jak igły w stogu siana wypadają czasem poszukiwacz wierzchniego okrycia. Nikomu jednakże nie to nie zginęło. Gdy zdarzyło się wskutek rozrządzenia lub podobieństwa zabrać obce nakrycie głowy, zwykle nazajutrz następował zwrot. Zguba wracała do właściciela.

Stary ekspres, w którym zaparzano chyba najlepszą w tym mieście kawę, stojący u skraju bufetu przypominał miniaturową latarnię morską z Kołobrzegu. Za balustradką u jego wierzchołka doskonale mieściły się imbrzycki z esencją herbaty. Na niklowanej powierzchni o kształcie walca wyróżniał się misternie rzeźbiony znak firmowy, ozdobiony niebieską i czerwoną emalią, ze złoczymi literami. Herbowa tarcza firmy produkującej ekspresy do zaparzania kawy sp. „d pięćdziesięciu, a może więcej lat: „Polekspress Kubs i Gogołkiewicz — Poznań”. Kiedyś przedsiębiorcy bardzo dbali o znak firmowy i związane z nim dobre imię, gwarantujące wysokie walory produktu. Rozpowszechniona dziś anonimowość sprzyja partactwu. Jak w tym starym rupieciu można było zaparzać znakomitą kawę pozostało dla mnie na zawsze nieodgadnioną tajemnicą.

Najchętniej siadałem w rogu na kanapce, tuż obok czarnej kolumnki, która przyciągała in-

teresów, wydała mi się bardzo stara, jak postać z innej, zamierzonej epoki. Podeszła do mojego stolika.

— Pan, daj powróżyć. Powiem cię czeka. Pan — naklaniała — powiem. Coś w tobie jest a do takich Igną Cyganie.

Nie wykiłem jej, ani nie odtrąciłem.

— Pani Kwiekowa (nikt tu nie zwracał się do niej per pani, mówiono, jak zdołałem posłyszeć gdy nagabywała obecnych w kawiarni, naklaniając do wróżby z kart, często nazbyt nachalnie, po prostu Kwiekowa) znam zdołałem z przeszłości, teraźniejszość również nie jest mi obca, a przyszłości nie jestem ciekaw. Zresztą sam potrafię wróżyc. Mogę pani postawić kabale — powiedziałem z uśmiechem. Było w tym stwierdzeniu nieco przesady. Dawno już zapomniałem o wróżbiarskich kanonach i układach kart.

Nie była wobec mnie natarczywa. Przypatrywała mi się poważnie jeszcze przez chwilę.

— Pan, daj powróżyć. Powiem prawdę. Nie pozwalajesz.

Spojrzałem na nią rozbawiony. Prawdę, której poszukiwałem przez wiele lat, miałem teraz w zasięgu ręki. Cygańska prawda.

„Odbrazowany Paderewski”

— rozmowa z PAWŁEM PITERĄ, reżyserem filmowym.



go Polaka” odbiega od powszechnych wyobrażeń. Nieustający ruch kamery, ruch inscenizacyjny, ruch aktora czy nawet pejzażu, całe to rozdrganie owa prywatność Paderewskiego szczególnie współczesna.

— Dlaczego panu tak bardzo zależy na utrzymaniu tej współczesności?

— To jest konieczność. Obecny widz żałany współczesną formą filmową, myślę o narastającej fali filmów oglądanych na wideo, nie zechce przyjąć dawnej konwencji kina. My Polacy jesteśmy bardzo konserwatywni w swych poglądach, szczególnie starsze pokolenie, które do wszelkich spraw patriotycznych odnosi się z wielką atencją. Młody widz wobec przekazów w starej konwencji może pozostać całkiem obojętny, dlatego musimy zaproponować nowoczesną formę kina salono-pomnikowego. Chciałbym, aby „Powrót do Polski” spełnił te oczekiwania.

— Jaki problem będzie najważniejszy w filmie?

— Jest to problem, który ujawnia się wtedy, gdy spadająca z okna doniczka staje się historią. Przyjazd Paderewskiego do Polski bardzo wręcz staje wykorzystany przez intelektualistów, zawodowych polityków z W. Korciańskim na czele. Drobne wydarzenia w konsekwencji prowadzą do wielkiej sprawy — uzyskania niepodległości.

Drugi bardzo ważny wątek, to ukazanie sposobu widzenia rzeczywistości państwowej przez samego Paderewskiego. Jego wielkie zdziwienie, próba zrozumienia wyda-

„Powrót do Polski” odkrył pan nową metodę filmowania?

— Tak, nazywa się „uzyskanie przez zanęcanie”.

— Co to znaczy?

— Przychodzi aktor. Wielkiego wzrostu. Ma zagrać ziemianina. We fraku. Okazuje się, że w całej wytwórni nie ma dla niego fraka. Na plan zdjęciowy przychodzi tak ubrany, jakby właśnie szedł do koni... Nie mogę się zgodzić na taki strój. Proponuję, aby odział owego ziemianina w czarny — kostium podkreślający patriotyzm ziemianin. Przecież doskonale wiadomo, że ta klasa społeczna miała genetycznie zakodowane obowiązujące formy życia salonowego. Po piętnastu minutach, mój aktor wystrójony był we wspaniały frak!

— Kiedy przewiduje pan zakończenie pracy nad filmem?

— W połowie sierpnia przystąpię do zgrania materiałów dźwiękowych.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Reż. Paweł Pitera; scen. Krzysztof Magowski, zdj. Janusz Pawłowski; scenogr. Rafał Waltenberger; kier. prod. Krzysztof Kieszkowski; montaż Katarzyna Rudnik. Wyk. Krzysztof Jasiński, Marta Lipińska, Zdzisław Wardejn, Igor Przegrodzki, Ferdynand Matysik.

tylko potrafię. Gotowy jestem zrealizować każdy temat, który pobudzi moją wyobraźnię i który nasunie mi jakieś skojarzenia. Zdobytą wiedzę musi mi pomóc w przełożeniu dzieła literackiego na język filmowej wypowiedzi.

— Co zaprawiło pana w atmosferze „Powrotu do Polski”?

— Zaintrygowało mnie spojrzenie na sylwetkę Ignacego Paderewskiego, dalekie od stereotypu. Lata dwudzieste w naszym filmie znajdowały nieco dziwaczne odbicie, a sylwetki z tamtych czasów zazwy-

Honoratka

RYSZARD KLIMCZAK

ki rodzajowe z okresu Księstwa Warszawskiego. Ponoć nazwa „Honoratka” z tego też okresu się wywodzi. Jej poprzedni właściciele posiadali utrzymaną w stylu Księstwa kawiarenkę w Kazimierzu nad Wisłą. Przybył do Łodzi przynosząc zarazem tu, do „Honoratki” kazimierzowski klimat. I tak zostało.

Pośrodku sufitu zwisa kryształowy żyrandol. Szlif kryształu rozszepcza tysiącami tęcz blask żarówek o kształcie świec. Z powodzeniem mogłyby oświetlać salony pałaców, widownie teatru lub kościelne nawy. W okresie Bożego Narodzenia bywał zwykle umajony jemiola, z której — jak głosi pogański przekaz — na każdego kto pod nią zasiadł spływają fluidy szczęścia. Na bocznej ścianie wisiał bogato rzeźbiony drewniany zegar z kukulką. Motywy fauny i flory stanowiły główny element rzeźby. Ten zegar załatywał staroświeckość, był w istocie dziełem rzeźbiarsko-zegarmistrzowskiego kunsztu.

W końcu, odgradzonym drewnianym bufetem od pomieszczenia dla gości spełniała honory domu, trudno inaczej określić jej styl, pani Stefania, filigranowa blondynka ze ślami przemijającej urody. Uśmiechem witała stałych bywalców, swoje sympatie, dla których — mimo niekiedy nieprawdopodobnego wręcz załoczenia — zawsze znajdowała miejsce przy stoliku. Antypatnie odprawiała niechętnym gestem. Wszyscy stali bywalcy znali się z widzenia i czuli swoje. Te część kawiarenki zwaną srebrną folią służył powleczony złotem sklepieniem — podręczny składzik, a zarazem zmywalnia naczyń. Panią Stefanię zastępowała za bufetem Danusia lub dziewczęta, wymienające się o okresowo studentki, które dorabiały do skromnego stypendium podawaniem kawy.

Posiadałem tu status stałego bywalca i miałem wrażenie, że pani Stefania darzy mnie odrobiną sympatii. Zawsze znajdowała dla mnie miejsce przy stoliku lub dostawiała maleńki stolczek z zapieczką.

Salka, bufet, zmywalnia, goście spijający kawę, żurawinę lub zającający w sezonie truskawki albo poziomki w śmietanie, siedzący na taboretach i kanapkach pokrytych czerwonym skajem wraz ze sprawną obsługą komponowali się w harmonijną całość. Prawdziwie niepowtarzalny urok miała ta kawiarenka.

Przy wieszaku umieszczonym w rogu salki, tuż przy drzwiach

tymnością. Stał na niej kandelabr otulony tulowym zdobionym falbankami abażurem. Stosowniejszym miejscem byłoby dla niego buduar niż kawiarnia. Lubilem przytulony szmer, to ułne buczenie, jakie powodują prowadzone półgłosem rozmowy. Wpadałem tu często, aby wypić małą czarną i pobiec dalej. Umawiałem się tu z kolegami i przyjaciółmi na plotki i pogwarłki. Spotykałem Kazika Pieniążki, który także lubił „Honoratkę” i zaprzyjaźniony był z jej właścicielami od lat.

Wieczorem poprzedzającym jego niespodziewaną śmierć zatelefonował ze szpitala na Stokach. Nie wiedziałem, że przebywa tam od kilku już dni. Nie zdążyłem go odwiedzić. Rankiem nastąpił zgon. Czy przeżuwał swój koniec i tą telefoniczną rozmową zęgał się ze mną, bo przecież nie rozmawialiśmy o jego dolegliwościach, tego się już nigdy nie dowiem.

Kazik był uroczym gawędziarzem facycjonistą, znał mnóstwo anegdot o wielu interesujących ludziach, o których potrafił snuć nie kończące się opowieści. Był dobrym malarzem, ponoć też jednym z pierwszych pilotów na dwupłatowych aeroplanach, przed drugą wojną światową prowadził dział graficzny w redakcji znanego pisma dla młodzieży szkolnej — „Płomyk” — wydawanego przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Dwa niewielkie olejne pejzaże przypominają mi codziennie Kazika. Jeden rozbarwiony kolorowym jesieni z Kazimierza nad Wisłą, tętniący radością życia i pogodą ducha, tak charakterystyczną dla jego osobowości, człowieka, który spijał kawę zaprzyjaźnionemu pisarce — Bernard, Roman, Jerzy, znajomi reżyserzy, pracownicy nauki wyższych uczelni, dziennikarze, aktorzy. W pewnych porach dnia zmieniał się przekrój zawodowy bywalców. Pojawiali się adwokaci, lekarze, bankowcy. Ludzie przeróżnych profesji.

Wpadali do „Honoratki” także inni znajomi plastycy — „koniarz” — Tadeusz, niespokojny poszukiwacz środków wyrazu — Irek, spijał kawę zaprzyjaźnionemu pisarce — Bernard, Roman, Jerzy, znajomi reżyserzy, pracownicy nauki wyższych uczelni, dziennikarze, aktorzy. W pewnych porach dnia zmieniał się przekrój zawodowy bywalców. Pojawiali się adwokaci, lekarze, bankowcy. Ludzie przeróżnych profesji.

Tego dnia nie było tłoczno. Usiadłem na kanapce przy trójramiennym kandelabrze. Dzisiejsi goście o upodobaniach zbliżonych do moich upodobań wypijali kawę i opuszczali „Honoratkę”. Do kawiarni weszła Cyganka. Gdy ujrzałem ją po raz pier-

Poczęstowałem Kwiekową papierosem i wcisnąłem do ręki piątkę. Chuchnęła na monetę. Na szczęście. Zamknęła dłoń i dłużej nie nagabywała. Zawsze potem przysiadła do mnie choć na chwilę, zagadywała o zwykłe codzienne sprawy i niady więcej nie proponowała wróżby. Czasem dawałem jej piątkę, a czasem nie. Myślałem dziś o niej nie wiedząc dlaczego. Raz, jakby od niechcenia, powiedziała, że czeka mnie daleka podróż i że powiniennem strzec się przyjaciół, którzy udają przyjaciół. Nic w tym nie było niezwykłego. Banał nie wymagający kabalistycznych przywidzeń. Potraktowałem jej słowa, jak radę starej kobiety, nie jak złą wróżbę. Po chwili dodała:

— Czas się pożegnać. — Bezosobowo. Nie bardzo było wiadomo kto kogo ma żegnać. Kto zostaje, a kto pójdzie dalej.

Wkrótce przestała pojawiać się w „Honoratce”. Dowiedziałem się, że zmarła. Była naprawdę bardzo stara. Przez pewien czas brakowało mi jej postaci. Wkomponowałem ją bowiem w kolorzy kawiarni. Stara Cyganka — barwny zabytek, relikw. Już nigdy nie przyjdzie tutaj, nie przysiądzie do stolika, nie poprosi o papierosa. Zał. Nachodzi mnie zawsze, gdy coś utracę, coś osobistego, chociaż to coś niekoniecznie musi być mi drogie lub do czego jestem szczególnie przywiązany. Szkoda. Mówiono, że pochodziła z cygańskiego królewskiego rodu.

Dopijałem kawę.

Weszła dziewczyna. Usiadła naprzeciw. Była bardzo ładna. Patrzyłem na nią urzeczony. Z kawiarni wyszliśmy razem. Gdy po paru latach odwiedziłem „Honoratkę”, sam — jak dawniej, za bufetem nie było już pani Stefani, zmieniło się umebliowanie, przy stolikach zasiadali inni, zupełnie mi nie znani bywalcy. Nie potrafiłem się wkomponować w nowe.

Nie ma już dawnej „Honoratki”.

1985 rok.

A może do kina?



Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

► To film, który ma uczyć dzieci muzyki — tak mówi Jim Henson (twórca Muppetów) o swoim nowym serialu pt. „Duch z Faffner Hall” (The Ghost of Faffner Hall), realizowanym przy udziale brytyjskiej telewizji. Formuła nowego serialu Hensona bliska jest sławnej niegdyś „Ulicy Sezamowej”.

► Ryszard Grygiel, dyrektor Przedsiębiorstwa Dystrybucji Filmów poinformował, że trwają negocjacje w sprawie zakupu kolejnych filmów z tzw. pogranicza. Po „Betty”, „Billis” i „Wielkim żarcie” mają być zakupione filmy takie jak: „Emmanuelle” i „Kochanek Lady Chatterley” reż. Just Jaekcin. „Pierwsze pożądanie”, reż. David Hamilton. „Owoce namietności”, reż. Shirui Terayama. „Imperium zmysłów” reż. Nagisa Oshima i „Ostatnia kobieta”, reż. Marco Ferreri.

► Impresariat Polskiego Radia i Telewizji działający od 4 lat, to placówka zajmująca się m.in. promowaniem polskiej muzyki za granicą, organizowaniem prestiżowych imprez w kraju (m.in. festiwalu w Łańcucie, czy ostatnio — Festiwalu

Muzyki Krzysztofa Pendereckiego). Prawie cały swój dochód — ok. 300-400 tys. dol. rocznie — przeznaczają na kupno filmów dla telewizji. Nie licząc zakupów z krajów socjalistycznych Agencja kupuje rocznie ok. 1800 godzin filmów, wydając na to ok. 1 mln 200 tys. dolarów, które od 5 lat pochodzą wyłącznie z pieniędzy zarobionych przez telewizję (Impresariat wchodzi w skład Agencji „Poltel”), nie korzystającej w tej dziedzinie z dotacji państwa. Telewizyjne filmy kupuje się bez kłopotów, za stosunkowo niską cenę. Bardziej skomplikowana jest sprawa z filmami dla kin, które telewizja chce pokazać. Często właściciel licencji każe czekać 5 lat na emisję w TV, trzeba też uzyskać rezygnację z rozpowszechniania filmu w kinach przez PDP. Za prawo do natchniętego pokazania filmu kinowego w telewizji właściciele licencji żądają sum od 30 do 50-krotnie wyższych.

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

CO ONA ROBI?

Stanisław Woźniak z Łasku nadesłał nam lojalnie odpis listu, jaki skierował do przewodniczącego Rady Państwa PRL — Wojciecha Jaruzelskiego, informując jednocześnie, że list ten traktuje jako skargę.

Oto treść listu:
„Po wycofaniu ze szkół średnich podręcznika „Przysposobienie do życia w rodzinie” pod naciskiem opinii społecznej, rodzin katolickich, nauczycieli daje się zauważyć zlekceważenie opinii przez niektórych dziennikarzy. Zaleca się w prasie techniki seksualne, obrzydliwe opisy, itp. Dwoje ludzi sprowadza się do świata zwierząt. Walczy się z czystą miłością, zaleca się wolną miłość. Komu zależy na zepsuciu moralnym naszej młodzieży. Czy to ma być tzw. wychowanie socjalistyczne? Jako ojciec dwojga dzieci żądam ukarania red. Mirosława Sarbińskiego z redakcji „Odgłosów” za artykuł „Życie intymne uczniów”. Artykuł w całości przesyłam oraz drugi art. o „skrobaniach”. (Piękna polszczyzna prawda).

Zostawmy życie intymne ludziom. Całe pokolenia wychowywały się bez tych artykułów, bez tzw. jałowych doradców i wychowawców zostali w moralności chrześcijańskiej. Ci doradcy są fundamentem rozbita rodzin, służą, doradzają, ile to można zdobywać kobiet meżatek wolną miłością. Traktować osoby jak rozżalone zwierzę pragnące zaspokoić popęd seksualny.
A może tak pani redaktor czyni, opisując metody?
Żądam odpowiedzi o zajętych stanowisku zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Pismo to należy traktować jako skargę.
Przysłał też kartkę pocztową adresowaną do Mirosława Sarbińskiego. Oto w pełnym brzmieniu treść tej kartki:

„Nawiązując do rysunku techniki seksualnej w pani art. „Odgłosy”, uważać należy, że pani stosuje tę technikę.
Jestem ciekaw czy swym dzieciom (o ile są) przekazuje pani w praktyce, co pani opisuje. Wstyd i hańba.
To tylko żydostwu zależy na zepsuciu moralnym młodzieży polskiej”.

Przy okazji pragnę poznać Czytelników z listem Konstantego Wróblewskiego z Łodzi, który również wyraża swoje oburzenie. Na wstępie autor traktuje o sprawach języka polskiego, i dopiero w drugiej części listu protestuje przeciw poruszeniu pewnych tematów, które niektórzy uważają za nietykalne.

„Na początek nawiązuję swoje uwagi do „Odgłosów” z 16 bm. do artykułu Włodzimierza Kupisza. Często słyszałem wygłaszane w telewizji przez rzecznika prasowego krytyczne uwagi pod adresem ekstremistów z byle „Solidarności”, ale nie zrucano ich jako ekstremistów (?) do rzek jak to nadmienili autor o naszych cięskach. Autor miał pewnie na myśli — ekstremisty! Jednocześnie przynajmniej szczerze: nie mam pojęcia co znaczy wyrażenie — „turpizm”. Tak to brwa, gdy się popisujemy obcymi wyrażeniami.

Prof. S. Skwarczyńska nie byłaby zadowolona, czytając artykuł dr W. Orlowski o wyrażeniu: „W każdym bądź razie” — zamiast: „w każdym razie”.

Następnie biorę pod uwagę „Odgłosy” z 9 bm. opisując się łacina. Aktualnie unikalny obiekt to „dziewczyny i chłopaki z naszej budy”, czyli III LO, które ukończyłem w 1928 r. „Fajna” szkoła, „fajna” młodzież — razi mnie tym obrzydliwym niemieckim żargonem — fajny. Właściwie przez red. Andrzeja Karolczaka. Już kiedyś zwracałem na to uwagę. Nie pomogło! Uwaga uderza „jak groch o ścianę”. W tym III LO (przed wojną Gimnazjum Miejskie) w wypracowaniu z polskiego otrzymałbym „dwójkę”, gdybym użył „fajny”.

Artykuły pisane są ciekawie, lekko, stylowo, ale w kulturalnym tygodniku nie powinny mieć miejsca dziwolągi językowe, które wtyka Wam „stary nudziarz”. Nie zna „sztampy” dziennikarskiej.

Wielka reforma nastąpiła w dziedzinie seksu. Z „tabu” stał się jawnym rewolucyjnym problemem, dzięki autorce Mirosławy Sarbińskiej. Opisany wypadek młodej meżatki, która zwozi 16-letką i praktycznie użył go jak w sadził członka w jej krocie — przypomniała mi obrazek z „Chłopów” Władysława Reymonta. Oto córka Boryna — Józia przyprowadza krowę tatuli do kościelnego byka. Pomaga bykowi wsadzić członka w szparę krowy. I takie dwa obrazki dowodzą i są dużym atutem dla ateistów, że człowiek to nie boska istota z duszą(?). Guzik! Wykonuje te same funkcje co zwierzęta. I krowa może być w ciąży, daje mleko i z dużym brzuchem i kobieta również. Tylko zwierzęta różnią się tym, że u nich chuć występuje w pewnym okresie, u człowieka cały „boży” rok.

Czytam o żalach kobiet na krótkotrwałe spółkowanie. Mam pewien pomysł. Są na przykład konkursy na długoczasowe palenie fajek z tytoniem. Zorganizować więc konkurs na długie spółkowanie lub ilość pchnięć i zwycięzcę obdarować złotym medalem.

Czasem nadchodzi mi pesymistyczna myśl, że chyba już w XXI wieku świat stanie się wielką menażerią.

KONSTANTY WRÓBLEWSKI

P.S. To pisze 81-letni emeryt, który przeżył różne zmiany w obyczajowości społeczeństwa na świecie.

Najpierw odnozę się do problemów językowych. Oczywiście „ekstremalny” — to kraczowy, a „ekskrementy” — to odchody. Błąd przykry i bardzo przepraszam. Bezsprzecznie wina to redakcji.

„Turpizm” — pochodzi od łacińskiego „turpis” — brzydki i oznacza we współczesnej literaturze kult brzydoty.

Słowo „fajny” — oznaczające pierwszorzędny, dobry, porządkowy, ładny, do rzeczy — używane jest polonizmem i pochodzi z języka niemieckiego. Figuruje w „Słowniku języka polskiego” na równych prawach z innymi słowami. Może być słowem nie lubianym i komuś się nie podobać. Też mam kilka nie lubianych słów i po prostu ich nie używam.

Jeśli chodzi o drugą sprawę — życie intymne ludzi.

To — po pierwsze — artykuł Mirosławy Sarbińskiej nie daje żadnych podstaw do takich zarzutów, jakie przytacza Stanisław Woźniak z Łasku. Zresztą ostatnie zdanie z jego kartki o żydostwie, któremu „zależy na zepsuciu moralnym młodzieży polskiej”, powinno wykluczać wszelką dyskusję. Ale — czasem trzeba i w takich wypadkach jał podjąć. Żeby jednak dotyczyła ona sedna sprawy, pozwól sobie zacytować kilka wypowiedzi uczniów 28 Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie. Wypowiedzi te pochodzą ze „Sztandaru Młodych” — pisma przeznaczona dla młodych i między innymi traktująca o sprawach młodych.

Małgorzata: — „Nie rozmawiam z mamą na te tematy, mama jest za bardzo pruderyjna”.

Chodzi o wiedzę na temat seksu. Skąd młodzi ją czerpią?

Cyprian: — „Ja skrycie czytałem Wisłocką. Właściwie nie musiałem skrycie, bo „odnośna” lektura stała na półce, w domu. Ale się wstydzę. Potem próbowałem na prywatkach, na zasadzie zabawy w lekarza, to były takie nieudolne próby”.

Marcin: — „Mnie uświadomiła mama w szóstej klasie, na wczasach w Bułgarii. Może jej było łatwiej, z wykształcenia jest pedagogiem. Pierwszą dziewczynę miałem już w podstawówce”.

Grzegorz: — „Dlatego ważne jest odpowiednie przygotowanie. Mnie nauczyło, jak to się mówi samo życie. Z rodzicami nie rozmawiam na te tematy. Oni tylko chcą wiedzieć dokładnie, z kim wychodzę bądź wyjeżdżam, dokąd i na jak długo”.

A co sądzi o wycofaniu podręcznika „Przysposobienie do życia w rodzinie”?

Wszyscy zgodnie: — „Głupota, taki podręcznik jest bardzo potrzebny, o co ten hałas?”

Cyprian: — „To było warte hałasu ze strony tych, którzy go bronili, reszta się tylko ośmieszyla. W rezultacie podręcznik zrobił się zakazaną lekturą. Może jest on niedoskonały, ale mamy coś w zamian?”

Pragnę jeszcze dodać, że wyniki badań, jakimi posługiwała się Mirosława Sarbińska pokazały, że młodzież wcale nie jest taka zepsuta, jak to sądzi — często bez podstaw — spora część dorosłych.

I po drugie — jeśli Mirosława Sarbińska cytuje jakieś fragmenty, które można byłoby uznać za „drastyczne”, to na ogół pochodzą one z uznanej na świecie literatury.

Nie mamy żadnego wpływu na to, co się niektórym naszym Czytelnikom z czym kojarzy, jaka jest ich wiedza na temat tej tak ważnej sfery życia ludzi. A skoro jest to ważna sfera życia, to trudno abyśmy się nią nie zajmowali.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DALAM SIĘ NABRAĆ!

Choć mocno po czasie, nie mogę jednak odmówić sobie gorzkiej przyjemności napisania listu.

Bożia mnie ukarała, że się dała skusić na rozpustne paskudztwa. Ba, namówiła jeszcze do tego moich przyjaciół. Postanowiłam się wybrać na sztukę Aleksandra Fredry „Piezomira” z którą PT „Syrena” przyjechał do Łodzi.

Bilety kupiliśmy w przedsprzedaży w „Gromadzie” bez najmniejszych problemów. Na spektakl poniedziałkowy. Tymczasem w czwartek wieczorem bardzo poważnie zachorowało moje dziecko i stało się wiadome, że do teatru nie będę mogła się wybrać.

Pódpędziłam zatem w piątek do „Gromady”, by zostać mile odprawioną na ulicę Moniuszki, tam do rozmowy miałam tylko kłamkę i solidnie zamknięte drzwi. W poniedziałek rano rano rozpoczęłam telefonicznie pytać, gdzie mam bilet oddać. Przerzuciłam mnie od telefonu do telefonu. W końcu uzyskałam nawet nazwisko osoby, jak określono, odpowiedniej, pani Klimczak. Ale ta pani zaczęła podejrzewać mnie o oszustwo, rozpoczęła śledztwo, by na koniec ryknąć w słuchawkę, co ją to wszystko obchodzi. Zrezygnowałam z dalszej walki.

Wieczorem z teatru wrócił moi przyjaciele. Oj, musiałam się dobrze nawstydzić. Mówili: Żenujący poziom, skandaliczna oprawa scenograficzna i muzyczna, urągająca zasadom aktorskim wystawienie, miernota. Zwykła, na zadziwiająco niskim poziomie, chałtura.

Kupiony bubel oddaje się do sklepu, można nawet nabybrzydząć producentowi. W Teatrze Operetki gdzie występował PT „Syrena” z Warszawy oszukanych zostało sporo osób, a popłynęły ciężkie pieniądze. I nikt za to nie poniesie odpowiedzialności?

Przesyłam Eugeniuszowi Iwanickiemu bilet, na który mnie namówił opisując „Piezomir”. I proponuję: lepiej wprzód obejrzeć rzecz reklamowaną. Szkoda, że nie słyszał opinii widzów o puszczających teatr. Mój list to najsłabsza forma protestu.

HALINA B.J.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)
OD REDAKCJI. Eugeniusz Iwanicki zaklina się na wszystkie świętości, że „Piezomir”. Aleksandra Fredry widział w PT „Syrena” w Warszawie. I twierdzi, że było to znakomite przedstawienie. Jemu się podobało. I nie tylko jemu. Jak z tego wynika „Syrena” do Łodzi przywozila wyrob znacznie gorszej jakości.

SAMOWOLA CZY NIEPOROZUMIENIE?

Dziś, tj. 28.07.15. o godz. 7.30 jadąc autobusem 88 zostałam spłisana przez kontrolera MPK, jako osoba jadąca bez ważnego biletu. Mało tego, kontroler nr 943 zatrzymał do swojej dyspozycji moją legitymację tzw. migawkę.

Wyjaśniam, że w chwili zatrzymania posiadałam ważną migawkę na linię 88 i 57, jak też i znaczek do tej migawki. Na znaczku widniał wyraźnie napisany nr legitymacji, wpisany przez pracownika naszej firmy, zajmującego się comiesięcznym rozprawdaniem znaczków.

Dodaje, że oprócz migawki posiadałam w portfelu również migawkę zdezakualizowaną za 360 zł na linii 1 i 81, z której dawniej korzystałam, (zaznaczam, że obecnie te migawki są już nieaktualne). Ponieważ dojazd do pracy tą trasą był dla mnie zbyt uciążliwy, więc zmieniłam ją na trasę 88 i 57. Nie zniszczyłam starej migawki. Mam zwyczaj kolekcjonowania starych dokumentów. Przy okazaniu ważnej migawki i znaczka (600 zł) do niej, kontroler zauważył w moim portfelu starą migawkę. Od tej pory byłam traktowana jak przestępca, złapany na fackie okradania MPK.

Nie wiem, może taki monopolista jak MPK ma prawo dyktować swoje odrębne przepisy, dotyczące np.: bezwzględnej likwidacji starych dokumentów. A w ogóle jakim prawem kontroler MPK upoważniony wyłącznie do sprawdzania biletów zagłada pasażerom do ich portfeli. A może wkrótce kontrolerzy będą mieć prawo przeprowadzania kontroli osobistej. Jestem zbulwersowana takim sposobem traktowania wszystkich pasażerów, którzy uczciwie płacą za usługi, świadczące przez MPK.

Obecnie nie posiadam ważnej migawki na codzienny przejazd do pracy mimo, że zapłaciłam MPK za to, aby codziennie dowoziło mnie do miejsca mojej pracy. Zostałam poinformowana przez kontrolera, że wszelkie wyjaśnienia mogę składać w dyrekcji MPK. Mój czas cennie bardzo wysoko, a w tej chwili zostałam zmuszona trwać do bezowocenie na składanie wyjaśnień. Pytam jakich wyjaśnień. Jakże ja uczyniłam przestępstwo. Miałam ważną migawkę na autobus, w którym jechałam. Miałam znaczek do niej. A moje przestępstwo polegało na tym, że posiadałam też starą zdezakualizowaną migawkę.

Niech MPK poinformuje poprzez prasę, radio, telewizję, aby wszyscy pasażerowie byli zorientowani, że przetrzymywanie starych dokumentów MPK jest karalne.

Od chwili zatrzymania przez kontrolera moich migawek „jako dowodu przestępstwa” (cytat kontrolera) placę każdorazowo za przejazd do pracy. Dziennie kosztuje te wynoszą 60 — Kto mi to zrekompensuje? Przecież ja zapłaciłam wcześniej za cały miesiąc (600 zł), aby MPK dowoziło mnie do pracy.

Z poważaniem
HALINA SKALA

OD REDAKCJI. Żeby kogokolwiek karać, trzeba najpierw udowodnić mu popełnienie przestępstwa lub wykroczenia. Z listu Haliny Skali nie wynika, aby coś takiego popełniła. Prosimy dyrekcję MPK o wyjaśnienie tej sprawy i powiadomienie nas o wynikach tego wyjaśnienia.

CZY ZYSK ZAWSZE MOŻNA WYLICZYĆ

Serdecznie dziękuję za zamieszczenie w „Odgłosach” fragmentu listu otwartego, adresowanego do Zbigniewa Messnera. Z komentarzem do mego listu, pochodzącym od redakcji, nie mo-

gę zgodzić się, gdyż jest on sprzeczny z założeniami drugiego etapu reformy gospodarczej, w myśl których decydującym warunkiem wszelkich działań inwestycyjnych jest rachunek ekonomiczny. Z zamieszczonego komentarza wynika, że Redaktor Dyżurny popiera stare formy działania, nie liczące się z wynikami i bez względu na efekty. Jak to określił „prymitywne-go kryterium zysku”.

Takie metody gospodarowania stosowano właśnie za czasów „epoki Gierkowskiej”, w której budowano bez liczenia się z rachunkiem ekonomicznym, co w konsekwencji spowodowało zadłużenie Polski na 36 czy nawet na 38 miliardów dolarów.

Wielka szkoda, że komentarz redakcyjny ukazał się przed wystąpieniem w Sejmie Zdzisława Sadowskiego w drugim dniu posiedzenia Sejmu. Wicepremier Zdzisław Sadowski powiedział:

„Nadmierzony popyt inwestycyjny wpływał osłabiająco na skuteczność działań związanych z porządkowaniem frontu inwestycyjnego i podniesienia efektywności procesów inwestowania, niweczył też skuteczność ekonomicznego przymusu do poprawy gospodarowania w przedsiębiorstwach budowlano-montażowych. Stanowił i stanowi nadal drugie obok obsługi długu — poważne źródło procesów inflacyjnych”.

W tym celu upowszechniono na całą gospodarkę obowiązujący już wcześniej w sferze budżetowej zakaz rozpoczęcia budowy obiektów administracyjno-biurowych. Wprowadzony też został zakaz podejmowania nowych inwestycji kubaturowych. Nie dotyczy on budownictwa mieszkaniowego, obiektów służby zdrowia, oświaty i ochrony środowiska”.

Jak wygląda pogląd Dyżurnego Redaktora w świetle przytoczonych wyżej informacji?

Jeśli rząd wydadł zakaz prowadzenia inwestycji i rozpoczęcia nowych inwestycji stanowiących główne źródło procesów inflacyjnych, to przekroczenie zakazu stanowi nie tylko skondamnowanie gospodarcze a również naruszenie porządku prawnego. W takim stanie nie wolno nikomu, a w pierwszym rzędzie poczynie prasie, zamieszczać poglądów sprzecznych z obowiązującym zakazem. W obecnej sytuacji ekonomicznej musimy kierować się bezwzględnie tylko rachunkiem ekonomicznym, a nie poglądem na nowoczesność, na którą na razie nie stać nas. Musimy nastawić się na „myślenie po nowemu”, zaniechać i zapomnieć o dawnych metodach gospodarowania.

Proszę zatem o zamieszczenie mego wyjaśnienia, gdyż żaden z łódzkich dzienników nie zamieścił informacji Zdzisława Sadowskiego wygłoszonej na posiedzeniu Sejmu, a tak ważnej dla naszej gospodarki.

mgr EDWARD STANCZYKIEWICZ

Coraz częściej — na szczęście — w polemice odchodzimy od etykietowania przeciwnika. Nie będę więc wypominał, kto myśli „po nowemu” a kto „po staremu”. Nie o to przecież chodzi. Natomiast podtrzymuję zarzut, że nie można każdej inwestycji oceniać wedle „prymitywnego kryterium zysku”. Tak właśnie postępowano w minionych czasach. Dokonywano doraźnych oszczędności, nie licząc się z tym, że w przyszłości przyniesie to ogromne, a niekiedy nieodwracalne straty.

Edward Stanczykiewicz cytując wypowiedź Zdzisława Sadowskiego, która w jego mniemaniu ma mnie pognębić, a w rzeczywistości podtrzymuje mój pogląd. Wicepremier Zdzisław Sadowski mówił bowiem o „objektach administracyjno-biurowych” oraz o „nowych inwestycjach kubaturowych”. Ale też powiedział że nie dotyczy ten zakaz budownictwa mieszkaniowego, obiektów służby zdrowia, oświaty i ochrony środowiska. Komunikacji w tym zestawieniu nie ma, ale inwestycje komunikacyjne nie należą ani do „objektów administracyjno-biurowych”, ani do „nowych inwestycji kubaturowych”. Poza tym są niezbędne dla miasta i choć zysku, jaki przyniosą, nie da się wyliczyć na żadnym komputerze, to przecież jest on oczywisty. Wyrazi się choćby w tym, że ludzie będą wygodniej jeździć do pracy i nie będą tak zmęczeni podróżami w tramwajach i autobusach.

Nie mogę nadal zgodzić się z taką — będącą zbytym uproszczeniem tezą, że „w obecnej sytuacji ekonomicznej musimy się kierować bezwzględnie tylko rachunkiem ekonomicznym, a nie poglądem na nowoczesność”. Postępowanie wedle tej zasady nigdy nie pozwoli nam wyjść z ostatnich miejsc w europejskich statystykach czy z dalekich miejsc w statystykach światowych. W moim przekonaniu trzeba szukać takich rozwiązań, które pozwoliłyby ludziom wyzwolić ich inicjatywy i dzięki temu przewyższać narastające przeszkody. To znaczy stwarzać im dogodne warunki dla wykonywania ich pracy. Modernizacja węgla komunikacyjnego i przebudowa dworca Łódź Kaliska — właśnie temu mają służyć. Zysku nie można w niektórych dziedzinach wyliczać zarobionymi złotówkami, choć w wielu innych jest to niezbędne. Ale nasza, cierpiąca na zapasę gospodarka stanowi całość, której potrzebny jest rozwój różnych dziedzin. Bez wyczerpania ludzkiej inicjatywy tego się nie zrobi. Nie sądzę, aby propozycje Edwarda Stanczykiewicza do tego właśnie zmierzały.

REDAKTOR DYŻURNY

UWAGA NIEBEZPIECZEŃSTWO! BALKONY!

Z Urzędu Dzielnicowego Łódź—Polesie — Wydział Gospodarki Komunalnej — otrzymaliśmy pismo następującej treści:

W związku z interwencją mieszkańców Osiedla Mireckiego skierowaną za pośrednictwem Redakcji Tygodnika „Odgłosy” w sprawie spadających na chodniki tynek balkonowych — Wydział Gospodarki Komunalnej Urzędu Dzielnicowego Łódź — Polesie poleca w terminie natychmiastowym przeprowadzenie przeglądu balkonów, a stwierdzone przypadki stanowiące zagrożenie bezpieczeństwa bezwzględnie usunąć.

mgr ARTUR LASKOWSKI

AUTOSTOP PRZEŻYWA DRUGĄ MŁODOŚĆ

MŁODZIEŻ — to 90 procent uczestników, 10 procent to starsi, w tym emeryci i renciści. Najstarszą autostopowiczką jest Waleria SOKOLINSKA, 80-letnia emerytowana nauczycielka z Warszawy, a autostopowiczem Adam BUTRYM, 85-letni bydgoszczanin.

W Autostopie '88 reprezentowane są chyba wszystkie profesje. Są m.in. górnicy i hutnicy, nauczyciele i lekarze, inżynierowie i pielęgniarce, tkaczkę i stolarze, żołnierze służby zasadniczej i funkcjonariusze USW, artyści i rzemieślnicy, ba — nawet kolejarze i kierowcy samochodowi — na urlopie!

POMOC ZA POMOC — takie hasło obrala młodzież dla społecznie wartościowego i wychowawczego konkursu „UPRZEJMY GOSPODARZ”. Prawie 50 proc. autostopowiczów korzysta z noclegów u gospodarzy wiejskich. Autostopowicze odwzajemniają się im za życzliwość w udzielanych noclegach — często i wyżywienia — pomocą w gospodarstwie, przy pilnych pracach na polach.

ZAPRASZAMY NA ZŁOT AUTOSTOPOWICZÓW I KIEROWCÓW, który odbędzie się w dniach 20 i 21 sierpnia 1988 r. w Olsztynie na pięknym campingu PTTK nad jeziorem KRZYWE. W tych dniach drogi autostopowiczów będą prowadziły do Olsztyna!

Władze miasta i aktywni PTTK z Olsztyna przygotowują bardzo urozmaicony i atrakcyjny program.



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:
4 sierpnia — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godz. 10—15.
11 sierpnia — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—15.

RELACJA Z DYŻURU W DNIU 23 LIPCA 1988 R.

Najwidoczniej upały w połączeniu z sezonem urlopowym wpłynęły na pewne osłabienie aktywności rozmówców, korzystających z usług naszego stałego telefonu. Zresztą tylko jedna rozmowa miała tematyczny związek z dolegliwościami kaniuku. A mianowicie:

1. Pan, który nie zechciał wyjawić swojego nazwiska i przedstawił się tylko jako „urodzony Łódzian”, uskarżał się trochę bełkotliwie, że nie może ugasić swojego „nieładnego pragnienia” jakimkolwiek, byle tylko dobrze ochłodzonym piwem. Mimo iż nasz rozmówca był w stanie wyraźnie „wskazywać” i zalecić by mu należało raczej natrysk na głowę niż piwo, podzielałbym jego opinie, że z ilością jak również asortymentem piwa, i to należyce ochłodzonego nie jest — zwłaszcza w upalne dni, dobrze. Ale chyba nie można zaprzeczyć, że w ostatnich latach nastąpiła w Łodzi w tej dziedzinie poprawa.

2. Jeden z naszych Czytelników zwrócił nam uwagę w imieniu swoim i innych osób korzystających z holu 13 piętra jako z poczekalni „Ogłosów”, że można by z powodzeniem tę przestrzeń, usytuowaną tuż przy windzie, zagospodarować ku wygodzie i zadowoleniu estetycznemu petentów. Postaramy się!

3. Trochę nam nadkuczał przez telefon pan Pająk z Łodzi, który po zajęciu konkursu Miss Polonia na 1 stronie naszego pisma, spodziewał się wewnątrz jakichś bulwersujących doniesień, a tymczasem znalazł tam tylko kilka fotografii. Nabraliście mnie! — zarzucił nam pan Pająk — i za karę nie kupię następnych „Ogłosów”. Otóż — proszę pana, jeden woli poczytać, inny woli popatrzyć, a chcieliśmy dogodzić każdemu.

4. Pan Michał T. ostrzegł nas za to z najgrubszej rury. Owszem, nasz tygodnik podoba mu się i stale nas czytuje, ale ma nam za złe, że piszyc o rozmaitych sprawach z historii stosunków polsko-radzieckich rzekomo jednostronnie wychodzimy naprzeciw opiniom przeciwników. Otóż, po pierwsze, nie mamy takich ten-

dencji, a po drugie, niektórzy Czytelnicy są, moim zdaniem, tak bardzo stronniczy, że pragnęliby przedstawiania przeszłości w najpochlebniejszych dla naszego narodu słowach, toteż pisanie na te tematy jest dla każdej redakcji nielatwym zadaniem.

5. Panu J.S. z jednego z ośmiennych województw nie bardzo możemy pomóc, czy nawet doradzić, trudno nam bowiem ocenić czy uchylanie przyznanej mu wcześniej renty było zasadne. Ze swej strony uważałbym, że przed wyższymi instancjami odwoławczymi, jak również przed sądem pracy powinien pacjenta wspierać osobiście lekarz, który wystąpił z wnioskiem o rentę.

6. Pana Andrzeja Matuszewskiego niepokoi od lat, że tak często całym godzinami w biały dzień świecą się potężne maszyny antenowe stacji Karolew. Być może mimo zasady trzech „S” DOKP stwierdziła, iż stać ją na ten wydatek, być może też inżynier wojewódzki nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia, ale nas, zwykłych ludzi martwi, że nie wszyscy myślą o tym, by wyjść z kryzysu.

7. Pan Żytkiewicz z ul. Zgierskiej znalazł sposób na robienie pieniędzy. Otóż od trzech lat wielokrotnie naprawiał on budzik z łódzkiej „Mery”, wreszcie udał się do zakładu naprawczego firmy przy Sienkiewicza, gdzie zgodzono się przyjąć zegarek, pod warunkiem, że za samo stwierdzenie usterek rachunek wyniesie 1000 zł plus koszt naprawy, a okazuje się, że zegar całkiem nowy kosztuje 2600 zł. W tym stanie rzeczy pan Żytkiewicz poszedł do zegarmistrza, który coś tam przylutował kolba i nie za to nie wziął. Otóż pan Żytkiewicz otworzyłby zakład naprawczy i brałby tysiączek tylko za samą diagnozę, ja natomiast otworzyłbym obok „konkurencję” i brałbym tylko za naprawę. W ten sposób pan Żytkiewicz napędzałby mi klientów. Dziękuję, namyśle się jeszcze...

8. Nasz Czytelnik, który prosi o całkowitą anonimowość (znamy jego dane), leczy się w przychodni szpitalnej u wybitnego specjalisty, który daje mu skierowania do przychodni rejonowej na zabiegi rehabilitacyjne. Tam jednak musi czekać nie raz i miesiąc, zanim miejscowy lekarz da swoją akceptację. Czy autorytet specjalisty nie wystarczy? — pyta nasz rozmówca. — I czy chory ma z biurokratycznych przyczyn czekać na zabieg? I pytanie trzecie: czy istotnie służba zdrowia jest przeciętną pracą administracyjną?

9. Panią Chmielewską z Łodzi już dwukrotnie spotkały w kinie „Bałtyk” niemiłe niespodzianki (ostatnio na „Piratach”) w postaci przerw w wyświetlaniu filmu, zanikania głosu czy ściemniania obrazu. Czy są to tak zwane przyczyny obiektywne? — chciałoby się wiedzieć.

Telefony przyjmował

JERZY KWIECIŃSKI

Czy tak musi być?

Latem, gdy wyłączą ci ciepłą wodę

Zaczyna się lato i... z kranów przestaje płynąć ciepła woda. I to nie tylko w mieszkaniach prywatnych. Dotyczy to też zakładów pracy i szpitali. Na przykład Wojewódzki Szpital Zespolony im. M. Kopernika jest pozbawiony ciepłej wody, co roku, przez kilka tygodni. O ile jednak łodzianin może zagrzać wodę w garnku lub wyjechać z miasta, to chorzy muszą pozostać tam gdzie są, w szpitalu. I trzeba sobie jakoś radzić. Kociołek EK 4 podgrzewa wodę na potrzeby kuchni, montuje się też bojery elektryczne. Wszystko to jest jednak za mało jak na potrzeby wielkiego szpitala.

Do okresowych odłączeń ciepłej wody zadyżaliśmy się już przyzwyczaić, traktujemy je, jako coś oczywistego. Może jednak warto się zastanowić dlaczego tak jest?

W Łodzi pracują cztery wielkie źródła ciepłej wody i pary: EC 1, wybudowane jeszcze w 1907 roku, EC 2 z 1958 r., EC 3, oddane w 1966 r. oraz największa, wciąż rozbudowywana EC 4. Sieć odprowadzająca ciepłą wodę i parę do odbiorców tworzy dwa systemy. System wodny jest systemem całkowicie połączonym, nie jest jednak systemem pierścieniowym, tzn. dowolny punkt nie może być zasilany z dowolnego źródła. Układ sieci parowej ma ponad 70 km. W szczycie grzewczym przez sieć tę przepływa tysiąc ton pary na godzinę.

Oprócz tych czterech wielkich źródeł w Łodzi pracują też małe kotłownie — włączające się w szczycie grzewczym, tzn. zimą, na przykład „Ustronna”, „Pierwsza Rudzka”, kotłownia w LZPB im. Obrońców Pokoju i in.

Zarówno te źródła, jak i sieć wymagają remontów. W EC 1 pracują stare kotły rusztowe, na węgiel. Również w EC 2 pracują kotły przestarzałe, już w tej chwili nie produkowane, które trzeba będzie poddać kapitalnemu remontowi.

Do końca września każdego roku uzgadnia się terminy odłączeń na przyszły rok. O tych terminach informowane są zakłady pracy i szpitale. Remontów dokonuje się latem. Przerwa w dostawach ciepłej wody i pary spowodowana remontem źródeł wykorzystywana jest na remont sieci. Wymienia się wtedy rury, zasuwy itd.

Czy nie można by budować podwójnych połączeń, tzn. czy odbiorca nie mógłby otrzymywać ciepłej wody z innej elektrociepłowni, kiedy „jego” dostawca jest akurat remontowany? Technicznie byłoby to możliwe, ale ekonomicznie nieopłacalne. Łódzka sieć jest zbyt rozległa, elektrociepłownie są zbyt od siebie oddalone.

Niektórzy odbiorcy są jednak w tej szczęśliwej sytuacji, że mogą korzystać z dwóch źródeł. Chodzi tu o tak zwane źródła rezerwowe. Na przykład szpital Centrum Zdrowia Matki Polki normalnie korzystający z usług EC 4 jest jednocześnie podłączony do kotłowni „Ustronna”, jako źródła rezerwowego.

Wróćmy jednak do przykładu szpitala im. Mikołaja Kopernika. Szpital jest zasilany tylko z jednego źródła — EC 2. Dyrekcja „Ustronnej” zaproponowała więc, by poprowadzić drugostronne zasilanie do szpitala i pobliskich zakładów chemicznych. „Kopernik” znajduje się w odległości zaledwie 2 km od kotłowni. Zaproponowane rozwiązanie wydaje się więc całkiem realne. Niestety, podnoszą się głosy, że propozycja „Ustronnej” nie ma ekonomicznego uzasadnienia. Możliwość wprowadzenia drugostronnego zasilania dla szpitala nie była zresztą przewidziana w wyrynkowanym co pięć lat planie rozwoju ciepłownictwa.

„Ustronna” stara się dopiero o środki na realizację przedsięwzięcia. Dobrze byłoby, gdyby środki się jednak znalazły. Uszczelnienie społeczne jest nie mniej ważne od ekonomicznego, ponadto „Ustronna” mogłaby zasilać zakłady chemiczne, a tu już trudno mówić o braku uzasadnienia ekonomicznego.

A czy nie można by się obejść w ogóle bez odłączeń? Po co Łódź tak rozległa sieć? Wiadomo przecież, że wielkie systemy są trudne w eksploatacji i trudne do remontowania. Na Zachodzie na przykład nie buduje się tak rozległych systemów. Funkcjonują tam niewielkie kotłownie opalane mazutem lub gazem. Jest też wiele źródeł rezerwowych. Urządzenia są w pełni zautomatyzowane.

Przesłanką wprowadzenia w Łodzi systemu składającego się z kilku elektrociepłowni i rozległej sieci była chęć ochrony środowiska naturalnego. Jeszcze dwadzieścia parę lat temu zdarzały się w mieście takie dni, kiedy popiół z kilkuset kominów chrząścił pod butami przechodniów. W trakcie rozbudowy systemu stopniowo likwidowano kminy, ogółem zlikwidowano ich ponad trzysta.

Czy to znaczy, że w innych krajach, utrzymując tak wiele kotłowni, nie dba się zupełnie o ochronę środowiska? Oczywiście, nie. Są tam stosowane kotły gazowe, nie powodujące skażenia, ponadto używa się skutecznie działających filtrów. Ostatnio na przykład rozpowszechnia się na Zachodzie Europy metoda suchego odsiarczania pyłów, podobno bardzo skuteczna. Nas na to nie stać. Urządzenia filtrujące są drogie i trzeba za nie płacić w dolarach. Do kotłów gazowych brakowałoby gazu. Stać nas tylko na wyposażenie w elektrofiltry dużych jednostek, to znaczy — EC.

Okazuje się więc, że na aktualnym etapie rozwoju gospodarczego kraju nie można sobie poradzić z problemem odłączeń ciepłej wody. Tak już po prostu musi być.

Pozostaje cieszyć się, że w Łodzi zdarza się tylko około 150 awarii sieci ciepłej rurociągu. W Warszawie, gdzie jest gorsza woda, tych awarii jest dziesięciokrotnie więcej.

MAREK BŁASZKOWSKI

Redakcja tygodnika „ODGŁOSY” zatrudni:

Akwizytora ogłoszeń

Warunki pracy i płacy do uzgodnienia.
 Zgłoszenia przyjmuje sekretariat „Ogłosów” w godz. od 10 do 15, ul. Sienkiewicza 3/5 w Łodzi.

Tęsknota za zdyscyplinowaną elegancją

Rozmowa z **AGNIESZKA FATYGA**



— Spiewała pani piosenkę o dziewczynie, która chce być bogata i piękna, chce zostać gwiazdą i pojechać do Nowego Jorku.

— Swoją wymyśloną podróż kończyła ona w zgrzebnym swetrze, w tym samym, w którym ją podróż zaczynała.

— Podążyła pani jej tropem i udała się na poznanie Stanów Zjednoczonych i Kanady. Jak wypadła konfrontacja?

— Z mojego punktu widzenia chyba nieźle. Spotkania z polonijną publicznością — wiem to już teraz lepiej, po amerykańskiej podróży miałam koncerty dla publiczności polonijnej w Europie — są zawsze dużym przeżyciem artystycznym, a może przede wszystkim ludzkim.

— Co udało się pani zobaczyć za granicą?

— W Paryżu, z braku czasu, przyglądałam się w telewizji piosence francuskiej i myślałam, że akurat w tej dziedzinie nie powinniśmy mieć kompleksów.

W Nowym Jorku zobaczyłam na Broadwayu słynny musical „42 Ulica” i mimo iż poziom był wysoki, to nie był tym, jaki zapamiętałam z amerykańskich filmów muzycznych. W Berlinie wykonawcy rewiewi (z czego być może nie zdają sobie sprawy) pod pewnym względem (dyscyplina zespołowa, perfekcjonizm) są lepsi od swoich idoli.

— A co robiła pani w Japonii?

— W Tokio byłam na dwutygodniowym stypendium „Japan Foundation”. Znalazłam się tam w 10-osobowej grupie młodych przedstawicieli polskiej sztuki (młodych — to był warunek). Owa grupa została wybrana spośród wielu kandydatów przez ambasadę japońską. Była to dla mnie bardzo przyjemna niespodzianka i chyba podróż życia.

— Występowała też pani w Czechosłowacji i NRD.

— Każda z tych podróży by-

ła na swój sposób fascynująca. Duży szok wywołał we mnie pobyt w Czechosłowacji i NRD, bo tam występowałam w czystych i dostatek miastach, z zauważalną grzecznością i spokojem w stosunkach międzyludzkich.

— Pani kariera przebiega dość prawidłowo, bo po ogólnopolskim odkryciu i wyłonieniu przez II program TVP, przyszła pora na zagraniczne wojaże. Ale zabrakło ról w filmie i teatrze.

— Profesjonalizm oznacza niestety — selekcję, chociaż przecież w dotychczasowym życiu aktorskim zaliczyłam kilka ról teatralnych i telewizyjnych.

— Kim czuje się pani przede wszystkim?

— Agnieszka Fatyga.

— Jednym z zarzutów jest, że wymyśliła pani sobie, od początku do końca, a to nie daje wzmuszeń i też.

— Spotkałam się ze wzruszeniem publiczności na moich

recitalach. I chyba dopiero wtedy odbiór i to pełniejszy mojemu recitalu, może dać pełniejszy wizerunek mojej osobowości. To, co ukazało się w TV, to tylko wycinki repertuaru.

— Czy przyjęłaby pani propozycję występu w operze?

— Zależy w jakiej.

— A w operze?

— Chętnie, ale co na to opera?

— Jest pani osobą niezależną i jak kot chodząca swoimi ścieżkami. Jak bardzo?

— W sam raz.

— I pewnie dlatego wciąż mieszka w tej samej kawalerce?

— Chyba tak...

— Teraz mieszkaacie w trójkę, bo przybyły pani siostry. Strasznie ciasno!

— No, zmieściłoby się jeszcze kilka osób.

— Kto rządzi w domu?

— Sama bym chciała wiedzieć.

— Zauważyłam, że lubi pani ubierać się w mundury, co to może oznaczać?

— Tęsknotę za zdyscyplinowaną elegancją.

— A kim jest pani naprawdę? Ci, którzy znają ją bliżej, mówią, że „spłaca królową”?

— O, to już znaczna poprawa, bo ja słyszałam, że wiedźma.

— Największe marzenie zawodowe Agnieszki Fatygi?

— Chciałabym w przyszłości robić filmy muzyczne, a konkretnie film związany z pewnym wydarzeniem w naszej historii. Ale ponieważ uważam temat za genialny, zachowam go w tajemnicy.

Rozmawiał: **BOHDAN GADOMSKI**



Rys. Dariusz Kowalczyk

Bohaterem tej opowieści będzie „mistrz złudzeń”, włoski kuglarz i prestidigitator Giuseppe Pinetti de Merici, o którym niedawno napisano, że „ze wszech miar zasługuje na uwagę”. Piszę pod wpływem wydanej ostatnio staraniem Krajowego Klubu Iluzjonistów przy Łódzkim Domu Kultury książki Jerzego Mecwaldowskiego-Carona „Jak pan, to robi?” (Łódź 1988), a właściwie jej fragmentu, poświęconego Pinettiemu i jego rodzinnym sztuczkom magicznym.

Giuseppe Pinetti zasługuje na uwagę nie tylko jako znamienity poprzednik dzisiejszych iluzjonistów, ale również, a dla mnie przede wszystkim, jako jedna z osób wspomnianych przez Adama Mickiewicza w „Panu Tadeuszu”. To tam właśnie gen. Henryk Dąbrowski zdziwiony pytał: „Mój Panie Wojski, czy to chińskie cienie? Czy to Pinety Panu dał w służbę swe bisi?” Spodziewając się, że ów werstet okaże się niejasny dla czytelników, poeta opatrzył go dość enigmatycznym przypisem: „Pinety, sławny na całą Polskę kuglarz; kiedy u nas gościł, nie wiemy?”. Wnet się okaże, iż Mickiewicz już wcześniej odwołał się do wspomnień o kuglarzkiej zręczności Pinettiego, przekazanych mu zapewne przez Jana Czeczotę.

Właściwie o Giuseppe Pinettim niewiele szczegółów dodali polscy komentatorzy arcyposmatu z prof. Pigionem na czele. Oto przykład: „Pinetti, głośny kuglarz, dziwo twórca, bawić musiał w Polsce niejedną raz. W szczególności wiemy, że w 1796 r. był w Grodzie, gdzie sztuczkami swymi rozrywał króla po niedawnej utracie tronu.” Czytelnika odsyła się do literatury pamiętnikarskiej i baletystyki oraz periodyków (z błędami, które wydawcy kolejnych edycji „Pana Tadeusza” winni poprawić co rychlej).

O słynnym ongiś magu pamiętają dziś tylko profesjonalści w dziedzinie iluzji. Nawet znana sławka Krystyna Agosti Garosci ograniczyła się w komentarzu do włoskiego przekładu „Pana Tadeusza” (pióra Klotydy Garosci) do której noty, niewiele po-

Z różnych szuflad

Tajemnica włoskiego dziwo twórcy

szerzającej przypis poety: „Pinetti, Włoch, słynny kuglarz, nie jest znany czas jego pobytu w Polsce” (tł. A. Tchórzewski). Ubolewa nad tym niedostatkami informacji włoskiego komentatora, i słusznie, Andrzej Tchórzewski w artykule „Pinety oddający swe bisi, czyli „Pan Tadeusz siostrzycy” („Poezja”, 1984, nr 11-12). Wybaczyć trzeba Tchórzewskiemu sugestie, jakoby Pinetti był bękartem znanym w sosnowym lesie (bo „pineta” to „sosna”), zaś samo nazwisko stanowiło pseudonim artystyczny.

Jerzy Mecwaldowski-Caron ustalił na podstawie sobie znanych źródeł (książka nie zawiera przypisów ani literatury przedmiotu) pełne brzmienie nazwiska naszego bohatera i to równoległe w wersji francuskiej i włoskiej: Joseph de Willedal, kawaler Giuseppe Pinetti, markiz de Merici. Podaje też, że Pinetti urodził się w niewielkim tokańskim miasteczku Orbitello w 1750 r. a zmarł we wsi Wasukowa na Wołyniu w 1801 r. Polscy autorzy XIX w. wspomniawszy o Pinettim opowiadają się za śmiercią maga w Berydycowie na dwa tygodnie przed Onufrejskim Jarmarkiem 1807 r., jak świadczyć miał żyjący jeszcze w 1851 r. były prowincjał karmelitów ks. Nepomucen Romański, udzielający Włochowi ostatniego namaszczenia oraz pastor ewangelicki Braumiller w Niemierowie.

W polskiej literaturze i tradycji historyczno-obyczajowej (o czym Jerzy Mecwaldowski nie wspomina), „mistrz złudzeń” znany był wyłącznie pod rozmaicie zapisywanym nazwiskiem Pinetti. Bodaj raz tylko wymieniony został w 1829 r. jako Józef Pinetti de Merici, podziwiany w 1796 r. na deskach teatru berlińskiego w programie „Amusemens physiques”.

Pojawił się w Warszawie po raz pierwszy w 1795 r. i tu wystąpił 4 sierpnia, przedstawiając się jako „współczesny rozmaitych akademii” w programie, który wzbudził zainteresowanie i aplauz widowni. Dał trzy przedstawienia, co drugi dzień każde.

Ponownie przybył do Polski na zaproszenie hr. Eliasza Bezdziwskiego, by umilił czas zdetronizowanemu królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu. Po krótkim pobycie w Wilnie (może w drodze z Petersburga) zjechał 9 sierpnia 1796 r. do Grodna, gdzie zatrzymał się w gościnie u ks. Labanow-Rostockiego. Wraz z nim przedstawił się królowi, spotykając tam znanego sobie wcześniej szambelana i poetę Stanisława Trembeckiego. Zachowała się obszerna relacja dworzanina królewskiego Michała na Maluszyńce Maluskiego, który z niezmierną atencją i podziwem opisał niektóre figle i psy Pinettiego. Stamtąd też pochodzi konflikt włoskiego przybysza: „niewielkiego wzrostu, tuszy dość okrągłej, ruchliwy; chodzi zwawo, ciągle w pokłonach, po polsku zaledwie kilka wyrazów przekreca”. Już podczas obiadu królewskiego dał popis swej zręczności, wydobywając zagubione ręką nożyki stołowe nie tylko z kieszeni pana Trembeckiego czy z harcapa marszałka koronnego Mniszcha, ale i z futerału od swądy samego Króla Jegomości.

Główna reprezentacja odbyła się 16 sierpnia i trwała trzy godziny. Podczas popisu Pinetti „tykał noże, spadał, pugił i różne ostre narzędzia, grząc je tak, że mu w zębach chrupały jak obwarzanki. Tłukł w moździerzu zegarki i różne kobiece precjoza i klejnoty, a potem, czart wie skąd, dobywał”. Wreszcie po miesiącu, naraziliśmy się czymś ambasadorowi carycy Repninowi, otrzymał odeń rozkaz opuszczenia miasta. Tymczasem z rana strażnicy czterech bram meldują księciu, że Pinetti przez cztery bramy w jednym czasie wyjechał z miasta. A kiedy to mówi, on sam wyraża, jak spod ziemi, i z submisją melduje księciu o swoim wyjeździe”. Był to popisowy numer sztuki, powtarzany przy lada okazji, m.in. podczas pobytu w Petersburgu, gdzie spłatał podobnego figla ponoć samemu carowi Pawłowi lub Aleksandrowi I (broń Boże, nie Piotrowi I, jak podaje Jerzy Mecwaldowski, bo to gruby anachronizm).

W 1797 r. Pinetti znów przybył do Warszawy, gdzie w magazynie Hampła pisywał się z ręką. Stamtąd pojechał do Białej na Podlasiu (dziś Białe Podlaskie) — majątności gen. Kazanowskiego odziedziczonej po poprzednim właścicielu ks. Hieronimie Radziwiłł. Tam podczas popisu, jak świadczyli po latach Jan Drozdowski, sztab-lekarski pułku Działynskich, „postawił żołnierza na stołku, dał mu wypić piwa butelkę i kazał mu za nie zapłacić. Żołnierz odpowiedział, że nie ma pieniędzy. Pinetti wsunął mu rękę pod pas, kazał kasnąć, podstawił butelkę pod rękę, a pełna piwa butelka nacięła”.

Zaraz, zaraz, skąd my to znamy? Szewcu w nos wyciął trzy szuczki, Do lba przymknął trzy rureczki, Cmoknął, cmok, i gdańskiej wódki Wycoczył ze lba pół beczki.

Żołnierz z pamiętnikarskiej relacji zmienił się w „Pani Twardowskiej” w szewca, ale element iluzji pozostał.

Potem znów były triumfalne wojaże po Polsce, a w szczególności po jej wschodnich rubieżach: Wileńszczyźnie i Wołyniu. Pozostało po znakomitym iluzjonście kilkadziesiąt anegdót, z których wiele spisał pisarz-romantyk Aleksander Groza w tonie „Mozaika kontraktowa” (Wilno 1857). Minęła doczesna sława Pinettiego i dopiero po latach udało się odnaleźć brakujące ogniewa z życia sztuki iluzji, który wniosł coś ze swej sztuki do twórczości sztuki słowa. Włoski mag odlatował jedną ze swych tajemnic — tajemnicę własnej biografii.

ANDRZEJ KEMPA

1

Lewym okiem

Moda wśród duchów

Kilkanaście lat temu niezwanany „Przekrój” publikował serię opowiadań o duchach rezydujących w niektórych zamkach i ruinach na terenie kraju. Wszystkie te opowiesci, o ile pamiętam, dotyczyły dalekiej przeszłości. Kiedyś tam straszył w Łańcutcie diabeł, kiedyś tam ukazywała się w Gołubiu-Dobrzyńcu zjawy Anny Wazówny, czy może Jagiellonki. Ostatnio w tymże „Przekroju” czytamy wiadomość, że w Anglii ukazał się wielki tom poświęcony duchom dzisiejszym uganianym po różnych historycznych budowach Anglii, Skandynawii i paru innych krajów. Wielkie to, fundamentalne dzieło, ma się wkrótce ukazać po polsku i pewnie będzie chętnie nabywanym czytadłem. Ludzie lubią być straszni, czytają o różnym pobrękiwaniu łańcutkami, o wylatywaniu przez komin, o jazdach na koczach i na osie, kręcąc głowami i tak w głębi ducha myślą — a nuż coś w tym jest?

Zawsze są to relacje z trzeciej, piątej i dziesiątej ręki. „Mowiono, że...”, „mówią, że...”, „jak słychać...” — tak zazwyczaj się przeważnie opowiesci o duchach. Oczywiście w istnienie duchów można wierzyć lub nie, natomiast łatwo można przyjąć, że niektórzy ludzie widzą duchy. Istnieją przecież wyobrażenia, dla których trudne do rozróżnienia są rzeczy oglądane rzeczywistością, a rzeczy oglądane rzeczywistością przy tym, że skłonność do takich urojen pojawia się jakby falami. Są okresy, kiedy nagłe z różnych stron świata meldują o zjawiskach trudnych do wyjaśnienia racjonalnie. Raz jest to moda na biopiracy i na leczenie dotknięciem małego palca, moda, która po wielkim, paroletnim rozkwicie nagle przeminęła, kiedy indziej mamy do czynienia z masowym pojawieniem się wszelkiego rodzaju jasnovidów i wróżbitów. O takiej fall donosi właśnie korespondent radiowo-telewizyjny z Zachodnich Niemiec, Jerzy Tepl. W tamtejszych pismach można się coraz częściej ogłaszać o wroczkach przepowiadających przyszłość z fusów, ze szklanej kuli, z kart, z gęsih łapek, nie wiem z czego jeszcze. W świecie przodu-jącym pod względem najnowocześniejszej techniki, różnych elektronicznych cudów, obok nich nagłe pojawiają się i zyskują szeroki wiarę ludzie widzący z daleka, poruszający przedmiotami, przepowiadający przyszłość, odgadujący przeszłość, uzdrawiający różne choroby w najprzewidywalniejszy sposób.

Wszystkie te zjawiska mają jeden jakby wspólny mianownik: wiarę, że oprócz naszego trójwymiarowego świata istnieje jeszcze jakiś zaświaty, jakaś inna, niedostępna nam rzeczywistość, czyżby więc należało wywnioskować, że owa nadnaturalna sfera co jakiś czas przysyła szturm do naszych umysłów próbując nawiązać kontakt z ludźmi? Jeśli tak, to dlaczego te wszystkie próby sprowadzają się do takich, za przeproszeniem, bzdur? Dlaczego są to zawsze jakieś pohnikiwania na cementarzu, gwizdy w pustym korytarzu, czyż oko patrzące z dna kielszka, kontakt ludzkiej ręki na murze? Czyżby duchy nie wierzyły, że można do nas mówić mądrzej-szym językiem? Czy najlepszym sposobem porozumiewania się jest krążenie spodka po stole lub pukanie nogą stołową w podłogę?

Z wielu tysięcy starych i nowych opowiadań o duchach wiemy na razie tyle, że:

— duchy mają naturę ary- stokratyczną; zamieszkują wyłącznie zamki, pałace, jakieś znakomite ruiny, nigdy nie ma duchów w wiejskich chatkach, w wielopiętrowych blokach mieszkalnych, na dworcach kolejowych i na sportowych stadionach;

— moda na światłach jest nieomal niezmienna; duchy noszą wyłącznie szaty, nigdy nie

nie widział ducha w dżinsach, w minispódnicy, czasem jest to rycerz w zbroi, nigdy nie jest to żołnierz w masce gazowej lub kosmonauta w swoim hełmie.

Na razie tyle. Więcej może dowiemy się o stosunkach panujących z Tamtej Strony z zapowiadanej wielkiej księgi angielskiego badacza obyczajów.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Już wydawało się że jest lepiej

Przyznam się, że marzę o sukcesie. Nie moim własnym, ale naszym, wspólnym. Chciałbym od czasu do czasu przeczytać w gazecie, usłyszeć w telewizorze lub w radiu, że wzrosła gwałtownie produkcja cementu, wybudowano więcej domów, nagłym zrywem wyremontowano ulicę Piotrkowską i to nie w ciągu trzech lat, ale w ciągu miesiąca. Chciałbym, aby te niewątpliwie sukcesy potwierdziły się nie tylko w statystyce GUS, ale również w... życiu. Ot, czasem budzi się w człowieku taki niepoprawny marzyciel.

A tu, niestety, rzeczywistość skrzeczy. Zbliżało się trzynio-wo święto 22, 23 i 24 lipca 1988 roku. Wszystkich — którzy nie mogli wjechać na urlop nurtowało pytanie czy dostaną chleba na te trzy dni? No, bo już mieliśmy z takimi wolnymi dniami różne eksperymenty, najczęściej nieudane. Różni urzędowi ludzie zapewniali nas, że chleba to będzie, a będzie, ale nie było. Ludzie kłęk, wystawali po kolejkach, biegali po mieście w poszukiwaniu chleba. A chleba nie było. Później ci poważni urzędowi ludzie tłumaczyli się w prasie, radiu i TVP, że nie trailli, że kierownicy nie przewidzieli, że transport i tak dalej. Raz nawet egzekutywa Komitetu partyjnego w Stołecznym Mieście Warszawie musiała obradować nad tym problemem i wydała komunikat. Jednak nawet najsłuszniejszy komunikat chleba nie zastąpi.

W „Dzienniku Łódzkim” słu-żnie postanowiono, aby uważnie przyjrzeć się zaopatrzeniu sklepów w chleb — jak to się urzędowo nazywa. Reporter „DL” wybrał się więc w sobotę 23 lipca 1988 roku w rajd po sklepach. Rajd dla sklepów wypadł dobrze. Chleb był. Wobec tego reporter zanotował: „Wnioski z naszego sobotnio-go rajdu są na ogół optymistyczne. Nareszcie w wolną sobotę nie było kłopotów z kupnem świeżego pieczywa. Było także w wielu sklepach mleko”.

No — pomyślałem — wreszcie odnieśliśmy sukces. Ale siedzi w mnie takie wredne bydle, któremu nic się nie podobą. Więc to bydzie do mnie ironicznie: — Człowieku! Przecież tak być powinno zawsze! Z czego się cieszysz?

Machnąłem ręką na to wredne bydle. Niech sobie uraga. Mam się z czego cieszyć. Przecież reporter napisał wyraźnie: „Było także w wielu sklepach mleko”. Było! Był Fakt. Czyż nie jest to fakt „na ogół optymistyczny”? Wziętem się do dalszej lektury.

Czytam i dusza mi rośnie. Oto pisze wyraźnie: „Koniec kłopotów z energią”. Znowu zanotowaliśmy sukces. I to gdzie jest ten koniec kłopotów? Jest on w Szpitalu w Łagiewnikach. Pisze reporter, ale już inny, choć tego samego „DL”: „Od-wiecznym problemem kompleksu szpitalnego w Łagiewnikach jest zaopatrzenie w energię elektryczną”. To skandal — myślenie. Od wieków już mają kłopoty, ale też i odkrycie nie byle jakie. Od wieków mają energię elektryczną. To coś zupełnie nowego. Ciekawym, od ilu wieków? Czytam więc dalej: „Od 60 lat funkcjonuje bowiem tylko jednostronne połączenie miasta ze szpitalem”.

Krótkie to jakieś wieki. W

szkole mnie uczone, że wiek II-czy 100 lat. Być może była ostatnio reforma wiedzy o wiekach i teraz wiek liczy 10 lat? A ja tego nie zauważyłem. Trudno.

Ale swoją drogą to skandal, aby do szpitala było tylko jedno połączenie elektryczne. Przez to — jak pisze wnikliwy reporter — „awarie, które nieustannie zdarzają się często, unieruchamiają nie tylko oświetlenie sal i bloków zabiegowych, lecz również pompy wodne, część urządzeń kuchennych itp.” W szpitalach, gdzie leczy się chorych takie awarie nie powinny się zdarzać. No, ale „na szczęście są to już kłopoty z przeszłości”. Ucieszyłem się więc nieopornie. Szpital w Łagiewnikach ma zatem już drugie podłączenie energii elektrycznej i jak wyłącza jedno, to włącza się automatycznie drugie i tylko wnikliwy obserwator spostrzeże moment przełączenia. Energia elektryczna płynnie nieprzerwanie. Sukces! Hurra! Niech żyje...

Stop! Trochę to długo trwało. Czyż nie można było postać się o to podłączenie wcześniej? — odezwał się we mnie ten wredniak, któremu nic się nie podobą. Ma on jednak trochę racji. W końcu na te 60 lat przynajmniej 44 lata przypada na Polskę Ludową, która w swoich założeniach ma szczególną troskę o służbę zdrowia.

Czytam jednak dalej i nagłe włos mi się zjeżył na głowie oraz szlag mnie trafił! „Do końca roku ma być gotowy budynek — pisze sobie jakby nigdy nie reporter „DL” — pod przyszłą stację trafo, która umożliwi dwustronne zasilenie w prąd elektryczny. Inwestycja finansowana jest z budżetu miasta. Stacja powinna zacząć działać nie później niż w pierwszym kwartale przyszłego roku”.

Jaki więc „koniec kłopotów z energią”? Jakie „są to już kłopoty z przeszłości”? Jeśli dobrze rozumiem, to „do końca roku” oznacza do końca 1988 roku, a „w pierwszym kwartale przyszłego roku” — to znaczy do 31 marca 1989 roku. I na dodatek „stacja powinna zacząć działać nie później”. Co to znaczy „powinna”? To znaczy, że będzie działała, jeśli wszystko dobrze pójdzie, jeśli nie wystąpią „obiektywne trudności”, nie zawiodą dostawcy, jeśli i tak dalej. Hej to już było obietnic, terminów, ustaleń, z których nic nie wyszło.

Nie wolno zatem niezbyt konkretnej przyszłości brać za czas dokonany! Komuś gwałtownie przypomniały się minione — jak widać nie bezpowrotnie — czasy propagandy sukcesu, kiedy rzeczywistość urojona brano za istniejącą. No może nie tyle brano, ile uświadczano ludziom ją tak przedstawiać.

Zrobiło mi się smutno!

ZENON POROWATY

3

Sport

A ja się śmieję!

Wiele jest różnych dyscyplin sportowych, które lubię, ale najbardziej jednak lubię piłkę nożną. I nie tylko dlatego, że 22 metrów biega po zielonej murawie za jedną piłką, dwaj przeciwnicy w czarnych strojach biegają z chorągiewkami, a jeden z gwizdkiem. Piłka potrafi sprawić bezlitosne i nieobliczalne figle wszystkim 25 panom. A już najwięcej tym, którzy stoją w bramce i mają zrobić wszystko, aby ona do tej bramki nie wpadła. A wpada. Jeśli mecz jest dobry, to widowisko jest cudowne. Ale, jak wspominałem, piłkę nożną lubię nie tylko za to cudowne widowisko. Lubię ją dlatego, że wokół piłki nożnej dzieje się tyle ciekawych, paradoksalnych, niepojętych, tajemniczych, absurdalnych, strasznych rzeczy, że można dostać kolki ze śmiechu albo zawatu z przejęcia. Co kto woli i do czego ma predispozycje. Ja się — póki co — śmieję.

Śmieję się na przykład z przypadku Macieja Polkowskiego, który postanowił przeprowadzić wywiad z Dariuszem Dziekanowskim. Ten o-

statni nie odmówił, ale tak kluczyl, tak unikał, że w końcu Maciej Polkowski opublikował w „Przeglądzie Sportowym” 15 pytań do Dariusza Dziekanowskiego, na które „nie oczekuje odpowiedzi”. A właśnie warto byłoby te odpowiedzi uzyskać. Na przykład:

„7. Zyskał pan miano „piłkarza rozrywkowego”. O pańskich zabawach w „Hybrydach” i „Parku” krąży legenda”.

Właściwie to nawet nie pytanie. To stwierdzenie. Lepiej milczeć niż o takich stwierdzeniach publicznie dyskutować.

„8. Jak sięgnąć pamięcią, zawsze były z panem problemy. W pewnym momencie przestał się pan podobać w Gwardii. Przechodził pan do Widzewa w atmosferze niezadowolonej sensacji, a odchodził z tego zespołu w otoczeniu skandalu. Przed rokiem został pan zawieszony przez kierownictwo Legii. Teraz kłopoty z kadra, a ewentualnemu zagranicznemu transferowi towarzyszył swoisty niesmak”.

Tak było. I jeszcze jedno pytanie. „13. Odnoszę wrażenie, że dla zaspokojenia egoistycznych celów jest pan zdolny zapętać człowieka”.

Mocno powiedziane. Ale ja się śmieję, bo odpowiedzi nie będzie.

Uśmieiał się też z krakowskiego „Temoa”, które zostało skarcone przez Janusza Atlasa za nieprzyniesienie Dariuszowi Dziekanowskiemu tytułu „Srebrnego piłkarza”, a także za to, że milczało o „cudzie nad Wisłą”. Janusz Atlas uważa, że dobrze się stało, iż ten piłkarz pozostał w Polsce, a nie pojechał na wycieczkę do USA i Kanady. Bo gdyby pojechał, to strzeliłby z 5 goli i Wojciech Łazarek uznałby naszą kadre za mistrzów świata, albo jeszcze lepiej. Znow się śmieję, bo skąd Janusz Atlas wie, że DD strzeliłby w ogóle jakiego gola?

Smutno musi być w tym Krakowie, bo Andrzej Skowroński z krakowskiego „Tempa” zupełnie poważnie — i do-dalabym: ponuro — udawałnia Andrzejowi Grygierczykowskiemu z katowickiej „Tribuny Robotniczej”, że w meczu Wisła — Górnik Knurów, nie było żadnego cudu. Wszystko było w porządku. Uśmieć się można — jak mówi młodzież — „po pachy”. Tak tak i z decyzji PZPN, który mistrzem fair play ogłosił... RTS Widzew, a wicemistrzem... Olimpie Poznań. Już czegoś bardziej śmiesznego nie można w ogóle wymyślić. Przecież niemal cała polska prasa sportowa krzyżowała po meczu Widzewa z Olimpią, która... wygrała z Widzewem 4:1, że znow był cud na boisku. A tu — proszę — tytuł fair play. Zabrano je obu drużynom w końcu, ale też nikomu innemu nie przyznano.

Przezabawną rzecz napisał Paweł Zarzeczny w „Piłce Nożnej”. Nazywa to się „Rezerwa Kadrowa” i nadałoby się do „Szpilek”. Ale ukazało się w „Piłce Nożnej”. Zdarza się. A zabawność tego tekstu polega na tym, że jego autor zastanawia się, kto mógłby objąć prowadzenie reprezentacji po odejściu Wojciecha Łazarka. Podaje listę 20 osób z kraju i z zagranicy. Są tam między innymi: Leszek Jezierski, Andrzej Strejla, Henryk Apostel, Kazimierz Górski, Jan Tomaszewski, Zbigniew Boniek, Włodzimierz Lubanski i byli trenerzy kadry, którzy odeszli. Kolejno eliminuje poszczególnych „kandydatów”, gdyż albo mają słabe wyniki, albo małe doświadczenie, albo już są gdzieś na dłuższy czas zaangażowani. Na Leszka Jezierskiego nie zgodził się ponoć żaden zarząd PZPN. Pozostał mu jedynie Andrzej Strejla i Henryk Apostel, którzy zajmowali się młodymi piłkarzami z powodzeniem. Miewają okresy wspaniałej pracy i... niepowodzeń. W końcu wychodzi, że niezastąpionym jest... Wojciech Łazarek. Jeśli nawet pod naciskiem prasy, która nigdy nie lubiła trenerów kadry, odejdzie, to... może przyjść gorszy. Ot i wymyśli!

Jest wesoło i będzie jeszcze weselej. Liga ruszyła. Postanowiliam więc, że nie będę się denerwowała, bo to zdrowiu szkodzi. Będzie się śmiała, bo gdy się tak w końcu przypatrzę temu, co się dzieje na boiskach i poza boiskami, to tylko śmiech nam pozostaje. Pusty śmiech.

BOGDA MADEJ

Kupcy bywają bystrzejsi i zrecznijsi od wielu co się parają sztuką wojowania, do rozumu bowiem przemawiają przy pomocy brzęczącej monety, a nie miecza. Porozumieć się także potrafią o wiele łatwiej niż władcy różnych krajów. Opowiada się, że wymienili między sobą listy, tak kupcy z Bizancjum i kolonii greckich nad Pontem, jak i kupcy z Hedeby, Birki, a nawet Goteborga — zwrócili swoje oczy na nowego władcę Polan, jakowegoś przedziwnego Piastuna, który nie pozwalał nazywać się księciem, mimo że całe dawne państwo Popiołowoskich miało już w swoich rękach. Kiedy zwrócił się do niego Kalisie i spłonęło tam wiele składów z towarami, kilku kupców poniosło ogromne straty. Umówili się wtedy, że będą omijać Gniazdo i odtąd musieli nadkładać drogi prowadzące karawany wozów do Estów i Kurów albo wzdłuż wybrzeża Morza Sarmackiego albo też przez Kraj Ludzi Skrzydlatych. Krytowało ich, że Piastun wyróżniał kupców bawarskich będących pod władzą Karlomana, dając im przywilej nieplacenia żadnego myta w Gnieździe, w Poznaniu i Kruszwic. Ale możliwość nowej koryzysnej drogi do Pontu została zapomniana o dawnych urazach. Na wiosnę przybyła więc do Gniazda ogromna karawana wozów kupieckich z Wrocławia w drodze po bursztyn Samobów. Kupcy poprosili Spicimira jako zarządcę Gniazda o prawo pobudowania kilku składów na podgroźniu, rozłożyli też swoje towary w celu sprzedaży i wymiany. Ucieszyło to Dagona, który pomyślał, że oto skończył się bojkot jego państwa po zniszczeniu Kalisii i jego główny gród przejmie teraz rolę tamtego miasta. Aby unocnić kupcom jak ich szanuje, rozkazał Spicimirovi zaprosić ich przed swoje oblicze. Tak poznał Dago kupca Gudmunda, który pochodził ze Skanii, ale od dwóch pokoleń miał swoje największe składki w Moguncji i Hedeby, mówił biegle po saraceńsku, teutońsku, a także w mowie Judejczyków. Z Dagonem rozmawiał jednak w dreszczu, jak gdyby wiedział, że przez jakiś czas żył on wśród Ascomannów.

Gudmund nosił czarny, aksamitny strój, długie aż do kolan białe pończochy z wełny, na piersiach wisił mu złoty łańcuch, a drogocenne koronki wyglądały z rękawów bluzy. Miał na sobie płaszcz z futra wydry, taką samą ogromną czapę, a przepasany był rzemiennym pasem ze złotymi guzami i zatkniętym za niego sztyltem o rękojeści mieniącej się szlachetnymi kamieniami. Jako kupiec — podobnie jak kmiotek i rzemieślnik — musiał uklęknąć przed Dagonem na obydwie kolana i nisko skłonić kark. Ale podniósł go zaraz i dumnie spojrzął w oczy Piastuna, a twarz miał jasną, okoloną krótką siwiejącą brodą, oczy czarne i przenikliwe.

— Przyjąłem cię godnie — Dago wskazał dłoń, stojących obok tronu Herima i Spicimira — oraz żołnierzy z pochodniami — ponieważ jesteś pierwszym kupcem, który odważył się przybyć do mnie, odkąd przestała istnieć Kalisia. A przecież obiecałem bezpieczeństwo kupcom, przemierzającym mój kraj.

— Tak, panie — skinął głową Gudmund. — W Kalisii jednak były składki naszych towarów, które spalono lub zrabowano. Wolne Miasta kupieckie są podstawą naszego bytu, a ty nie uszanowałeś Kalisii. Gniewni są o to wielcy kupcy i uczyni coś dla nich dobrego, aby mogli ci służyć.

— Nie będzie Wolnych Miast w moim kraju. Zresztą, władca Kalisii, którego wybrał kupcy, zamiast zajmować się wyłączeniem handlu i nie mieszać się do spraw władców i państw, dał schronienie Lze-Helgundzie, przez co naraził mnie na wiele niepokojów.

Mowa oczu kupca dawała Dagonowi do zrozumienia, że chce z nim porozmawiać poufnie. Uczynił więc Dago znak dionii, aby podano im miód i jadio do sąsiedniej komnaty, gdzie zaprosił Gudmunda i sam na sam zasiadł z nim przy jednym stole, co w tamtych czasach uważano za wielkie wyróżnienie.

— Opowiada się, panie — rzekł kupiec, zadowolony się lykiem syconego miodu — że to ty także uciąłeś głowę księciu Akumowi, gdy niszczone wielki port. Druzo.

— Wiesz dużo — odparł Dago. — Ale zniszczył miasto jarl Sveri z Birki.

— Uciąłeś głowę Akumowi, aby mogła wzrosnąć potęga

księcia Gedana. Potem znalazłeś się na jego dworze. Czy dał ci sownia nagrodę?

Podchwycił Dago spojrzenie Gudmunda i pomyślał, że prawdą jest, co się mówi o kupcach, że więcej wiedzą o sprawach tego świata niż magowie i wróżki. Dlatego nie odpowiedział na pytanie.

— Uratowałeś od śmierci jedyną córkę, Gedanie — ciągnął dalej kupiec — a potem on kazał cię zabić. Gdzie jest wdzięczność ludzka, panie?

— Nie wiem — wzruszył ramionami Dago. — Rozumiem jednak, że nie należy jej szukać u władców.

— Popłynąłeś później do cesarza Rhomajów i długo uczyłeś się tam sztuki rządzenia ludźmi. My, kupcy, wiemy, że każdym państwem rządzi władca i ma on zbrojną dłoń w postaci wojska. Ale podstawą życia państwa jest handel i rękodzieło. Bez handlu i rękodziela państwo zwiędnie jak kwiat, choć kwiatem jest rycerstwo.

Wygnałeś od siebie żonę Zylkę, gdyż porodziła ci karła. Weź więc sobie za żonę Gedanie, a ona urodzi ci olbrzyma. Otrzymasz wtedy należną zapłatę za twoje towary i dostęp do morza.

— Wiesz dobrze, kupcze, że to niemożliwe. W rozlewiskach Wisuli stoi dwór Gedania i kili-kil lat trzeba, aby go zdobyć. Próbowali to uczynić Ascomannowie i doznali klęski. Do czego ty mnie namawiasz? Do szaleńczego kroku? Powiedz mi raczej, co będziesz miał z tego, jeśli posiadasz Gedanie.

Po raz pierwszy uśmiechnął się Gudmund i rzekł:

— Złoto otwiera wrota nawet nie zdobytym twierdzom i zamkom. Płynąłeś do Pontu szlakiem Warjagów i wiesz jak jest długi, ile trzeba przebywać porochoń. Zimy tam są tak straszne, że ptaki zamarzają w locie. Wisulę i Tyrasem jest bliżej do Pontu. Przrzeknij nam otworzyć drogę na Wisulę, a otrzymasz Gedanie.

— W czym imieniu mówisz

sarz Bazyli Macedoński, panie — powiedział cicho kupiec. — Handel Rhomajów jest coraz bardziej wypierany z Mare Internum. Krótsza droga dla towarów rhomajskich może to odmienić.

— A ja? — zapytał Dago. — Wszystko, co zdobyłem w Kruszwic, w Poznaniu i w Kalisii, poszło na uzbrojenie mojej armii. Aby zdobyć rękę Gedania muszę zbudować wiele statków rzecznych i popłynąć nimi w dół Wisuli. Czy widziałeś, Gudmundzie, mój biały płaszcz przekonał o tym jak bardzo jest ubogi, choć skarbiec w Gnieździe jeszcze był pełen złota, srebra i drogocenneści.

Uśmiechnął się znowu Gudmund, ponieważ słyszał, że Piastun lubi przed ludem pokazywać swoje ubóstwo.

jemniczał ich w szczegóły rozmowy z Gudmundem. Bli przy nich pięścią w stół i krzyknął: — Gedan nas poniz. Gedan! płaci nam połowę ceny za nasze towary. Gedan chce nas zagłodzić i zubożyć. Gedan kazał mnie zabić, choć to ja uczyniłem go potężnym, ucinając głowę Akuma. To ja wytrawiałem z nurtu rzeki jego córkę Gedanie, która powinna zostać moją żoną i dać mi spadkobiercę.

A potem powiedział: — Czy wiecie dlaczego nasze państwo ma tylu karłów? Tylko morskie, słone powietrze oczyszcza płuca i daje się olbrzymom. Tongałem w Morzu Sarmackim, ale pokochałem je całym sercem. Wyrabiamy sobie drogę do morza, do ujścia Wisuli, do wielkości.

Jakież było zdziwienie Herima, gdy nazajutrz rozdawano pięćdziesiąt wozów kupieckich, zabierając z nich uzbrojenie dla co najmniej pięćset konnych wojowników. Czterech ludzi wniosło do skarbcza cze-

bruzda, świadcząca o silnej woli, bo też w rzeczy samej każdy jej rozkaz musiał być wykonywany natychmiast, a za najmniejszą opieszałość karała służbę i niewolników bezlitosną chłostą, będąc obecną przy wykonywaniu chłosty i z przyjemnością obserwując jak obnażone plecy i posiadki spływają krwią od uderzeń biczem. Lękała się jej, ponieważ posiadano ją o ukryte okrucieństwo, od małości lubiła towarzyszyć ojcu podczas wykonywania wyroków śmierci — wieszania lub ucinania głowy toporem. Z jej też rozkazu i przyzwolenia ojca skazano kilku ludzi na śmierć tylko dlatego, że obażyli ją zbyt bezczesnym spojrzeniem. Poza krótkimi chwilkami, gdy ogłędala chłostę lub kazała, nie odwróciła się w jej stronę, gdyż uczucia ludzkie, dające to — a nie z żadnym innym powodów — nie chciała wysześć za mąż. Mysł o połączeniu się z mężczyzną w cięsnym związku napawała ją wstrętem. Cieknie natomiast obserwowała jak kopuły, zwierzęta i często odwiedzała podwórce, gdzie ogiery pokrywały kaczki, a byki kryły krowy i owce jasowki. Odczuwała wówczas także coś w rodzaju wstrętu, ale jednak był to taki jego rodzaj, który ją zaciekawił i zmuszał do obserwacji. Szeptano iż pewnego razu w sąsiedztwie z jej sypialnią komnacie przychwyciła służkę, którą pokrywał jeden z żołnierzy Gauta. Obdwójce już myśleli, że zostaną skazani na śmierć lub w najlepszym razie na chłostę — lecz ona tylko uśmiechnęła się swymi wąskimi bladymi wargami, usiadła na stole i kazała im czynić dalej to co czynili, gdy ich nasza. Potem zaś odeszła z rumieńcami radości na policzkach, obdarowała służącą i powiedziała jej, że jeśli kiedyś będzie się parzyć z mężczyzną, niech ją zawoła, aby mogła popatrzeć.

Tak naprawdę nie była nawet ładna, a tym bardziej pojętna, ale nazywano ją najpiękniejszą, ponieważ porażała wszystkich jej wyniosła sylwetka, lek, jaki budziła w ludziach, władzę i jakaś dziwna tajemniczość oczu. Wydawała się urodzoną władczynią, a każda taka osoba sprawiała wrażenie niezwykle pięknej. Zawsze spotykano ją zamyśloną i jak gdyby rozmarzoną, choć jej zimne spojrzenie nie przeczało marzeniom. O czym lub o kim myślała, o kim lub o czym marzyła — nie wiadano. Dlatego lek budziła i ciekawość, więcej jednak lęku niż ciekawości. Gdy szła na spacer brzegiem morza ludzie umykali jej z drogi, nikt nigdy nie osmielił się jej zagadnąć lub o coś zapytać, co najwyższej klaniano się z daleka i to bardzo nisko.

Dlatego zagadnięta przez wrota, aż drgnęła cała i zatrzymała się raptownie.

— Musisz przybywać z dalekich stron, wrozu, skoro ośmielasz się stawać na mojej drodze — odezwała się surowo. — Z jakiego przybywasz kraju?

— Nie znam nazw krajów, gdzie byłem. Słabo już widzę, księżniczko. Straciłem wzrok, gdyż pozwolił mi zejść do Nawi.

Znowu drgnęła. Bała się śmierci i lekkiem przejmowała ją myśl o Krainie Zmarłych.

— Jak tam jest? — spytała przelamując swój strach.

— Tego nie mogę powiedzieć, gdyż tak jak utraciłem swój wzrok, mogę utracić również mowę i rozum.

— A jednak wiedziałeś, że jestem księżniczką. Nie masz oczu, ale rozpoznałeś mnie.

— Po twoich krokach. Po szelescie piachu pod twoimi stopami. Tak jak ty, może iść ty o władcy. Nie całkiem zresztą swój wzrok utraciłem. Widzę niektóre rzeczy z bliska, a także umiem patrzeć w przyszłość.

— Nie chcę znać swojej przyszłości. To najłatwiejsze, mówić o czymś, co będzie, gdyż trudno to sprawdzić. Znam tylko swoją przeszłość. A ty ją widzisz?

— Tak, księżniczko.

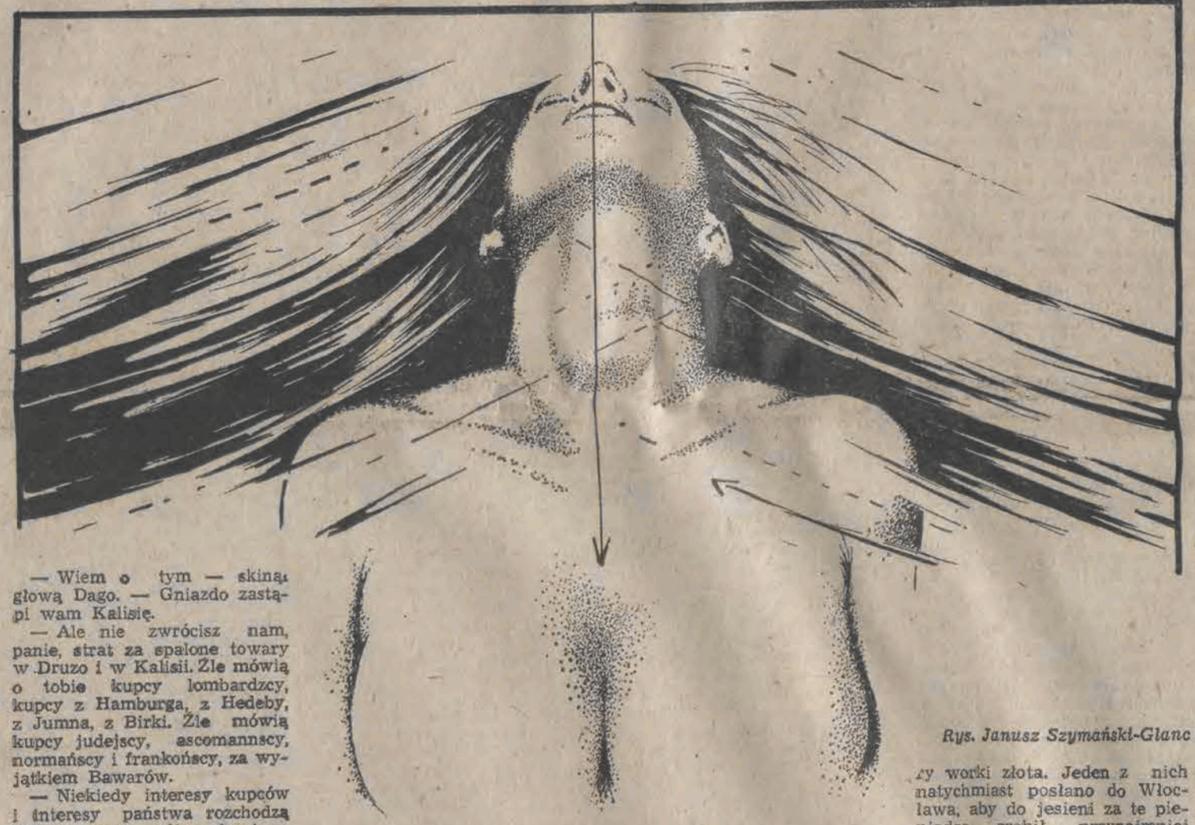
— Cóż takiego widzisz?

— Mam spojrzeć głęboko czy płytko, księżniczko? To zależy czy dostanę całego denara czy też pół denara.

ZBIGNIEW NIENACKI

(13)

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Wiem o tym — skinął głową Dago. — Gniazdo zastąpił wam Kalisie.

— Ale nie zwrócisz nam, panie, strat za spalone towary w Druzo i w Kalisii. Zie mówią o tobie kupcy lombardzcy, kupcy z Hamburga, z Hedeby, z Jumna, z Birki. Zie mówią kupcy judejscy, ascomannscy, normanńscy i frankońscy, za wyjątkiem Bawarów.

— Niekiedy interesy kupców i interesy państwa rozchodzą się jak dwie różne drogi — wzruszył ramionami Dago. — Jeśli będę chciał, stworzę własnych kupców. Zresztą, co mam do zaoferowania oprócz soli, wosku, zboża, miodu i skór?

— Przemierzamy wielkie połacie ziemi i odwiedzamy wiele potężnych państw. Twoje, panie, jest tak małe jak piastka dziecka w porównaniu z państwami Franków, Saracenów, czy Rhomajów, a nawet Wielką Morawą. Boisz się, panie, uderzyć na Skrzydlatych, gdyż zawarli przymierze z Karakiem, zaś książę Wisulan ma pokój z księciem Rostislavem, gdyż ten boryka się z Ludwikiem Teutońskim. Nie uderzysz na północ, ponieważ nie znasz potęgi plemion pomorskich oraz książąt z Kraju Porysjan. Zostałes uwieziony jak piękny ptak w malutkiej klatce. Wie o tym książę Gedan i dlatego płaci ci połowę należności za twoje towary, czym ci obraża i obnaża twoją słabość. Bądź pokorniejszy, panie, gdyż choć, jak mówią, pochodzisz z rodu olbrzymów, tymczasem żyjesz w karłowatym państwie bez dostępu do morza, a wiesz, że ocean daje bogactwo.

Zamgliły się gniewem oczy Dagona, dotknął palcami rękojeści swego Tyrtinga, ale po chwili ujął kubek z miodem, gdyż ten człowiek mówił prawdę.

— Jest prawo, które powiada, że jeśli ktoś uratuje życie drugiego człowieka, to życie owego człowieka należy odtąd do tego, co je uratował. Ty, panie, uratowałeś córkę Gedana i masz prawo do jej życia.

— Mam pięćdziesiąt wozów — rzekł. — Znajdzie się w nich nowy płaszcz dla ciebie, Piastunie.

— Płaszczem Witlandii nie nakryję — wzruszył ramionami Dago.

— Co wolisz, panie: pięćdziesiąt wozów pełnych mieczy, oszczepów, kolczug, pancerzy i nagolenników czy cztery worki złota?

— I jedno, i drugie — oświadczył Dago i wstał od stołu, dając kupcowi do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną.

Upadł na kolana Gudmund i skłonił się aż do ziemi, a potem odszedł w wielkiej pokorze. Ale Dago wiedział, że to tamten ma prawdziwą władzę, on zaś, Dago, podobnie jak wielu innych władców, był tylko narzędziem w rękach takich ludzi, ich mieczem i ich tarczą. Uczono go, że są na świecie tajemnicze miejsca, gdzie tacy właśnie pokornie padający do nóg władcy ludzie zbierają się i radzą o losach państw i ich książąt. I jeśli tam gdzieś w tajemnym miejscu postanowiono, że książę Gedan musi paść ofiarą Dagona, ponieważ postawił tamę dla rzeki złota, to przedź czy później to nastąpi.

Po odejściu Gudmunda, wstał do siebie Spicimira, Jaszczółta i Herima. Ale nie wta-

— Mam pięćdziesiąt wozów — rzekł. — Znajdzie się w nich nowy płaszcz dla ciebie, Piastunie.

— Płaszczem Witlandii nie nakryję — wzruszył ramionami Dago.

— Co wolisz, panie: pięćdziesiąt wozów pełnych mieczy, oszczepów, kolczug, pancerzy i nagolenników czy cztery worki złota?

— I jedno, i drugie — oświadczył Dago i wstał od stołu, dając kupcowi do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną.

Upadł na kolana Gudmund i skłonił się aż do ziemi, a potem odszedł w wielkiej pokorze. Ale Dago wiedział, że to tamten ma prawdziwą władzę, on zaś, Dago, podobnie jak wielu innych władców, był tylko narzędziem w rękach takich ludzi, ich mieczem i ich tarczą. Uczono go, że są na świecie tajemnicze miejsca, gdzie tacy właśnie pokornie padający do nóg władcy ludzie zbierają się i radzą o losach państw i ich książąt. I jeśli tam gdzieś w tajemnym miejscu postanowiono, że książę Gedan musi paść ofiarą Dagona, ponieważ postawił tamę dla rzeki złota, to przedź czy później to nastąpi.

Po odejściu Gudmunda, wstał do siebie Spicimira, Jaszczółta i Herima. Ale nie wta-

— Mam pięćdziesiąt wozów — rzekł. — Znajdzie się w nich nowy płaszcz dla ciebie, Piastunie.

— Płaszczem Witlandii nie nakryję — wzruszył ramionami Dago.

— Co wolisz, panie: pięćdziesiąt wozów pełnych mieczy, oszczepów, kolczug, pancerzy i nagolenników czy cztery worki złota?

— I jedno, i drugie — oświadczył Dago i wstał od stołu, dając kupcowi do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną.

Upadł na kolana Gudmund i skłonił się aż do ziemi, a potem odszedł w wielkiej pokorze. Ale Dago wiedział, że to tamten ma prawdziwą władzę, on zaś, Dago, podobnie jak wielu innych władców, był tylko narzędziem w rękach takich ludzi, ich mieczem i ich tarczą. Uczono go, że są na świecie tajemnicze miejsca, gdzie tacy właśnie pokornie padający do nóg władcy ludzie zbierają się i radzą o losach państw i ich książąt. I jeśli tam gdzieś w tajemnym miejscu postanowiono, że książę Gedan musi paść ofiarą Dagona, ponieważ postawił tamę dla rzeki złota, to przedź czy później to nastąpi.

Po odejściu Gudmunda, wstał do siebie Spicimira, Jaszczółta i Herima. Ale nie wta-

C.D.N